

Mocni ludzie



FERDYNAND ANTONI OSSENDOWSKI

Mocni ludzie

ROZDZIAŁ I. TAJGA

Padł strzał... Padł jak grom z pogodnego nieba, nieoczekiwany, groźny, obcy i straszny w tym uroczysku, martwą ciszą otulonym i przytłoczonym.

A ten, kto spłoszył i stargał ciszę, bez szmeru wyszedł z gęstwiny niskich, pokrzywionych zarośli brzeziny i począł się wspinać na śliskie, mchem i liszajami okryte zbocze pagórka. Niebieskie plamy czarnych jagód, czerwone — borówek, były w oczy tam i sam, gdzie bujna, sztywna, już żółknąć poczynająca trawa i liście paproci tworzyły małe polanki, odkryte dla promieni słońca, jak gdyby przygasłego już, nietryskającego płynnym złotem żaru.

Człowiek stanął wreszcie na kopulastym szczycie wzgórza i odetchnął z ulgą. Czarne, skośne jego oczy — bystre i gorejące, wbite w gąszcz i zwaliska gnijących, zbutwiałych pni i konarów świerków i modrzewi, błysnęły triumfem i radością. Na miękkim mchu, prawie tonąc w jego grubej okrywie, wsparty rogatą głową o pień drzewa, leżał łoś. Potężne, rozłożyste, ciemnobure łopaty, szeroki łeb i szczeciniasty kark świadczyły o podeszłym wieku zwierza.

Człowiek westchnął jeszcze raz i poruszył grubymi, ciemnymi wargami. Po chwili podniósł karabin. Z gruba ociosana kolba brzoźowa, długa lufa i ciężki kurek żelazny z kawałkiem krzemienia pod nim, mogły się stać bronią niebezpieczną wyłącznie w ręku wprawnego myśliwca¹.

On zaś w tej chwili przerzucił przez ramię jeszcze dymiącą strzelbę i usiadł na zwalonym przez burzę drzewie. Rozpiął na piersi łosiową, obcisłą kurtkę, mocniej ściągnął przy kostkach także portki i lekkie chodaki, z pasków skóry splecione, a potem zdjął z głowy czepek, szeroką, prawie czarną dłoń ocierając spocone czoło i krótką, siwiejącą czuprynę.

Nie spoczywał długo, bo nie mógł.

Ciemna chmara komarów i bąków opadła go, cięła, brzęczała, wdzierając się do ust, oczu i uszu, chociaż twarz łowcy okryta była grubą warstwą smoły.

Nie to jednak przerwało spoczynek człowieka.

Coś innego zmusiło go do powstania z miejsca. Słońce bowiem nabrzmiewać poczęło szkarlatem i jak gdyby ociężałe szybko staczało się ku zachodowi, za ścianę czarnego boru.

Myśliwy wprawnymi ruchy² szybko oprawił zabitego łośa. Zdarł z niego skórę, wyciął ozór, a potem, przerzuciwszy rzemień przez gałąź modrzewia, w górę podciągnął zwierzę, aż zawisło ponad ziemią³, kołysząc się powolnie. Zrobiwszy nacięcie na korze drzewa, wszedł znowu na pagórek i zmrużywszy oczy, obejrzał się wokół. W wejrzeniu tym zaszklila się rzewność, rozgorzała i już nie przygasiała, aż przeszła w przenikający całą istotę niemy zachwyty.

— Tajga⁴, tajga! — szeptał, ledwie poruszając wargami.

Istotnie, słowa te wymawiał w sercu dziewiczego boru, który ciągnął się nie wiedzieć skąd i odchodził nie wiadomo dokąd. Człowiek, stojący na kopulastym pagórku, wiedział tyle tylko, że przez ów las, poprzez tę tajgę jego rodzimą, opiekunkę i karmicielkę, biegy

¹myśliwiec (daw.) — myśliwy. [przypis edytorski]

²wprawnymi ruchy (daw.) — dziś: wprawnymi ruchami. [przypis edytorski]

³w górę podciągnął zwierzę, aż zawisło ponad ziemią — dorosły łoś waży ok. 400–700 kg. [przypis edytorski]

⁴tajga — las z przewagą drzew iglastych, tworzący formację roślinną w północnej części Eurazji, w szczególności na Syberii. [przypis edytorski]

potężne, wartkie strugi żółtej Obi⁵, prawie czarnej Keci⁶, a przedzierając się przez chaszczę, wpadały w nie liczne rzeki i potoki: Tym, Kolik-Egen, Cangilka-Wwy, Narymka, Połoj⁷ i Bezimienny Wwy, żłobiące swe łożyska w bagnach i trzęsawiskach torfowych, pełne ryb i nieznanych istot, co straszą po nocy, wciągają do wirów, dołów lub zapędzają nieprzytomnych z przerażenia wędrowców do bajor, gdzie czai się bezdenna otchłań małych jezior — oczu Szygi, złęgo ducha tajgi.

Jak okiem sięgnąć, rozbiegła się, rozparła tajga od północy do południa, od zachodu aż do wschodniej połaci nieba.

Zielony ocean, a na nim, niby rozwichrzone grzywy fal, korony drzew ciemnych, niemal czarnych!

Ruszył człowiek, niosąc na barkach zwiniętą skórę łosia, rozsuwając kolbą zbitą, zwikłaną sieć traw, chwastów, badyli i pierzasty gąszcz paproci.

Szedł i myślał.

Jakież to dziwne! Nazywa się Wotkuł, urodził się w czumie⁸, namiocie samojezdskim⁹, jest synem tajgi, a zna zaledwie mały jej szmat?... Bo któż by poznać zdołał cały jej ogrom bezkresny?

Nie znają go ani pobratymcy niżowi, ani nawet Ostiaci Kamienni¹⁰!

Nikt nie odważy się zapuścić w mroczne ostępy kniei ciemnej, pełnej tajemniczych, przerażających odgłosów, pomruków, poszeptów, plusku potoków, ukrytych na dnie głębokich, ponurych rozłogów i łoskotu padających olbrzymów leśnych, na co odkrzykuje z daleka czujne echo leśne.

A przecież nawet tu, nad Kecią i Połojcem, dzieją się rzeczy tajemne, rozumem Wotkuła nie ogarnięte!

Któż to przebija ścieżki zwodnicze poprzez chaszczę?

Kto wytycza je aż do toni jezior leśnych, niemych, zaczajonych, bezdennych?

Kto tam jęczy, szlocha i nawołuje po nocach?

Kto szeleści suchymi liśćmi w południe i cicho, cicho puka w konary świerków uschniętych?

Kto wreszcie unosi się wieczorami ponad trawą, kto się wynurza z czarnych przepaści tajgi i rękami z mgieł i opadów lepkich macha, wabi, woła i mami?

Czyjeż to źrenice, krwawoczerwone, gorejące, pochwytyują odbłysek płonącego ogniska?

Czyj to lot — chybki i miotający się — budzi ospałą ciszę?

Wotkuł wypuścił był¹¹ pierwszą kulę w pierś niedźwiedzia-„czaldona”¹² jeszcze w zaraniu swego życia, bo liczył wtedy zaledwie dwanaście wiosen. Przecinał potem tajgę od brzegu Obi aż hen, do trzęsawisk Wielkiej Basargi i źródeł Tary¹³ na zachodzie, a na wschodzie dobiegał był do brzegu modrego Jeniseju¹⁴, pełnego rozszalałych wirów i kipiących porohów¹⁵.

Zna swoją tajgę.

⁵Ob (r.m., rzadziej r.ż.; ros. r.ż. Обь, Ob') — rzeka w azjatyckiej części Rosji, na Nizinie Zachodniosyberyjskiej. [przypis edytorski]

⁶Kec' — dziś popr.: Ket a. Kiet' (ros.), rzeka w azjatyckiej części Rosji, prawy dopływ Obu. [przypis edytorski]

⁷Połoj (ros. Полюй, Poluj) — dziś popr.: Poluj, rzeka w azjatyckiej części Rosji, prawy dopływ Obu. [przypis edytorski]

⁸czum — szałas koczowników północno-azjatyckich, sklecony z żerdzi, okrytych korą lub skórą. [przypis redakcyjny]

⁹Samojedzi — koczujący szczep w północnej Syberii. Niżowi Samojedzi to rybacy, inni — pastuchy lub myśliwi. [przypis redakcyjny]

¹⁰Ostiaci — koczujący szczep na północy Syberii, dzieli się na Kamiennych, Jasackich, Czarnych itd. [przypis redakcyjny]

¹¹wypuścił był — przykład użycia czasu zaprzeczonego, wyrażającego czynność wcześniejszą niż opisana czasem przeszłym lub też niezrealizowaną możliwość. [przypis edytorski]

¹²czaldon — syberyjska nazwa niedźwiedzia, a także prawdziwego, od dziada-pradziada wieśniaka syberyjskiego. [przypis redakcyjny]

¹³Tara — rzeka w azjatyckiej części Rosji, prawy dopływ Irtysza, lewego dopływu Obu. [przypis edytorski]

¹⁴Jenisej — rzeka środkowej Syberii w azjatyckiej części Rosji, jedna z największych rzek Azji i świata. [przypis edytorski]

¹⁵porob (ukr.: próg) — naturalna zaporą skalną na rzece, uniemożliwiająca swobodną żeglugę. [przypis edytorski]

W jej sercu odnaleźć można ślady jego siekiery, zaciesiami¹⁶ znaczącej na pniach cedrów i modrzewi szlak zuchwałego myśliwca.

Wotkuł wie, bo jak gdyby widział to na własne oczy, że echo przynosi odgłosy ostrożnych, skradających się stapań niedźwiedzia, gdy zwęszy on ślad łosi i polarnych jeleni lub gdy czając się, podchodzi, aby spojrzeć na człowieka, wdzierającego się zuchwale w odwieczne uroczyska leśne.

Już nieraz łowiec słyszał ciche krzyki, przerażeniem i rozpaczą przepojone, i teraz wiedział, że wydawał je głuszec, gdy drapieżna kuna lub łasica wpijała mu się w gardziel; przekonał się też niejednokrotnie, że chrapliwe „ja-u”, „ja-u” wyrzuca z głębi piersi głodny ryś, wychodzący na łowy; znał ponury bek rogaczy i groźny — byków łosi i jeleni; rozróżniał tęskne nawoływania puchacza i jęki siwej sowy polarnej, ścigającej pstrokate lemingi¹⁷ i pasiaste burunduki¹⁸. Poznał od dawna głosy wszystkich ptaków i zwierząt, w tajdze żyjących i walczących o byt, czy to w lecie, czy też w zimie, gdy pod grubą powłoką lodu znikają wartkie prądy rzek, a biały całun śniegu okrywa ziemię, domy i nawet samą tajgę.

Wszystko to poznał, pojął Wotkuł, łowiec samojedzki, a przecież kryła jeszcze przed nim tajemnic bez liku rodzima tajga! Nawet ta, którą przebiegał na rączym reniferze w lecie lub zimą na nartach przeciął nie raz i nie dwa; ilekroć bowiem dosięgał najdalszych kresów tajgi, zawsze czuł, że stoi dopiero w przedlesiu, gdy tymczasem zielony ocean przerzucał swe fale za Tarę i Jenisej i znikał za dalekim horyzontem takież zielony, a jeszcze bardziej tajemniczy, bezgraniczny i potężny.

Tak myślał myśliwy, idąc szybko na zachód i nie spuszczać oczu z ledwie dostrzegalnej ścieżki, wijącej się wśród paproci na z lekka przydeptanym mchu.

Czuł miłość i lęk przed bezmiarem tajgi. Wierzył, że przed wiekami stała się ona siedzibą Numy — Wielkiego Ducha, o którym chętnie gwarzą staruchy po domach i do którego woła podczas igrzysk i modłów wiosennych szalony pustelnik — tajemniczy szaman¹⁹.

Myślał też o tym, że gdyby jego pies, kudłaty szpic Wyr, nie był pokłął sobie łap o kolce głogu, mógłby teraz podejść drugiego łosia, którego Wotkuł był spłoszył strzałem.

Jednak uczucie lęku wobec ogromu tajgi i ukrytej w niej tajemnicy nie opuszczało go. Ostry słuch jego łapał każdy dźwięk, dochodzący z głębi kniei, a spotęgowany echem, biegnącym od pnia do pnia; rozdęte nozdrza Samojeda pochwytywały zapachy żywicy, zgniłych roślin, grzybów, dojrzałej jarzębiny i cierpki aromat czeremchy, roniącej swe liście na puszysty, zimny i wilgotny mech.

Przez tę woń wieloraką przebijały się inne, ostre lub mdłe, zwierzęce lub ptasie zapachy. Poznawał je w mig i w mig pochwytywał nowe.

Ni to²⁰ dziki, wolny zwierz posługiwał się chętniej słuchem i węchem niż wzrokiem, toteż szedł szybko, prawie biegnąc, z głową opuszczoną i oczami, przykrytymi grubymi powiekami.

Czasami tylko poruszał głową i węszył głośno, a potem mrucał do siebie pod nosem:

— Tu zapalałem fajkę, tu strzeliłem do sochatego²¹... He! Nieruchome powietrze tajgi przechowuje zapach tytoniu i zjadliwy dym prochu... Zwęszą je natychmiast niedźwiedź, ryś i jeleni... Cha! Cha! Każde zwierzę ominie to miejsce... będzie się kryło z daleka, czując mój ślad...

Tak rozważając, doszedł do miejsca, gdzie do Keci wpadała brunatna struga Lagus-Wwy, małej rzeczki leśnej, w której, jak sobie natychmiast przypomniał, nie trzymała się ryba.

Odpędził dłonią rój komarów, uwijających się przed oczyma, i spojrzął na słońce.

Ujrzał je już poprzez konary drzew.

Błyskało czerwienią pomiędzy pniami drzew i krwawiło iglice świerków, zapadając po tamtej stronie Obi, za tajgą tarską.

¹⁶zacieś — popr.: zacios, znak na korze drzewa wykonany siekierą. [przypis edytorski]

¹⁷leming — północny gryzoń, żyjący dużymi koloniami. [przypis redakcyjny]

¹⁸burunduk — pasiasta wiewiórka syberyjska. [przypis redakcyjny]

¹⁹szaman — północny czarownik, znachor, wróżbita. [przypis redakcyjny]

²⁰ni to (daw.) — niby to; tak jak. [przypis edytorski]

²¹sochaty — syberyjska nazwa łosia. [przypis redakcyjny]

Nagle drgnął, uniosł głowę wysoko i jał²² nasłuchiwać.

Długo nie mógł pojąć dobiegających go dźwięków, aż wreszcie zrozumiał — i nachmurzył czoło.

Posłyszał bowiem tupot trójki koni, szcęk podków, potracających o kamienie, turkot kół i skrzywienie wozu. Ktoś śpiewał ponurym głosem smętną pieśń, ktoś inny coraz częściej pokrzykiwał głośno i gniewnie.

— Urus²³... Urus... — mruknął Wotkuł i zmrużył oczy, w których się natychmiast zaciążyła nienawiść.

Przypomniał sobie najazdy urzędników rosyjskich, przybywających po podatki. Obchodzili oni czumy i chaty osiedla, wdzierali się wszędzie i wszędzie zaglądali, porywając drogie skóry soboli, popielic, lisów i gronostajów, bijąc wylekłych Samojedów, krzywdząc kobiety i klnąc ohydnie.

— Urus!... — mruknął raz jeszcze i nie wychodząc na drogę, która biegła z południa, szybko ruszył ku osiedlu, aby uprzedzić rodaków o zbliżającym się niebezpieczeństwie. Zdążył na czas.

Ten i ów z Samojedów natychmiast porywał toboły i ukrywał je w chaszczach. Inny uciekał do tajgi, uprowadzając ze sobą rodzinę. Reszta z trwogą czekała nieproszonych i znienawidzonych gości.

Przybyli wreszcie.

Na mały placyk osiedla Narym, otoczony kilkoma chatkami i pięćdziesięcioma czumami, zbudowanymi z drągów modrzewiowych okrytych skórą i korą, wjechał duży, ciężki wóz, w którym siedziało czworo ludzi.

Obok woźnicy tkwił urzędnik policyjny, wysoki, chudy, o steranej twarzy i bezbarwnych oczach. Płowe włosy, wąsy i broda jego były w nieładzie, twarz, dla ochrony przed bąkami wysmarowana dziegciem²⁴, wyrażała wielkie znużenie i wyczerpanie. Co chwila, krztusząc się od kaszlu, z jękiem chwycił się za pierś. Z tyłu na siedzeniu widniały dwie postacie: młody, nadmiernie barczysty i rozrosły mężczyzna o wesołym, beztroskim wyrazie oczu, uśmiechał się i podtrzymywał pod ramię kobietę o przybladłej, łagodnej twarzy i wielkich niebieskich oczach.

— Stój! — wrzasnął policjant i woźnica zdarł zmęczone konie. Młody człowiek zeskoczył z wózka i jał zdejmować kufry i worki, uwiązane z tyłu powozu.

Policjant oddalił się do domu wójta i wkrótce powrócił razem z nim. Był to stary, zżarty przez ospę Samojed, mówiący po rosyjsku.

— Słuchaj! — oznajmił mu policjant. — Dostawiłem do Narymu tego zesłańca. Jest on wrogiem naszego ubóstwianego cara, Polakiem, jednym z tych zbrodniarzy, którzy podnieśli oręż przeciwko naszej ojczyźnie. Za ten występny czyn został on skazany na osiedlenie w Narymie aż do śmierci. Przybyła tu z nim dobrowolnie jego żona... Masz śledzić, aby ten Polak nie zemknął stąd, bo inaczej!...

To rzekłszy, podniósł pieść pod nos wójta i zaklął.

Wotkuł, stojący na uboczu, przyglądał się przybyszom i przysłuchiwał rozmowie policjanta ze starym wójtem.

W godzinę później zesłańcy zostali umieszczeni w chacie miejscowego kupca, Michała Bodionowa, który trudnił się też rybołówstwem na Obi i Keci, mając tam swe łodzie i niewody²⁵. W jego też domu ulokował się na noc urzędnik policyjny, gdyż nazajutrz miał odjechać do Tomsku, skąd, jako z głównego miasta guberni, przywiózł był zesłańca i jego żonę.

Rodzina Rodionowa, urzędnik i Polacy zasiedli przy wspólnym stole do wieczerzy. Przed nimi buchał parą błyszczący samowar, stał półmisek ze smażoną rybą, kasza gryczana obficie polana tłuszczem, i pierogi z rybą. Gospodarze milczeli, policjant pośpie

Rosjanin, Urzędnik,
Przemoc, Krzywda

Powstaniec, Zesłańiec

Jedzenie

²²jał (daw.) — zacząć (coś robić); zabrać się za coś. [przypis edytorski]

²³Urus — mongolska nazwa Rosjanina. [przypis redakcyjny]

²⁴dziegieć — gęsta, smolista substancja o charakterystycznym, przykrym zapachu, używana do celów leczniczych oraz do impregnacji materiałów, uszczelniania beczek, jako smar, klej itp., wytwarzana dawniej przez węglarzy przez wypalanie węgla drzewnego w kopcach ziemnych. [przypis edytorski]

²⁵niewód — ciągniona sieć rybacka złożona z stożkowatego worka (matni) i dwóch długich skrzydeł. [przypis edytorski]

pociągał gorącą herbatę i kaszłąc, drapał pociętą przez baki szyję. Polacy nie odzywali się, z rzadka zamieniając pomiędzy sobą porozumiewawcze spojrzenia.

Pierwszy rozpoczął rozmowę Rodionow:

— Przepraszam pana urzędnika — rzekł — ale niezupełnie dokładnie zrozumiałem, o co chodzi? Mówiliście, że to zbrodniarz... Cóż to? Zabił kogoś, ograbił czy podpalił?

— Nie! — odparł, zanosząc się od kaszlu policjant. — Jest to oficer polski... zesłany za bunt przeciwko carowi.

— Nie rozumiem jednak... — szepnął kupiec, podnosząc ramiona i pytająco patrząc na zesłańca.

Ten spojrział na urzędnika i spytał:

— Czy mogę objaśnić gospodarzy, panie urzędniku?

Ten, wciąż kaszłąc, skinął głową.

Młody zesłaniec rozpoczął swe opowiadanie:

— Jestem Polakiem, nazywam się Władysław Lis. Byłem ulubionym przez cesarza trębaczem. Grałem w pałacu carskim... Nie wiedziałem wtedy, że jestem Polakiem, bo byłem sierotą i wychowywano mnie w korpusie kadetów. Pewna panienka, ot ta, która jest teraz moją żoną, wyjaśniła mi wszystko. A gdy Polska, którą nieprawnie rozdarły i podzieliły między siebie Rosja, Austria i Niemcy, chciała uzyskać wolność, zupełnie tak, jak Rosja niegdyś usiłowała wyrwać się z niewoli tatarskiej, wstąpiłem do polskich wojsk, biłem się, zostałem ranny, a rannego schwytano mnie, sądzono i — zesłano tu... do was.

Policjant milczał i jak gdyby nie słuchał, zajęty rybą leżącą przed nim na talerzu.

Żona Rodionowa spoglądała wokół zdumionym wzrokiem i wreszcie spytała:

— Gdzież tu zbrodnia? Za cóż taka ciężka kara?

— Mój mąż odznaczył się jako bohater! — wtrąciła z dumą żona zesłańca.

— Bohaterów przysyłać na Syberię, jak pospolitych złoczyńców, tego jeszcze nie było! — zauważył Rodionow, z obawą patrząc na urzędnika.

Ten potoczył dokoła ponurym wzrokiem i odparł suchym głosem:

— Taki rozkaz przyszedł ze stolicy... Nie nasza w tym głowa...

— No, pewno, że tak! — zgodził się kupiec. — Przepraszamy za skromną kolację, pokoje są już przygotowane. Czas udać się na spoczynek! Z Bogiem!

W domu Rodionowa wkrótce zgasły łojowe świece i cisza zapanowała w małych izdebkach dalekiej i nędznej siedziby ludzkiej nad brzegiem północnej rzeki.

Psy, spuszczone z łańcucha, poszczekiwały, odpowiadając na odgłosy dopływające z tajgi. Całe osiedle, zdawało się, było pogrążone we śnie.

Tylko w chacie wójta, starego, dziobatego Pyraga, przy tlejącym ognisku siedział sam gospodarz, a przed nim łowiec Wotkuł.

— Urus mówił mi — szeptał wójt — że ten człowiek nie jest Urusem i że został skazany za to, że bronił swego kraju przed Urusami.

— Dobry, snadź²⁶, i sprawiedliwy człowiek — mruknął Wotkuł.

— Kazał mi go strzec, aby nie uciekł z Narymu — ciągnął dalej Pyraga.

— Jak kazał, tak też i uczynisz, bo inaczej całe osiedle będzie cierpiało od Urusów — odezwał się łowiec.

— Dobrze mówisz! — pochwalił wójt.

Wotkuł wstał, obciągnął na sobie bluzę i nacisnął głębiej skórzany czepek. Skierował się już był do drzwi, aż nagle przystanął i rzucił w przestrzeń:

— Ten przybysz — sprawiedliwy człowiek, bo Urusów nie lubi...

— Trzymaj język za zębami, młody! — ofuknął go wójt.

Myśliwy wzruszył ramionami i pochyliwszy głowę, wyszedł z izby. Za ścianą ubogiej chaty ujadać jeły psy, zwęszywszy obcego człowieka.

— Oj, harr! — krzyknął wójt.

Psy natychmiast umilkły. Nic już nie mąciło ciszy, napływającej od czarnej ściany tajgi. Czasem tylko głośniejsz plusnęła ryba w rzece lub jakiś głos nieznanego dobiegł z kniei.

Narym spał.

Zesłaniec

Sierota, Polak

²⁶snadź (daw.) — widocznie. [przypis edytorski]

ROZDZIAŁ II. WYGNAŃCY

Krótką jesień syberyjską miała się ku końcowi. Zresztą w roku 1833 nikt w całej Syberii nie uskarżał się na lato i jesień. Lato bowiem wypadło wyjątkowo pogodne i skwarne, a jesień ciągnęła się aż do połowy października. Na drobnych zagonach obrodziło żyto, na grzędach — kapusta, groch i marchew, na łąkach stały wysokie stogi siana, ciesząc wzrok gospodarzy, posiadających konie i bydło domowe.

W małym, liczącym wtedy zaledwie trzystu mieszkańców Narymie mówiono dużo, a jeszcze bardziej przyglądano się temu, co robi niespodziewanie przysłany do miasteczka zesłaniec polski.

Tęgi to lud — Sybiracy, wytrzymały i mocny, a jednak nawet oni nie mogli wyjść z podziwu, patrząc na pracę Polaka.

Zesłaniec dostał podług prawa w przydziale szmat ziemi na wyjeździe z osiedla, tuż przy drodze prowadzącej z Tomsku.

Tymczasowo mieszkał wraz z żoną u Rodionowa, a pomiędzy rodziną kupca a wygnańcami polskimi od pierwszego wejrzenia nawiązał się przyjazny stosunek.

Rodionow po odjeździe urzędnika policyjnego zaprosił zesłańca do sklepu i pozostawszy z nim w cztery oczy, wypytał go o wszystko.

Wkrótce dowiedział się też całej prawdy i z szacunkiem przyglądał się barczystemu, zawsze spokojnemu i pogodnemu Polakowi.

Wzruszonym głosem opowiadał potem Rodionow swej żonie, jak to ich lokator, porucznik ułanów polskich, Władysław Lis, był niegdyś wyróżniony przez cara Mikołaja za piękną grę na trąbce i niezwykłą siłę; jak poznał się był na balu dworskim ze swoją obecną żoną, krewniaczką księżny²⁷ łowickiej, małżonki zmarłego wielkiego księcia Konstantego, jak owa paniątka oświeciła go i na inne pchnęła drogi. Z zachwytem wspominał syberyjski kupiec o czynach Lisa pod Stoczkiem, na polu grochowskim, a potem na Litwie. Na Syberii nikt o zmaganiu się Polaków z cesarzem nie wiedział dokładnie, a że Sybiracy nie nawidzili Rosjan — ciemieżców i łapowników jednocześnie, marząc o niezawisłej Syberii, więc ich serca skłaniały się na stronę Polaków, broniących własnej ojczyzny i wolności.

Opasła, chora na nogi małżonka kupca rozplakała się, słuchając opowieści o tym, jak narzeczona Polaka, szlachetna, ze znakomitego rodu panna, szukała po świecie zaginionego młodzieńca, odnalazła go zakutego w kajdany na etapie²⁸ uralskim i razem z nim przechodziła teraz drogę krzyżową, męczeńską.

Władysław Lis, otrzymawszy kawał ziemi, nie zwlekając, przystąpił do budowy własnego domu.

Nie tylko nieliczni Rosjanie mieszkający w Narymie, lecz i Samojedzi nie mogli się nadziwić.

Młody Polak, posługując się wyłącznie piłą i siekierą, walił w tajdze co najtęższe modrzewie, przerabiał je z niezwykłą szybkością na belki i wynajawszy dwu Samojedów z końmi, wywoził z lasu budulec, a w tydzień potem przystępował już do stawiania chaty.

Z tym szło oporniej i wolniej, gdyż poza starannością i siłą mięśni praca ta wymagała wiedzy fachowej, której zesłaniec nie posiadał. Jednak nie upadał na duchu przed piętrzącymi się trudnościami; pilnie wymierzał, heblował, wcinał wręby, wiązał strop, dopasowywał belki. Od czasu do czasu tylko, gdy nikt nie widział, z niepokojem spoglądał na niebo. Stawało się ono coraz bardziej szare, a ciężkie chmury zasłaniały je, uprzedzając, że poza nimi sunie od północy wichur syberyjski, niosący ze sobą śnieżne zamiecie i mróz trzaskający. Musiał zbudować dom przed nadejściem zimy, więc pracował jak wściekły. Zbrakło mu jednak paru belek. Wziąwszy od Samojedów konie, ruszył do tajgi. Wybrał potrzebne mu drzewa i jął podpiłowywać.

Gdy zwałił jedno, wyprostował się i otarł czoło.

Wtem doszedł go daleki krzyk, trwożny i błagalny, a po nim groźny ryk, krótki, urwany. Lis nadśledził przez chwilę. Krzyk powtórzył się raz jeszcze, już bliżej, a wnet po nim chrapliwy ryk i wyraźny trzask tratowanych krzaków.

²⁷księżny (daw.) — dziś popr. forma D. lp: księżnej. [przypis edytorski]

²⁸etap (daw.) — miejsce postoju w czasie podróży; w carskiej Rosji: miejsce z barakami noclegowymi, gdzie przetrzymywano eskortowanych na Syberię skazańców po dniu podróży; czasem także przen.: zsyłka. [przypis edytorski]

Rosjanin, Krzywda,
Wolność

Niebo, Zima

Niebezpieczeństwo, Zwierzę

— Na po-moc! na po-moc! — niosło echo, zamierające w oddali.

Nie namyślając się długo, Lis porwał siekierę i popędził w kierunku krzyku. Posłyszał strzał, nowy ryk i jeszcze żałośniejsze wołanie o pomoc.

Zesłaniec dotarł wreszcie do obszernej polany i stanąwszy w krzakach, nad słuchiwał. „Ktoś biegnie w moją stronę...” — pomyślał, słysząc zbliżający się z chwilą każdą wyraźniejszy trzask i łomot gałęzi, tupot nóg i chrapliwe poryki.

Przebiegł polanę i zaczął się w krzakach, zaciskając w rękę siekierę.

Wkrótce z gąszczu wypadł jakiś chłopak, bez czapki, w podartym ubraniu, wyjący z przerażenia. Pędził jak szalony, nie oglądając się i nic przed sobą nie widząc. O kilkanaście kroków za nim, do czarnego, toczącego się kamienia podobny, biegł duży niedźwiedź brunatny. Małe ślepie błyskały mu wściekle, szczyrzył straszliwe kły i jeżył sierść na karku. Przebiegłszy kilka kroków, zwierz stanął na tylnych łapach, gotowy do napadu, lecz po chwili, przekonawszy się, że ofiara odbiegła daleko, pomknął znów za nią.

Lis od razu zrozumiał zamiary niedźwiedzia.

Bury drapieżnik chciał przeciąć drogę uciekającemu chłopakowi, zapędzając go na bagnisko, porośnięte sitowiem.

Szybko i cicho przedarłszy się przez krzaki, Lis stanął na ich skraju i podniósł siekierę w potężnym zamachu.

Nie pomylił się.

Kosmaty napastnik biegł szybko w jego stronę, a gdy na chwilę zatrzymał się i przystanął, aby obejrzeć okolicę, Lis spuścił mu na czaszkę ostrze siekiery, odwalając łeb i wybijając stal w ramię niedźwiedzia.

Zwierz runął bez życia, a Lis jął wołać na uciekającego. Nic już nie słysząc, nieprzytomny z przerażenia chłopak, gnał jak wichra, aż zniknął wkrótce w tajdze.

Zakończywszy robotę, Polak umocował belki na osi o dwóch kołach i poganiając drobnego, kosmatego, lecz bardzo silnego konika, wyciągnął drzewo z lasu. Wyjechałszy na drogę, ruszył w stronę osady.

Zastał tam wielkie poruszenie.

Ludność osiedla otaczała chłopaka, który drżącym głosem opowiadał, że napadł go znieca niedźwiedź i gonił przez tajgę. W tym momencie nadszedł Lis. Przyjrzał się blademu chłopakowi i zawołał radośnie:

— Sieńka! To ty byłeś?!

Poznał bowiem syna kupca Rodionowa, czternastoletniego Szymona, którego polubił za cichy, łagodny wyraz oczu i śpiewną mowę.

— Nie bój się! — dodał ze śmiechem. — Już ten czaldon ciebie nigdy nie dogoni! Ubilem go siekierą... Idź teraz i zabierz mu kozuch na pamiątkę przygody!

Poklepał chłopca po ramieniu i poszedł do pracy, po drodze opowiadając żonie o wypadku w kniei.

— Bardzo jestem rad, Julianko, że mogłem się odwdziżyć tym dobrym ludziom za ich przyjaźń dla nas! — zakończył Lis swe opowiadanie.

— Chwała Bogu, żeś był w lesie, inaczej z pewnością na rodzinę naszych przyjaciół spadłby ciężki cios! — zawołała żona zesłańca.

Znowu zastukała siekiera, wcinając się w świeże, smolne drzewo, leciały drzazgi, zgrzytała piła i syczał hebel, wyrzucając długie, skręcające się wióry.

Dopiero gdy mrok zapadł, powrócił zesłaniec do domu. Zastanowiły go na chwilę skupione, poważne twarze Rodionowych, zapłakane oczy żony i matki kupca i radosne błyski w oczach Sieńki i jego młodszej siostry, czarnowłosej Duni.

Obmywszy się i przebrawszy po pracy, wraz z Julianną poszedł na wspólną wieczerzę, jak to się odbywało codziennie.

Cała rodzina Rodionowych była już przy stole.

Gdy weszli Polacy, wszyscy się podnieśli, a sam Rodionow głosem pełnym przejęcia i wzruszenia zwrócił się do Lisa z tymi słowy:

— Uratowałeś nam jedynego syna! Nie możemy wyrazić ci, bracie, wdzięczności naszej inaczej, jak tylko czynami, bo język ludzki słaby jest i zdradliwy. Teraz wiedz, że możesz liczyć na nas w każdej potrzebie, jak na najbliższą rodzinę!

Tyle zaledwie powiedział Michał Rodionow, kupiec i rybak narymski.

Lisowie dziękowali wszystkim i wyrażali radość, że mogli odwdziżyć się za ich dobroć i przyjaźń, bo na obczyźnie brak jej bodaj najdotkliwiej odczuwali.

Na tym cała ceremonia się zakończyła.

Przy wieczerzy już nikt ani słowem o przygodzie Sienki, ani o czynie Władysława Lisa nie wspomniał.

Jednak szczęśliwe i zagadkowe spojrzenia, rzucane przez Rodionowych, zwróciły na siebie uwagę Polaków. Nie wiedzieli jeszcze, czym mają to sobie objaśnić.

Władysław Lis po wieczerzy i modlitwie już układał się do snu, gdy uszu jego doszły jakieś głośnie rozmowy przed domem, skrzypienie kół i gwar znacznego tłumu ludzi. Ponieważ wszystkie te odgłosy wkrótce się oddaliły i umilkły, usnął spokojnie.

Rano, tuż o świcie, zabrawszy narzędzia, pobiegł do roboty.

Jakież było jego zdumienie, gdy ujrzał całą gromadę Samojedów, którzy pod przewodnictwem Rodionowa uwijali się wokoło niedokończonej chaty.

Cztery duże ogniska, palące się przy domu, nie zdążyły jeszcze wygasnąć.

Zesłaniec wydał okrzyk radości. Budowa chaty przez noc znacznie posunęła się naprzód. Ciesle pokrywali już dach deskami i nabijali białe gonty. Stolarze dopasowywali framugi w oknach i w drzwiach, inni strugali deski na stoły, szafy, łóżka i stolki.

Do stojącego w osłupieniu Lisa zbliżył się Michał Rodionow.

— Gdym opowiedział Samojedom o uratowaniu przez ciebie syna mego, nazwali cię sprawiedliwym człowiekiem. Żyję z Samojedami po dobremu, bo nie myślę, że Rosjanin jest lepszy od tuziemca, nie chępię się swoim pochodzeniem i nie krzywdzę nikogo. Samojedzi postanowili wspólnymi siłami dopomóc ci, bo sam nie zdążyłbyś ukończyć budowy przed zimą. Patrz! Dzisiaj nad ranem szron okrył już ziemię. Rad bym was mieć u siebie na zawsze, lecz wiem, że we własnym kącie człowiekowi zawsze różniej i przyjemniej; no, to i ja do roboty stanąłem i Sienka tuż przy mnie!

— Dziękuję wam... dziękuję!... — wybełkotał wzruszony zesłaniec. — Niech wam Bóg wynagrodzi...

— Co tam rozprawiać o wdzięczności! — machnął ręką kupiec. — Cóż bym ja miał wam rzec za poratowanie syna?! Stawajcie do roboty i tyle! Myślę, że za trzy dni chata stanie jak żywa, cha, cha, cha! Już posłałem po cegłę do Arguna, naładuje ją mój przyjaciel Osipow i ze swoim zdunem na pauzku²⁹ spuści z biegiem Obi, to i piece wnet staną...

Stało się istotnie tak, jak obliczał Rodionow.

Samojedzi i Rosjanie pracowali w dzień i w nocy, nie żałując rąk i wysiłku. W ciągu tygodnia stanął niewielki domek, o jednej dużej i dwu małych izbach, z obszerną kuchnią, gdzie się piętrzył potworny, ale za to ciepły piec rosyjski. Nawet drzwi i ramy okien zdołano pomalować niebieską farbą i wstawić przezroczyste, cienkie szyby z miki³⁰. Wszystkie szpary pomiędzy belkami i framugami szczelnie zatkało mchem, jelenią sierścią i pakułami, ustawiono łóżka, stoły, szafy i inny sprzęt domowy.

W ten to sposób powstała siedziba Władysława Lisa i jego żony, Julianny z Truskowskich, co to byli spokrewnieni z Joanną Grudzińską³¹, księżną łowicką, małżonką cesarzewicza Konstantego. Wchodząc do swego domu, pełni wdzięczności dla ludzi, ufności i miłości wzajemnej, nie pamiętali, może nie chcieli pamiętać, że nowa siedziba prastarego rodu Lisów założona została nie nad brzegami rodzimej Bzury, lecz na wygnaniu — nad Obiā, potężną rzeką syberyjską.

Przypomnieli sobie o tym później, gdy siedząc we dwoje w milczeniu, patrzyli na dogorywające smolne luczywo, palące się w piecu. Wtedy to Władysław podniósł nagle głowę i zawołał:

— Słysz, Julianko, co za dziwny traf?! Pamiętam, jakbym wczoraj dopiero słyszał o tym, jak ciotka Romerowa rozповідаła o dawnych przewagach i splendorach Lisów! Ona to wspomniała wtedy, że niejaki Marcin Lis, sławny zagończyk pułkownika

Dom

²⁹ *pauzok* (ros. *пauзok*) — płaskodenna łódź rzeczna do transportu towarów na płytkiej wodzie. [przypis edytorski]

³⁰ *mika* — błyszczący minerał z grupy krzemianów, bardzo luźny, często spotykany w postaci cienkich blaszek. [przypis edytorski]

³¹ *Grudzińska, Joanna* (1791–1831) — księżna łowicka, od 1820 żona rosyjskiego wielkiego księcia Konstantego; zmarła pół roku po śmierci męża. [przypis edytorski]

Aleksandra Lisowskiego³², zapędził się był aż hen, pod Berezów, i brzegiem Obi szedł, aż po bitwie, ciężko postrzelony, uchodzić musiał za Ural. No, widzisz, serce moje, że poszedłem w jego ślady...

Uśmiechnął się smutnie i zakończył:

— Postrzelony ciężko pod Grochowem i w lasku ołtarzewskim uchodzić musiałem za tenże Ural i życie pędzić nad Obi...

Westchnęli oboje i wzięwszy się za ręce, milczeli.

Chociaż byli na obczyźnie, chociaż dusze ich rwały się do ojczystego kraju, wygnanie znosili z łatwością; otaczała ich bowiem szczerza życzliwość i współczucie prostych, uczciwych mieszkańców małej miejsciny, jaką był Narym, gdzie w owe czasy zaledwie jeden raz do roku przybywali urzędnicy, aby sądzić powaśnionych, ściągać podatki i krzywdzić spokojną ludność, wymuszając łapówki i przeróżne nieprawne pobory.

Pierwszego listopada spadł śnieg; mróz ściał go na kamień; słońce, coraz niżej podnoszące się nad horyzontem, roziskrzyło go milionami błysków i ogników, zielonych, czerwonych i niebieskich. Przyszła zima syberyjska, na ogół pogodna, choć mroźna; czasami tylko zawył wicher, zionął zamiecią, targnął szybami, zakolał do drzwi i usiłował zerwać poszycie dachu.

W chacie zesłańców ciągle przewijali się sąsiedzi.

Polacy, widząc, że w miasteczku nie ma szkoły, zaczęli uczyć dzieci; szczególnie trudnił się tym Władysław Lis, władający dobrze rosyjską mową.

Pani Julianna miała natomiast inne zajęcia: uczyła młode dziewczęta kroju, szycia i haftowania, a co najwięcej przywiązywało do niej serca ludzkie, leczyła i doglądała chorych.

Miała ze sobą poradniki lekarskie, a jej wuj, doktor Gałęzowski, przysłał do Narymu sporą paczkę nowych książek francuskich i niemieckich, pouczających, jak leczyć należy różne dolegliwości ludzkie.

Rozejrzawszy się dobrze podczas przejazdów z miasta do miasta, zrozumieli oboje, że olbrzymi Sybir pozostaje bez pomocy lekarskiej, więc prosili rodziców, dawnych znajomych i przyjaciół w Polsce, aby przysyłali im skuteczne lekarstwa, mikstury, dekokty³³, maści i zioła. Sypnęły się więc posyłki i wkrótce zbierała się spora apteczka, ustawiona w wielkim porządku.

Przychodzili do domku Lisów, a nawet przyjeżdżali z dalekich osiedli i koczowisk Samojedzi, Ostiacy, rosyjscy kupcy i przemysłowcy po poradę i leki.

Byli to chorzy przeważnie na febrę, zwykłą w błotnistych miejscowościach, reumatyzm, szkorbut, choroby skórne, trapiące koczowników, pędzących nędzne życie w brudnych czumach i chatach, a także zapalenie oczu, szeroko rozpowszechnioną dolegliwość, spowodowaną ciągłym dymem ogniska i płonącego w izbach łuczywa, którym oświetlano domy. Z tymi właśnie chorobami najsukuteczniej porała³⁴ się pani Julianna Lisowa.

Koczownicy, rybacy i łowcy kłaniali się jej nisko i płacili, kto czym mógł, a więc ogromnymi jesiotrami, kawiozem, skórkami kun, wydr i soboli, Rosjanie pozostawiali pieniądze lub obdarowywali tkaninami sprowadzonymi z Moskwy, domowymi statkami³⁵, cukrem, herbata, mąką pszenną, w owych czasach na Syberii prawie nieznaną.

Niczego więc nie brakowało w domu wygnańców, a gdy wychodzili na ulicę, ludzie uśmiechali się do nich radośnie i życzliwie, zblizali się z serdecznym pozdrowieniem, przetrząsając im ręce przyjaźnie.

Do szkółki Lisa uczęszczało około pięćdziesięcioro dzieci, które robiły szybkie postępy, z czego cieszyli się najwięcej Samojedzi. Niepiśmienni i nieczytelnicy tubylcy stawali się ofiarami niesumiennych urzędników. Pokazywali oni bowiem Samojedom różne papiery, nieraz szmatę starego dziennika, i na mocy nieistniejącego rozkazu władz żądali nowych podatków i różnych wysokich opłat, pobieranych bezprawnie.

³²Lisowski, Aleksander Józef (ok. 1575–1616) — pułkownik królewski, twórca i dowódca tzw. lisowczyków, oddziału lekkiej jazdy powstałego w 1611 i prowadzącego walkę podjazdową na wsch. i płn. rubieżach Rzeczypospolitej podczas wojny polsko-rosyjskiej (1609–1618); oddział złożony był z Kozaków, różnego rodzaju wykołajeńców i desperatów, którzy służyli za zysk z łupów, nie obciążając skarbu państwa kosztami żołdu. [przypis edytorski]

³³dekokt (daw.) — wywar. [przypis edytorski]

³⁴porać się (daw.) — trudzić się, mozolić się z czymś. [przypis edytorski]

³⁵statki (daw.) — sprzęt domowy, naczynia, narzędzia. [przypis edytorski]

Wygnanie

Zima

Lekarz, Syberia

Szkola, Nauka, Urzędnik

Teraz, mając w domu dzieci umiejące czytać po rosyjsku, mogli się już bronić przed zuchwałymi i zbrodniczym wyzyskiem urzędników, policji i sędziów.

Pierwsze nieznanne tu ziarna cywilizacji rzuciły dłonie polskich zesłańców, pokutujących w Sybirze za to, że pragnęli wolności dla swego kraju i narodu, umiłowanego całym sercem, czystym, bohaterskim i ofiarnym.

ROZDZIAŁ III. NOWY PRZYJACIEL

Gdy się zima syberyjska ustali, to już panoszy się i wścieka przez całe sześć miesięcy.

Tak też było i w opisanym roku. Po kilku dniach, w których gęsty, biały szron okrywał ziemię aż do południa, przyprószał tajgę i dachy domów, nadeszły ciężkie chmury, sypnęły śniegiem i znikły, spędzone nagle porywami północno-wschodniego wiatru.

Gruba warstwa śniegu natychmiast stężała na kamień, rozbłysła barwnymi ognikami kryształków lodu; białe esy-floresy wykwitły na szybach z miki, a wokół szpar w oknach narosły wewnątrz izb puszyste naloty białej sadzi i sople lodu. Pod nogami przechodniów skrzypiał śnieg, który przytłaczał ulice nędznego miasteczka; słońce nabrało czerwonych blasków, wschodziło późno i znikało raptownie w gęstych mgłach unoszących się nad rzeką.

Lasy, otaczające osiedle i dochodzące do brzegów Obi i Keci, stały się zupełnie czarne i niedostępne. Broniły ich bowiem przed ludźmi wysokie, sypkie wydmy śnieżne, z dniem każdym rosnące wzwyż, bo gęste zarośla krzaków podszytu³⁶ tamowały im drogę do głębin tajgi.

Po skwarnym lecie wypadła zima ostra, niebywale surowa. W tydzień po pierwszej śnieżycy uderzyły mrozy, a tak siarczyste, że „dymić” natychmiast zaczęły rzeki, popłynęły po nich białawe, mętne plamy, stwardniały na krę i zatamowały sobą wart³⁷ od brzegu do brzegu.

Nie mogła Ob zwalczyć tej przegrody, podniosła ją tylko, zsunęła ku niskiemu brzegowi i — wylała, zatapiając łąki na lewym brzegu i nizinne miejsca aż do Narymu.

Próżna jednak była walka rzeki-olbrzyma z zimą-władczynią północy!

Mróż, niebywały o tej porze roku, w mig skuł wartki prąd i unicestwił jego szalone wysiłki. Stanęły rzeki, okryły się lodem, a zamieć zrzuciła nań stosy śniegu iglastego, dzwoniącego jak szkło. Przepastne trzęsawiska, bagna, niezliczone oka jeziorzek, skryte w uroczyskach leśnych, wszystko znikło pod lodem i śniegiem. Zwarzone mchy, gąszcz paproci, kępki porosłe wrzosem i jagodą leśną legły pokotem, a wichur nasypał na nie białe kopce.

Ludzie wychodzili z domów otuleni aż po same oczy. Kozuchy, futrzane portki, wojłokowe buty — „pimy” albo „kisy”, kosmate czapy jelenie z uszami, zwykle tu „małachaje”³⁸ okrywały ciała mieszkańców, którzy zaledwie przez trzy miesiące zaznawali pieśczęty słońca.

Ostrożny, nieufny i przezorny Sybirak już w końcu września przygotowany był na spotkanie zimy. Przy domach, w kłeczkach³⁹ złożył zapas drzewa i łuczywa do opału i oświetlenia, w spiżarniach ryby solone i wędzone, mrożone mięso, mąkę, sól, masło, słoninę, kiszone ogórki i kapustę, suszone jagody — oblepichę, maroszkę, malinę, żurawinę, borówki i drobne kwaśne jabłka — dziczki. Kobiety nawarzyły konfitur z porzeczek, czarnych jagód, poziomek, jarzębiny i głogów, napełniły duże butle nalewkami na jagodach i ziołach wonnych, nasuszyły i nasoliły grzybów — borowików, rydzów, lisek i śliskich, smakowitych „gruzdzi”, porobiły zapasy cebuli, marchwi, pietruszki, kopru i dzikiego anyżu.

Na podwórkach stały sterty słomy i siana, w spichrzach skrzynie — „zakromy” z żytem, jęczmieniem i owsem.

Sybiracy starannie zaopatrzyli się na długą zimę północną. Tylko w nowym domku Lisów nie było prawie żadnych zapasów. Żona zesłańca zdążyła jeszcze zbierać trochę grzybów i jagód, a Lis, pożyczwszy od Rodionowa kotce — sznury ze zwisającymi hakami z przynętą — tuż przed nadejściem zimy spędził kilka dni na Obi, chwytając ryby.

³⁶ podszyt — podszycie lasu, krzewy i niskie drzewa, do kilku metrów wysokości. [przypis edytorski]

³⁷ wart — główny nurt rzeki. [przypis edytorski]

³⁸ małachaj — czapa futrzana. [przypis redakcyjny]

³⁹ kłec — nieudolnie sklecony budynek; tu: służący za skład lub spiżarnię. [przypis edytorski]

Zima, Syberia

Zima

Jedzenie

Nie były to nadzwyczajne okazy, w które obfitują rzeki syberyjskie; złapał jednak sporo dużych szczupaków, okoni, szczokurów⁴⁰ i piżjanów⁴¹, należących do rodziny sig⁴², a nawet zdobył kilka najlepszych i najdroższych tu ryb: nelm⁴³.

Zresztą tak się stało, że zesłańcy nie potrzebowali zbyt wiele zapasów. Wdzięczni mieszkańcy Narymu dostarczyli wszystkiego, czego było potrzeba zesłańcom, bo ci chętnie szli im z pomocą i pociechą.

Pani Julianna Lisowa, dowiedziawszy się o nagłej chorobie wójta, starego, dziobatego Samojeada Pyragi, przysłała do niego i zbadała go. Miał opuchnięte stawy i gorączkował. Młoda kobieta przyrządziła dla niego maść, nauczyła, jak należy nacierać i obwiązywać chore miejsca, i dała do picia jakieś gorzkie, piekące ziółka. Starzec wkrótce poczuł się znacznie lepiej, przyszedł podziękować lekarce, przynosząc w darze nowe buciki futrzane, piękną „dachę” z kołnierzem z wydry i takiż kołpaczek, ozdobiony wyszyciem z paciorków.

Ciągle teraz ktoś wpadał do Lisów. Były to najczęściej sąsiadki, które Julianna leczyła, pomagała im uszyć to i owo, uczyła nieznanych tu, ślicznych robótek ręcznych, doradzała w gospodarstwie. Te za to znosiły do chaty Lisów różne zapasy i potrzebne w domu przedmioty.

— Jak tak dalek pójdzie — śmiała się Polka — to z waszych spiżarni wszystko przemieszanie do naszej, a cóż dla was pozostanie?

Odpowiadały z wesołym uśmiechem, iż starczy dla wszystkich, gdyż Sybiraczka, jak wiewiórka, wie dokładnie, ile potrzeba robić zapasów do czasów wonzi.

— Co to jest „wonź”? — pytała Julianna.

— Jest to ta pora, w której po spłynięciu lodu rzeki przepelnione są rybami, sunącymi w górę, przeciwko prądowi, aby złożyć tam ikrę. Wtedy to wyrasta już świeża trawa, bydło się najada do syta i daje dużo mleka. Dobre nastają czasy! — mówiły z zachwytem mieszkanki Narymu.

W ciągu pierwszych dwu zimowych miesięcy Władysław Lis oddał się całkowicie szkole. Uczył dzieci sztuki czytania i pisania, przy czym i dorośli niepiśmienni mieszkańcy miasteczka przychodzili do niego ukradkiem przed żonami i dziećmi, aby posiąść tajemnicę wszelkiej wiedzy — alfabet.

Wieczorami zesłaniec zapraszał do siebie sąsiadów z rodzinami. Siadali przy piecu, w którym potrzaskiwały gałęzie modrzewiowe, tryskające czerwonymi iskrami. Mężczyźni pletli sieci, sporządzali narty⁴⁴, naprawiali futrzane pończochy łowieckie, a kobiety szyły lub pod kierownictwem Julianny haftowały. Pan Władysław, siedząc przy ścianie albo chodząc po izbie, przypominał sobie, czego się uczył z geografii w korpusie kadetów oraz to, co słyszał od podróżujących za granicą krewnych żony, i opowiadał o dalekich i nieznanym tym ludziom cudzoziemskich krajach, o życiu różnych narodów, o ich wiedzy i wielkim szlachetnym wysiłku woli, umysłu i serca.

Najczęściej jednak przechodził do historii, którą ze wszystkich nauk lubił zawsze najwięcej. Mówił wtedy o usiłowaniach ludzi, aby ustalić ład i sprawiedliwość na ziemi, o wielkich, świetlanych hasłach wolności, równości i braterstwa, o sławnych wynalazcach, podróżnikach, uczonych i prawodawcach, dowodząc, że ci skromni, usposobieni pokojowo ludzie stokroć więcej zaważyli na szali szczęścia ludzkości niż osławieni najezdźdźcy, zaborcy, zwycięscy wodzowie i przelewający potoki krwi bohaterowie.

Lis z zapałem mówił o wielkiej rewolucji francuskiej, o której czytał w Warszawie w pięknej książce, pożyczonej mu przez posła na sejm, pana Nakwaskiego; opowiadał o tym, że Francja rzuciła siew, który nie zginie, a jest nim wolność sumienia i wzniosłe prawa człowieka i obywatela. Dowodził z płomieniem w oczach, że chociaż krwawa to była rewolucja i w obłądnym strachu trzymała Francję, to jednak dokonała przewrotu

⁴⁰szczokur (ros. щокур), łac. *Coregonus nasus* — sieja ostronosa, gatunek ryby z rodziny lososiowatych, występujący m.in. w w rzekach i jeziorach na północy Rosji. [przypis edytorski]

⁴¹piżjan a. sieja piżjan, łac. *Coregonus pidschian* — gatunek ryby siejowatej, zamieszkujący w zbiorniki wodne północnej Europy i Syberii. [przypis edytorski]

⁴²sig (daw.; ros. *cu*, *sig*) — sieja, ryba z rodziny lososiowatych, żyjąca w jeziorach i rzekach. [przypis edytorski]

⁴³nelma — gatunek dużej ryby lososiokształtnej. [przypis edytorski]

⁴⁴narty — długie, wąskie deski mocowane do butów, przeznaczone do poruszania się po śniegu; także: wąskie sanie syberyjskie na długich płozach. [przypis edytorski]

w przekonaniach ludzkości i bezwiednie może utorowała nowe drogi dla nauki Chrystusa, o której świat coraz bardziej zapominał i w życiu ludzi i państw nie stosował.

Po jednej z takich pogadań Rodionow odprowadził na stronę Lisa i szepnął mu:

— Bój się Boga, bracie! Cóż ty opowiadasz? Mówisz akurat to samo, co głosili Rylejew, Pestel, Trubieckoj i Wołkonskij... i ci wszyscy, którzy należeli do jakiegoś tam tajnego stowarzyszenia, tego, co to policja nazywa teraz buntowniczą bandą dekabrystów⁴⁵!

— Rylejew, Pestel!... — szepnął Lis, przypominając sobie rewizje i dochodzenia w korpusie, gdy znaleziono tam pewnego razu życiorysy tych wrogów samowładnych carów.

— A widzisz? — ciągnął dalej kupiec. — Jedni z nich poszli na szubienicę, drudzy gniją po kopalniach syberyjskich... Nie daj Boże, dowiedzą się o twoich słowach władze, zgnijesz i ty w nerczyńskiej katordze⁴⁶, a i nam skórę wygarbują ci łapownicy!... Strzeż się, bracie!

Lis westchnął głęboko i odparł:

— Mówię to, co czuję i w co wierzę! Nie ma życia bez wolności, Michale Szymonowiczu, zapamiętaj to sobie! Dopóki pozwalacie, aby marni, występni urzędnicy jeździli na was jak na oswojonych reniferach, będziecie żyli jak ludzie bezbronni i ślepi. Tylko wolny, prawdziwie wolny naród może osiągnąć szczęście na ziemi!...

Rodionow skrzywił twarz figlarnie i szeptać zaczął, dusząc się od śmiechu:

— Powiadasz: wolny naród? Cha! Cha! A czy ty wiesz, bracie, że u nas za słowo „wolny” wrzucają do więzienia?! Opowiadał mi o tym syn sąsiada popa, seminarzysty z Kazania, uczony młodzieniec... Cha! Cha! Cha!... Jakiś człek napisał książkę kucharską, a w niej między innymi stało: „Pierogi z grzybami należy piec na wolnym ogniu”. Czy ty wiesz, co z tego wynikło?! Biedaka zesłano na osiedlenie, aby zapomniał o „wolnym” ogniu! Czy rozumiesz?

Polak wzruszył ramionami i odparł:

— Co się rzekło, to już pozostało w waszych sumieniach i myślach! O nic innego mi nie chodzi, przyjacielu miły! Przecież już ucierpiałem i cierpię za umiłowaną wolność...

— A mimo to jesteś zawsze wesoły i pogodny? — zauważył Rodionow.

— Bo wierzę, że wolność zwycięży! — zawołał Polak.

— Daj Boże, oby prędzej! — westchnął kupiec, lecz natychmiast usta dłonią przykrył i jął się oglądać bojaźliwie.

Gdy goście po takich pogawędkach żegnali gospodarzy, zjawiały się jeszcze dwie istoty, które pozostawały w chacie Lisów nieraz do północy. Jedną z nich była Dunia Rodionowa, cicha, skromna dziewczyna, przywiązana do pani Julianny całą duszą. Godzinami rozmawiała z nią, a wieczorem przychodziła pomagać, gdy młoda kobieta przyrządzała leki dla chorych.

Pani Julianna przed zamążpójściem zamierzała pojechać do Paryża, aby się uczyć medycyny, do której czuła od dzieciństwa powołanie. W tym to właśnie celu przebywała niegdyś w Petersburgu, aby przez protekcje księżny łowickiej uzyskać od cara Mikołaja I⁴⁷ pozwolenie na wyjazd do Francji, ponieważ cesarz nienawidził Francuzów za ich umiłowanie wolności i dlatego poddanych swoich poza granice imperium nie wypuszczał.

Drugim późnym gościem w domu Lisów był samojedzki łowiec Wotkuł. Przekradał się zwykle, gdy wszyscy już powracali do domów, wchodził do izby i siadał przy progu. Nic nie mówił, tylko patrzył czarnymi, bystrymi oczami. Ledwie dostrzegalny uśmiech błąkał się chwilami koło wydętych, ciemnych ust Samojeda i coś błyskało wtedy w jego nieruchomych, tajemniczych źrenicach.

Lisewie częstowali go herbatą z cukrem lub chlebem z kawałkiem mięsiwa i wkrótce przyzwyczaili się do odwiedzin milczącego gościa.

Pewnego wieczora Wotkuł przemówił:

⁴⁵dekabryści (od ros. *diekabr'*: grudzień) — grupa rosyjskich rewolucjonistów szlacheckich, którzy dążyli do obalenia jedynowładztwa i zmiany ustroju wznieśli nieudane antycarskie powstanie 26 grudnia 1825. [przypis edytorski]

⁴⁶katorga — ciężkie więzienie na Syberii. [przypis edytorski]

⁴⁷Mikołaj I Romanow (1796–1855) — cesarz rosyjski i król polski (od 1825), syn Piotra I, brat i następca Aleksandra I. [przypis edytorski]

— Wy — sprawiedliwi ludzie! — rzekł, mrużąc oczy. — Twoja kobieta wyleczyła starego Pyragę, wójta... To dobrze! Pyraga uratował mego ojca, gdy ten tonął w Obi... Pyraga jest przyjacielem mego starego i waszym przyjacielem...

To powiedziawszy, pochylił głowę do ziemi i czołem dotknął desek podłogi.

— Dziękujemy wam, Wotkule! — odparli Lisowie, ze zdziwieniem patrząc na Samojedę.

— Ty — ciągnął Wotkuł, wskazując na Polaka — walczyłeś o wolność, jesteś przede wszystkim człowiekiem sprawiedliwym! Samojedzi też walczyli niegdyś, lecz zostali zwyciężeni. Każdy może skrzywdzić, pchnąć, obić, oszukać, znieważać Samojedę, bo jest on wobec Urusa bezbronnym niewolnikiem! Musimy cierpieć teraz i milczeć... A ty sprawiedliwy człowiek! Mówił mi o tym Pyraga! Stary ma rozum i wie, co mówi. Chciałem ci powiedzieć od dawna, że twój druh — mój druh, twój wróg — wróg Wotkuła...

— Dziękujemy wam! — powtórzył Lis, wyciągając dłoń do tuziemca.

Ten wstał i pochylając mu się do ucha, szepnął:

— Pyraga otrzymał nakaz baczyć, abyś nie uciekł... Surowy nakaz!... Pyraga jednak powiedział mi, że jeżeli zechcesz uciekać, to powiedz mi o tym, a ja was przez tajgę przeprowadzę i ukryję... Pyraga nie wyda... Stary powie, że o niczym nie wiedział... Pamiętaj o tym!

Lis drgnął.

Uciec z tej surowej krainy, powrócić do ojczyzny, zawieźć umiłowaną żonę do domu rodzicielskiego, posłyszeć mowę ojczystą, odetchnąć powietrzem polskim!

Opamiętał się jednak i westchnął:

— Dziękuję wam, Wotkule, dziękuję za dobre chęci! — wyszeptał. — Nie skorzystam jednak z waszej dobroci i przyjaznej pomocy. Moja ojczyzna daleko stąd, nie potrafilibyśmy przekraść się do niej!... Nie, byłoby to szaleństwem!

Samojed usiadł, podwinąwszy nogi pod siebie, i mruknął:

— Com miał rzec, tom rzekł! Moje słowo — krzemień, a ty z krzemienia wykrzesz iskry!...

Słowa te uderzyły Polaka.

Po raz pierwszy baczniej przyjrzał się Wotkułowi.

Wysoki, barczysty i zwinny, miał ostre spojrzenie północnego łowcy, śmiałą, rozumną twarz i mocno zaciśnięte wargi, oznakę niezłomnej woli.

Lisowi błysnęła nagle myśl. Uśmiechnął się i rzekł:

— Dobrze! Od dziś zacznę krzesać iskry z tego krzemienia, Wotkule!

Samojed podniósł głowę i oczami wpil się w twarz Polaka.

— Słuchaj! — zaczął zesłaniec. — Straciliście wolność nie tyle dlatego, że was zwalczono, ile przez to, że pozostajecie w dzikości. Wrogowie wasi są przebiegli i nikczemni. Oni wiedzą, że ciemnota zgubi was, że wkrótce wymrzą wszyscy, a wasze ziemie, tajga i rzeki przejdą w ich ręce...

— Prawdę rzekłeś! — kiwnął głową Samojed. — Każdej niemal zimy wymierają całe koczowiska. Rosyjscy kupcy płacą nam za nasze towary wódką, urzędnicy łupią nas. Głodny, pijany, zrozpaczony człowiek prędko ginie!

Lis wzdrygnął się cały.

Po raz pierwszy posłyszał o tym, co się działo na Syberii, i dusza jego odczuła bunt na myśl o zbrodni władz wsłaniałego cara Rosji.

— A widzisz? Widzisz! — mówił, podchodząc do Samojedę. — Musicie się zatem bronić! Jedyną waszą broń to oświata! Uczę już kilku waszych młodzieńców, lecz tego mało! Przychodźcie do mnie wszyscy, a nauczę was nie tylko czytać, pisać i rachować, lecz doradzę, jak należy żyć, aby być godnymi nazwy ludzi, a nie bydła, na jakie zamierzają was zamienić wasi wrogowie.

Od tego pamiętnego wieczora Samojedzi z Narymu, a nawet z pobliskich okolic przychodzili do Lisa, a ten uczył ich i opowiadał, jak należy strzec się chorób i pijaństwa, jak wychowywać dzieci, jak trzeba rozumieć przepisy prawa, załatwiać spory pomiędzy sobą i Rosjanami, jak zawierać umowy z kupcami.

Dla tych pogadarek musiał przeczytać całą kupę książek, które przywiozła z sobą na wygnanie pani Julianna i które przysyłano im z Polski; przewertować obowiązujące prawo o syberyjskich tuziemcach i instrukcje przesyłane ze stolicy do władz miejscowych,

Wolność, Wróg, Wiedza

Pijaństwo, Upadek

Wiedza, Walka

choć urzędnicy syberyjscy od najwyższych dygnitarzy do najniższych oficjalistów z nieznanymi wyjątkami drwili sobie z rozkazów cara, ministrów i urzędów, rządząc gwałtem, wołającym o pomstę.

Wotkuł bardzo prędko nauczył się czytać po rosyjsku i ulubionym jego zajęciem stało się kaligraficzne wypisywanie różnych słów, które wydawały mu się tym piękniejsze i ważniejsze, im były bardziej długie i niezrozumiałe. Zdolny, pojętny i posiadający zdumiewającą pamięć Samojed robił szybkie postępy. Zajmowało go wszystko, toteż prowadził z Lisami nieskończone rozmowy i uczył się zawzięcie.

Pewnego razu zapytał:

— Kto jest lepszy, samojedzki Numa⁴⁸ — „Wielki Duch”, czy wasz Bóg?

— Znasz naszego Boga? — zadał pytanie Lis.

— Nie!

— A Wielkiego Ducha znasz?

— Modłę się do Numy od dzieciństwa, a on pomaga mi i broni, gdy jestem samotny w tajdze lub na warcie rzeczonym! — odparł z westchnieniem.

— Tedy⁴⁹ módl się do niego i nadal!! Z pewnością każe on wam nie zabijać, nie kraść, nie mówić nieprawdy, kochać wszystkich jak braci...

— Kochać wszystkich, a więc i Urusów? — przerwał mu Wotkuł, ze zdziwieniem patrząc na Polaka.

Lis zamierzał odpowiedzieć mu, lecz po chwili namysłu machnął ręką i nic nie odrzekł.

Przecież wiedział dobrze, że i on sam Urusów kochać nie potrafi.

— Módl się do swego Wielkiego Ducha, Wotkule! — powtórzył.

— Wkrótce już nasze spotkania muszą ustać... — rzekł cichym, smutnym głosem Samojed. — Zaraz po świętach narodzenia waszego Boga Samojedzi wyruszą do tajgi na łowy... Musimy zdobyć dużo skór, aby starczyło na podatki Urusom i aby głodu i nędzy nie było po czumach! Ciężkie czasy nadchodzą...

Lis zamyślił się i rzekł:

— Tę zimę muszę spędzić w domu. Nie mogę przecież pozostawić żony bez opieki?! Gdy się przyzwyczai do życia w Narymie, na przyszły rok wybiorę się z wami na łowy.

Wotkuł błysnął oczyma i głosem wzruszonym zawołał:

— Piękny to będzie czas! Po dziennych łowach rozpalimy sobie ognisko pod łapami świerków rozłożystych, będziemy patrzyli na ogień i słuchali syku pary, buchającej z kociołka... Tajga będzie przemawiała do nas setką przeróżnych głosów, gwiazdy będą migły w wyżynie, z szelestem spadnie skrzepły śnieg z gałęzi, strącony przez wiatr, a ty znów opowiesz nam o wszystkim... o wszystkim! Będzie słuchał ciebie Wotkuł, Habah i Gasta, będą słuchały świerki, rosochate modrzewie, czarne niebo i gwiazdy; ucho swoje ku tobie pochyli Wielki Duch, co niewidzialny przebywa w tajdze!...

W taki to dziwny sposób nawiązały się nici przyjaźni prawdziwej między zesłańcem-Polakiem a prostodusznym, wiernym w swym uczuciu, półdzikim tuziemcem-Samoje-dem znad Obi.

ROZDZIAŁ IV. SŁOWEM A PIĘŚCIĄ

— Żle! — zawołał pewnego razu Rodionow, wchodząc do domu Lisów. — Zamór się tworzy!

— „Zamór”? — powtórzył Lis, nie rozumiejąc znaczenia tego słowa.

— Od czasu do czasu na rzekach naszych lód zaczyna nabierać brunatnej barwy, a wtedy ryby usiłują przebić powłokę lodową — objaśniał kupiec. — Podczas zamoru, widać, braknie im powietrza, bo zdychają masowo. Gdy rzeka ruszy, tysiące trupów rybich płynie z prądem, a potem aż do jesieni żywe ryby unikają tych miejsc. Klęska to prawdziwa, bo przecież wiesz, jak ważne pożywienie dla nas stanowią świeże ryby!

Lis zamyślił się głęboko, a potem rzekł:

— Muszę pójść i zobaczyć ten wasz zamór!

Na Obi rybacy przebili już przeręble i skupili się koło nich. Polak stanął nad skrajem otworu i przyglądał się uważnie.

⁴⁸Numa — główne bóstwo Samojedów, inaczej Wielki Duch. [przypis redakcyjny]

⁴⁹tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

Z warkotem biegła rzeka skuta lodowym pancierzem i wypłuskiwała na śnieżną powłokę. Lis ze zdumieniem spostrzegł, że duże i małe ryby stłoczyły się koło przerębli i pływały niespokojnie. Niektóre, nie zdradzając strachu przed ludźmi, wynurzały się z wody i znowu wpadały w nią po to, aby po chwili powtórzyć ten sam manewr. Bez wątplenia musiało coś wpływać na to, że rybom nagle zbrakło powietrza, ale co, tego nie wiedział. I nie dziw, bo o wiele później dopiero uczeni wykryli istotną przyczynę zamoru, zjawiska, często zachodzącego nie tylko w północnych basenach wodnych, ale zdarzającego się też w europejskich gospodarstwach rybnych.

Zamór może mieć miejsce w takich rzekach i jeziorach, do których wpadają potoki i źródła obfitujące w żelazo oraz w wody torfowe. Te produkty szybko pochłaniają z rzeki potrzebny do życia ryb tlen.

Takiego objaśnienia istoty zamoru Lis nie znał, lecz rozumiał jedno: skoro rybom zabrakło powietrza, to należy im dać je w jak największej ilości. Naradziwszy się z Rodionowem, wójtem i innymi rybakami, Lis uplanował przebicie w lodzie kilku szerokich, w poprzek przecinających rzekę przerębli. Cała ludność stanęła do tej roboty z kilofami, kłonicami, siekierami a nawet piłami, którymi cięto lód. Dla ułatwienia ciężkiej pracy na powierzchni rzeki rozpalono ogromne ogniska, długie stosy suchej trawy, trzciny i porąbanych suchych krzaków. Przez kilka dni ryby tłoczyły się w szerokich pojmach — pasmach wolnej od lodu rzeki — lecz wkrótce zauważono, że ilość ich zmniejsza się z dniem każdym.

— A, a! — pomyślał Lis. — Ryby mają już dość powietrza, które dosięgło głębiny...

Skinąwszy na rybaków, rzekł do nich:

— Zdaje mi się, że znaleźliśmy skuteczny sposób na zamór! Nigdy on się już tu nie powtórzy, o ile będziecie utrzymywali przeręble w dobrym stanie, nie dopuszczając, aby zamarzyły. A teraz za powietrze, które daliśmy rybom, możemy zażądać od nich zapłaty. Spuśćmy niewody przez przeręble i zgarnijmy zapas świeżej ryby, bo to już post, a i święta Bożego Narodzenia za pasem!

Rybacy jęli się co żywo roboty.

Nielatwa to rzecz opuścić ogromne niewody do przerębli, gdzie rzeka rwie z zawrotną szybkością, a każdy ruch rybaka grozi mu poślizgnięciem się i wpadnięciem do toni bez nadziei ratunku, gdyż wartki prąd niezawodnie wciągnąłby go pod powłokę lodową. Przewidział to Lis, więc rybacy uwiązali do pasów sznur, którym wszyscy ze sobą byli połączeni.

Pomysł Polaka udał się.

Spuszczona przez jedną przeręblę sieć została wyciągnięta przez następną. Mozolna to była praca i długa. Wymagała zręczności, sprytu i siły, którą właśnie zadziwił wszystkich barczysty Władysław Lis.

Tam, gdzie potrzeba było dziesięciu ludzi, aby utrzymać unoszone prądem skrzydła sieci, wystarczał on jeden. Wpierał nogi w śnieg, wyteżał ramiona i kark walcząc z wartem Obi, porywającej długą matnię niewodu.

Gdy wyciągnięto sieć, ujrano zawartą w niej obfitą zdobycz.

Szczupaki, liny, okonie, miętusy były się, połyskując łuską w długim saku niewodu. Do innego połowu przyzwyczajeni byli Sybiracy, lecz świeża ryba zawsze lepsza jest od suszonej i solonej, toteż cieszyli się mieszkańcy Narymu i obdarowawszy Lisa, w koszach znosili zdobycz do domów.

Od tego czasu na Obi i Keci stałe widniały grupki ludzi oczyszczających przeręble od lodu. W ten to sposób Lis obronił Narym od klęski zamoru, a tym jeszcze bardziej podniósł i utrwalił ogólny szacunek dla siebie i swoje znaczenie wśród okolicznej ludności.

Wieść o sposobie walki z wymieraniem ryb ze zdumiewającą szybkością rozbiegła się po całym kraju, więc teje już zimy rybacy na Wachu, Czułymie i Tomi jęli zapobiegać zamorowi, robiąc duże przeręble na rzekach. Wtedy to po raz pierwszy posłyszano nazwisko wygnańca w stolicy zachodniej Syberii, Tomsku, przez który przechodził był, jako pędzony po etapach więziennych zesłaniec, posiadający wtedy kolejny numer, lecz nie mający ani nazwiska, ani imienia, gdyż był uważany za istotę skazaną na śmierć niechybną.

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia. Zaledwie kilka dni pozostawało już do wiii⁵⁰.

Mieszkańcy Narymu z niecierpliwością wyglądali poczty, którą dostarczano końmi z Tomska raz na miesiąc. Zdążyła na dwa dni przed świętami. Lisowie ze łzami odczytywali listy od rodziców Julianny, od ciotki — generałowej Homerowej i od państwa Kobierzyckich spod Sieradza, gdzie Władysław leżał był niegdyś ranny i gdzie wyznał Juliannie swoją miłość.

Wieści z kraju nie były radosne, bo ręka moskiewska coraz bardziej gnębiła naród polski, siała niezgodę pomiędzy włościanstwem⁵¹ a szlachtą, ścigała najsłabszy nawet przejaw dążenia do wolności i zachowania ducha narodowego. Jednocześnie jednak dowiedzieli się zesłańcy, że cała Polska, od dołu do góry, czasowo odrzuciła nieziszczalne na razie plany, bo ujrawszy, że brutalny wróg zagraża ziemi, wzięła się do wytężonej pracy, do niewidzialnej, cichej, a uporczywej obrony każdej piędzi ojczystej roli i każdej dziedziny życia. Przystano rzuconym na Syberię drogim istotom opłatki wigilijne, życzenia świąteczne i słowa pełne otuchy i nadziei; znalazły się też w listach jakieś głuche, półsłówkami wyrażone przewidywania możliwej amnestii dla więźniów i zesłańców politycznych. Poczta dostarczyła też Lisom skrzynię, w której znaleźli trochę bielizny, obuwia, mak, stale przysyłane lekarstwa i kilka nowych książek polskich, francuskich i niemieckich.

Pani Julianna przyrządziła wspaniałą ucztę wigilijną, tradycyjną litewską kucję⁵² na sianie, z kilkoma daniami rybnymi, z zupą grzybową z uszkami; był też tarty mak z miodem i ślizami⁵³.

Święto, Jedzenie

Lisowie przełamali opłatek i związani serdecznym uściskiem dziękowali Bogu, że nie rozłączył ich i nie pozbawił nadziei, mimo iż przeszli ciężką, męczeńską drogę.

Przy wieczerzy rozmawiali o drogich dla siebie osobach: rodzicach, krewnych i przyjaciółach, dalekich, a niezapomnianych nigdy.

Władysław Lis ożywił się nagle i rzekł z mocą w głosie:

— Dobrze jest, że Polska porzuciła na razie politykę! Ta rodzi nieraz niesnaski, waśnie i rozbija siły narodu. Praca to grunt! Im cięższa i żmudniejsza, tym lepsza! Jak wapno cegłę, tak ona zwiąże wszystko w jeden zwał niezłomny, a to, co rozluźniło się podczas sporów o władzę w dobie powstania, praca znowu wzmocni, zacieśni żelaznym pierścieniem wspólnego wysiłku. Dobrze jest! Nie upadajmy na duchu! Wierzmy w świetlaną przyszłość naszej ojczyzny!

Jakaś nadzieja, zdawało się na niczym nieoparta, wstąpiła w ich serca i rozplomieniła spojrzenia.

Odśpiewali kolędę, a potem nucić zaczęli z przejęciem:

„Jeszcze Polska nie zginęła...”

Ciche głosy Polaków, rzuconych na daleką północ, potężniały z każdą chwilą, aż wreszcie rozbrzmiały w całej pełni, wesołe, drgające zapałem do czynu i pewnością jutra.

Gdy skończyli pieśń, wtedy dopiero spostrzegli Wotkuła.

Wślizgnął się niespostrzeżenie i teraz swoim zwyczajem siedział na podłodze przy progu, podwinąwszy nogi pod siebie i spoglądając na gospodarzy ostrym wzrokiem czarnych, bystrych oczu.

— Siadajcie do stołu, przyjacielu! — zawołał Lis. — Żona poczęstuje was rybą i czymś, czego z pewnością nigdy nie próbowaliście.

Samojed przysiadł się i spożywał podawane mu jadlo szybko, jak gdyby z jakąś niecierpliwością.

Zauważył to Lis i pytająco spojrzął na gościa.

— Są nowiny, a nie wiem: dobre, czy złe? — szepnęła Samojed. — Woźnica, który przywiózł pocztę, opowiadał w zajeździe, że zaraz po świętach zjechać mają do Narymu urzędnicy... A przybędzie też ten najgorszy z Urusów: Safianow... Mówił też woźnica, że

⁵⁰wilia (daw.) — wigilia, przeddzień, tj. dzień poprzedzający ważne wydarzenie; tu: wigilia Bożego Narodzenia. [przypis edytorski]

⁵¹włościanin (daw.) — chłop. [przypis edytorski]

⁵²kucja a. kutia — tradycyjna potrawa wigilijna kuchni wschodniej, robiona z gotowanej pszenicy lub kaszy z utartym makiem oraz miodem i różnymi bakaliami. [przypis edytorski]

⁵³śliże — litewska nazwa drobnych ciasteczek, podawanych z utartym na miodzie makiem (danie wigilijne). [przypis redakcyjny]

niedawno wiózł policmajstra⁵⁴ z Tomska do Szitana. W rozmowie z komisarzem policji Urus często wspominał wasze nazwisko.

Lis zamyślił się.

Nowiny były istotnie ważne, a do przyjemnych nie należały. Jednak po chwili uśmiechnął się i z beztroską machnął ręką:

— Niech wspominają sobie — mruknął — chociaż, co prawda, wolałbym, żeby zapomnieli o moim nazwisku...

Zapanowało milczenie. Przerwała je Julianna:

— A może ktoś doniósł o twoich rozmowach z uczniami, Władeczku?... — szepnęła z obawą w głosie.

— Ech, cóż znowu? — wzruszył ramionami Lis. — Czyżbyśmy mieli wśród nas szpiegów i donosicieli? Co mamy zaprzętać sobie głowy? Przyjadą, wtedy dowiemy się.

Wotkuł, podjadłszy, stanął przy drzwiach i kłaniał się w pas.

— No, do jutra, przyjacielu! — rzekł, podchodząc do niego pan Władysław.

— Nie! — odparł z westchnieniem Samojed. — Nim świt rozbłyśnie, opuszczę z towarzyszymi osiedle. Idziemy do tajgi... Musimy zbudować zimowe obozowisko, gdyż polowanie będziemy mieli w dalekiej tajdze... a tymczasem okres łowów już nastaje... Bądźcie zdrowi! Niech Wielki Duch ma was w swej opiece! Jeżeli będziesz mnie potrzebował, szepnij memu synowi Gandze: „Biegnij po ojca!”. Więcej nic! On już znajdzie mnie, bo rozpozna moje zasięki na drzewach... Bądźcie zdrowi!

Bez szmeru otworzył drzwi i zniknął w ciemnej sieni. Szedł tak lekko, że nawet śnieg nie skrzypiał pod jego futrzanymi chodakami.

Gdy nazajutrz Lis odwiedził Rodionowa, ten opowiedział mu, że Samojedzi, którzy zamierzali polować w pobliżu Łosiowych Jarów, ruszyli tej nocy na łowy.

Rodionow, dowiedziawszy się o możliwym przyjeździe urzędników z Safianowem na czele, porwał się na równe nogi.

— To coś nowego! — wybełkotał. — O tej porze nigdy nie przyjeżdżali do nas. Skoro jednak ma zawitać tu Safianow, niczego dobrego spodziewać się nie możemy! Będziemy mieli kłopoty, przykrości i wydatki, bo to stary wyga, drapieżny, chciwy łapownik!

— Nie rozpaczajcie, Michale Szymonowiczu, jakoś damy sobie radę z nim! — uspokajał go Lis.

— Właśnie wy dacie sobie z nim radę! — z oburzeniem zawołał kupiec. — Wy, zesłaniec bezprawny?! Musicie raczej zaszyć się do jakiejś nory i pary z ust nie puścić, bo inaczej zadręczy was...

Lis wzruszył ramionami.

— Ja tam kryć się nie myślę! — odparł. — Mam czyste sumienie...

— Safianow tak się zna na czystym sumieniu, jak koza na pieprzu! — syknął z nienawiścią Rodionow. — Stary wilk, lis i żmija to jest Safianow! stał się takim, będąc dozorcą katorgi sąlairskiej, gdzie był postrachem więźniów.

— A teraz czym jest? — spytał Lis.

— Starszym radcą przy gubernatorze, jego oczami i prawą ręką! — odpowiedział kupiec. — Rządzi gubernatorami jak chce. Jeżeli któryś z nich okazał się człowiekiem uczciwym i zaczynał ścigać urzędników za bezprawie, łapownictwo i inne nadużycia, Safianow zawsze potrafił urządzić tak, że gubernator szedł pod sąd i zostawał wydalony. Nikt dotąd nie odważył się z nim zadrzeć!

— Ależ napędził on wam strachu! — zaśmiał się zesłaniec.

— Straszny to człek! Zresztą wkrótce ujrzysz go na własne oczy... — mruknął Rodionow.

— Widziałem straszniejszego, bo samego cara Mikołaja! — uśmiechnął się Lis.

Pomilczeli chwilę, po czym kupiec, uspokoiwszy się nieco, rzekł:

— Chodźmy nad rzekę, tam dziś od rana odbywa się widowisko, które się zowie u nas wojniczka. Urządzają ją nasi Samojedzi i Rosjanie z Tatarami tamtego brzegu. Popisują się tam co najciekawsze chlopy!

— O cóż im poszło? — spytał pan Władysław.

⁵⁴policmajster (ros. полицмейстер, z niem. *Polizeimeister*) — naczelnik policji w stolicy guberni lub innym większym mieście Rosji carskiej. [przypis edytorski]

— O nic, bo to tylko zabawa, która odbywa się co roku w pierwszy dzień Bożego Narodzenia! — objaśnił kupiec. — Chodźmy, zobaczysz ją, a warto widzieć, bo rzecz ciekawa i podniecająca!

Skierowali się ku rzece. Na brzegu stłoczyli się wszyscy mieszkańcy: mężczyźni, kobiety i dzieci.

Na lodzie widniały kupki uczestników tej syberyjskiej „zabawy”.

Lis myślał, że ujrzy zwykłe zapasy siłaczy i borykanie się, lecz natychmiast przekonał się o swej pomyłce.

Była to prawdziwa, zażarta bitwa.

Rozpoczęli ją chłopaki, drobiazg jeszcze, otulone w baranie kożuszki, w kosmatych małachajach i wołokowych butach. Chłopcy bili się z krzykiem i piskiem, machając rekami, tonącymi w przydługich rękawach kozuchów i żółtych skórzanych rękawicach. Wodzili się za czuby, okładali pięściami, padali, ślizgając się na gładkim lodzie i hałasując straszliwie, lecz wkrótce z jeszcze głośniejszymi krzykami jęli uciekać.

Do bitwy ruszyli w tej chwili wyrostki, zmiotli ze swej drogi zmykający przed nimi i czubiący się drobiazg i dopadli przeciwników.

Zmieszały się szeregi i łamać się zaczęły, to po jednej, to po drugiej stronie.

Dochodziły odgłosy ciężkich razów, głuche, złe okrzyki, brzydkie wyzwiska.

Tam i sam z jękiem padali zapaśnicy, rażeni pięściami w brzuch lub skroń. Na śniegu coraz częściej wykwitwały szkarłatne plamy krwi. Płynęła ona obficie z rozbitych nosów i warg, pękających pod ciosem ciężkich, skórzanych rękawic.

Lis nie mógł ochłonąć ze zdumienia.

Zabawa, przy której z taką łatwością leje się krew?!

Było to coś niezrozumiałego dla Polaka. Wstrętem i oburzeniem przejęło go to dzikie widowisko.

— Krew? — wyszeptał, oczami wskazując na pole bitwy.

— A tak! — z beztroskim wyrazem na twarzy zaśmiał się Rodionow. — Nieraz nawet kogoś tam zabijają podczas wojniszki! Cóż chcecie?! Przy tej okazji można załatwić stare porachunki lub dokonać zemsty!... Takie tu panują u nas prastare obyczaje. Przyjeżdżał do Narymu pewien uczonec i badał zabawy ludowe. Co do wojniszki, to opowiadał później, że powstała ona bardzo dawno, wtedy gdy rosyjscy ludzie za cara Iwana Groźnego⁵⁵, po podbiciu Syberii, zaczęli się tu osiedlać. Tacy wyzywali na pojedynek lub na zbiorową bójkę tuziemców: Tatarów, Samojedów i Ostiaków, ale przedtem umawiali się, że zwycięzca dostanie szmat łąki lub tajgi, albo też stanie się właścicielem pewnej części rzeki, gdzie odtąd tylko on może rzucać sieci. Tuziemcy chętnie stawali do bitwy, bo w ten sposób mogli się mścić na najeźdźcach. Dlatego to zabawa tego rodzaju nabrała takiego okrucieństwa i zawzięcia! Prastary to zwyczaj syberyjski!

Lis chciał coś odpowiedzieć, lecz słowa zamarły mu na ustach.

Zobaczył straszny obraz.

Wyrostki zmykali w tej chwili z placu boju, a ku niemu mknęła gromada dorosłych Tatarów, Samojedów i rosyjskich rybaków. Każdy z walczących był uzbrojony. Jedni zaciskali w pięści kawał ołowiu, drudzy mieli kije w rękę, inni długie, ciężkie dyszle lub grube maczugi.

Cała ta grupa, hałkując⁵⁶ i wymachując rękami, pędziła w stronę przeciwników, którzy przy przeciwległym brzegu rzeki stali gotowi do odparcia ataku. Zastukały, załomotały kije i drągi, ryk i nowe okrzyki wstrząsnęły zastygłym powietrzem, grzmocić jęły potężne pięści, owinięte rzemieniami. Natychmiast zaczęły sylwetki padających ludzi, tratowanych nogami walczących.

— Ogły! Ogły! — dobiegły ponure nawoływania Tatarów.

— Gałga! Gałga! — odpowiedziały im gwałtowne okrzyki Samojedów.

— Ach! — zawołał Rodionow. — Teraz dopiero zacznie się prawdziwa bitwa! Słyszysz? Tatarzy wołają do bitwy swego siłacza, olbrzyma Ogły, który z łatwością łamie podkowy,

⁵⁵Iwan IV Groźny (1530–1584) — wielki książę moskiewski, pierwszy władca Rosji, który koronował się na cara (1547); w latach 1565–1572 wprowadził *opryczninę*, politykę umacniania swojej autorytarnej władzy przez stosowanie terroru, zastraszanie ogółu ludności oraz pacyfikację wyższych warstw społecznych. [przypis edytorski]

⁵⁶hałkować — wydawać dzikie okrzyki bojowe, wzywać Allaha. [przypis edytorski]

a Samojedzi wystawią przeciwko niemu Gałę, osiłka straszliwego. Czy wiesz, że on duże koło od wozu przerzuca, jak lekki kamyk, poprzez dach domu?! Będzie zabawa! Dziś bez zabójstwa się nie obejdzie!...

Lis nie słuchał więcej opowiadania przyjaciela.

Podgarnął poły kozucha i popędził przez rzekę.

Dopadłszy walczących, jął roztrącać ich, odrywać zwartych ze sobą przeciwników, rozłączać bijących się. Ten i ów z nich, wściekły na nagłą zawadę, podnosił nad Lisem ciężki drąg, lecz nie zdążył go opuścić, gdy coś wyrywało mu broń, a samego podrzuciło, zakreślało w powietrzu i ciskało do wysokiej zasy śnieżnej, ciągnącej się pod urwiskiem.

Lis uwijał się po pobojowisku, krzycząc na cały głos:

— Stójcie! Mam ważne wieści... Ani kroku dalej, bo... chcę mówić do was! Słuchajcie! Słuchajcie!

Niewiele pomagały okrzyki i nawoływania Polaka, więc niedługo myśląc, jął porywać walczących i wstrząsać nimi tak, że aż pasy na nich pękały, odrywały się poły i rękawy kozuchów.

Wtedy dopiero cofać się zaczęły przed nim szeregi podnieconych bitwą półdzikich ludzi, rozpadać się na mniejsze grupki, aż wszyscy się rozpierzchli i stanawszy na uboczu, z przerażeniem i z podziwem przyglądali się temu zwykle spokojnemu i pogodnemu człowiekowi. Lubili go przecież wszyscy i szanowali, a teraz zaimponował im i w zachwyt wprowadził siłą i prawie nieuchwytną szybkością ruchów.

Na placu wojnizki pozostało tylko dwóch zapaśników: Ogły, ogromny, ponury, kałużkowaty Tatarzyn i takiż rozrosły, barczysty, jednooki Gałga-Samojed. Okładali się wzajemnie ciężkimi dyszlami, usiłując ugodzić przeciwnika w głowę i zręcznie unikając niebezpiecznych ciosów.

— Rozejdźcie się! — zawołał Lis, biegnąc ku nim. — Zaniechajcie głupiej bitwy!

Na chwilę oprzytomnieli i spojrzeli na mówiącego złymi, groźnie błyskającymi oczyma. Po chwili odezwał się Ogły:

— Odejdź i nie mieszaj się do naszych spraw! — zamruczał.

— Odejdź, bo oberwiesz od nas obydwóch! — wtórował mu ochryplym głosem jednooki Samojed.

— Nie przerwiecie bójkę? Nie rzucicie tych drągów? — już gniewnie patrząc na nich, zapytał Lis. — Pytam was po raz ostatni!

Ogły zaklął straszliwie i z podniesioną pięścią skoczył ku Polakowi.

Z drugiej strony biegł ku niemu Gałga, dyszlem zakrećwiwszy młyńca.

Mieszkańcy Narymu i położonych naprzeciwko, na drugiej stronie Obi, tatarskich wsi — Kujalskiej, Daurskiej i Kustarewej, ujrzeni coś niebywałego. Ledwie bowiem dobiegli zbrojni przeciwnicy Lisa, jakaś siła nieznaną oderwała ich od ziemi, machnęła w powietrzu, niby olbrzymimi, czarnymi szmatami, zderzyła głowami i z rozmachem rozciągnęła na śniegu.

Po chwili nad leżącymi schylił się Lis, wyrwał im drągi z rąk, a potem, ucapiwszy za baranie kołnierze, powłókł po śniegu ku pobliskiej przerębli i jął płukać w niej olbrzymów, rzekłbyś, praczka myjąca w rzece pasma nieodbielonej tkaniny.

Wypłukawszy starannie i tym otrzeźwiwszy chłopów, włókł ich dalej ku narymskiemu brzegowi, krzyknawszy na innych:

— Hej tam! Za mną! A wszyscy! Wszyscy!

Nie sprzeciwiając się, zbitym tłumem, głowa przy głowie, niedawni przeciwnicy sunęli za nim.

Mieszkańcy osiedla otoczyli Lisa kołem.

On zaś, postawiwszy na nogi Tatara i jednookiego Gałę, przemówił do wszystkich:

— Przelew krwi, bójkę i morderstwo nazywacie zabawą? Wojnizki wam się zachciewa?! Zapomnieliście o dniu narodzenia Syna Bożego, którego umęczono za to, że uczył ludzi miłować się wzajemnie, jak bracia? A wy tymczasem gotowi jesteście pozabijać się dla zabawy? Póki ja tu jestem, nie będzie więcej wojnizki! Mówię wam po dobremu, a jeżeli nie usłuchacie, potrafię przekonać was o tym czym innym, a czym, to już dziś widzieliście! Chcecie siłę swoją pokazać? Dobrze! Biercie sznur długi i mocny i ciągnijcie go! Kto kogo przeciągnie, ten zwycięży! Wyzywajcie jeden drugiego na rękę, borykajcie się, gońcie, lecz wara od bójkę!

Lis wypowiedział te słowa tak donośnym i groźnym głosem, że w tłumie natychmiast rozległ się pomruk:

— Sprawiedliwie mówi! Po co bójka? Wielkie Świąto... Narodził się Chrystus Zbawiciel... Dobrze mówi!

Resztę święta spędzili zapaśnicy na lodzie, borykając się różnymi sposobami, lecz tego dnia już nikt nie widział na śniegu śladów świeżej krwi.

— Ależ macie siłę w garści! — z zachwytem zawołał Rodionow, gdy wieczorem Lisowie przyszedli na herbatę do przyjaciół.

— Ech! — machnął ręką pan Władysław. — Miałem dwa razy tyle, ino mi rany i etapy zabrały jej sporo.

— Starczy wam! — uśmiechnął się kupiec.

— Ja też tak myślę, przeto się nie troskam zbytnio! — zaśmiał się zesłaniec. — Nie mogłem dziś wytrzymać! — dodał, jak gdyby się usprawiedliwiając. — Gdy pomyślałem, że dzikie zwierzęta podczas zabawy nie czynią sobie krzywdy, a tu nagle ludzie krew z siebie wypuszczają dla widowiska, żartu, wesołości! No, wtedy...

Urwał nagle i namarszczył czoło, patrząc w ziemię.

Rodionow parsknął śmiechem i dokończył:

— Wyplukaliście w przerębli Gałę i Ogły, a oni, gdyście przemawiali do nas, stali niby słupy z lodu, a trzęśli się niczym liście osiki... Cha! Cha! Cha!

— Może źle uczyniłem? — zapytał Lis.

— Gdzież tam! — zawołał kupiec. — Doskonale! Był tu pewien misjonarz, człek uczony, on też przeciwko wojniszkom powstawał i „dzikością ohydną” nazywał ten zwyczaj... Dobrzeście zrobili, sprawiedliwie!

Rodionow jął przypominać sobie wypadki tego dnia i na głos opowiadał o nich, wybuchając głośnym śmiechem, w którym było tyleż wesołości, ile szczerego zachwytu nad niezwykłą siłą przyjaciela.

ROZDZIAŁ V. REWIZOR

Narym z niepokojem oczekiwał zapowiedzianego przyjazdu urzędników. Łamano sobie głowy nad tym, co może sprowadzać o tej porze roku tak nieprzyjemnych gości, lecz nikt nie mógł dać wyjaśniającej odpowiedzi. W dwa dni po świętach wpadł do osiedla konny kozak, oszroniony, półzamarnięty, o brodzie i wąsach, okrytych soplami lodu. Długo nie mógł mówić, wreszcie ogrzawszy się i wychyliwszy pięć kubków gorącej herbaty, poczuł się na siłach i oznajmił, że nazajutrz zawita komisja, złożona z kilku osób.

Istotnie, takie komisje zjeżdżały z rzadka do miast syberyjskich.

Zbrodnicze władze syberyjskie śledziły bacznie, żeby żaden list opisujący istotny stan rzeczy nie dostał się poza Ural, a zwłaszcza do stolicy. Jednak czasami rząd petersburski otrzymywał z Syberii dochodzące bocznymi drogami doniesienia i skargi na bezprawie gubernatorów, komisarzy policji i prokuratorów. Wtedy to z Petersburga posyłano potajemnie zaufanego urzędnika lub oficera, zaopatrzonego we wszelkie pełnomocnictwa, a ten zjawiał się nagle we wskazanym miejscu i przystępował do rewizji⁵⁷.

W opisanym roku na rewizję Tomskiej guberni przybył sekretarz ministerstwa spraw wewnętrznych, młody prawnik, baron Alfred Toll, pochodzący z rodziny nadbałtyckich Niemców, wychowanek uniwersytetu heidelberskiego. Rewizor zażądał, aby pokazano mu najbardziej na północ położone miasto guberni. Był to właśnie Narym.

Baron wyruszył w drogę, mając ze sobą radcę gubernialnego Włodzimierza Safianowa, naczelnego lekarza, Niemca, doktora Gustawa Grubera, komisarza policji północnego obwodu, Iwana Rusina i inspektora podatkowego, starego urzędnika, Szymona Kapuścina.

W towarzystwie kilku niższych funkcjonariuszy komisja na sankach odbywała daleką podróż.

Przed urzędnikami pędzili konni kozacy, ci, którzy pełnili straż po drogach i ścieżkach, aby zesłańcy nie uciekali z miejsc osiedlenia, za co dostawali po pięć rubli za każdego schwytanego lub zabitego zbiega. Kozacy ci bez wiedzy rewizora przygotowywali przed

⁵⁷rewizja — tu: kontrola. [przypis edytorski]

przybyciem jego rozstawne konie⁵⁸, wygodne noclegi i obfite uczty, które ofiarowywano urzędnikom, rzekomo w imieniu „wdzięcznej i szczęśliwej ludności”.

Młody, pełen dobrej woli, kulturalny baron Toll nie podejrzewał nawet, że kozacy i niżsi funkcjonariusze policji, tak zwani uriadniki⁵⁹, oraz szeregowi posterunkowi zwoływali do urzędów wójtów, najzamożniejszych mieszkańców i żądali pod groźbą więzienia lub chłosty — prowiantów, wina i pieniędzy na wspaniałe przyjęcie rewizora i asystujących mu urzędników. Policja obchodziła wszystkie domy, chaty i czumy tuziemców, grożąc ciężkimi karami i prześladowaniami w razie, gdyby ktoś z mieszkańców ośmielił się wystąpić ze skargą na ucisk władz miejscowych.

Wkrótce po przybyciu kozaka nadjechały sanie, a z nich wygramolił się spod baranicy uriadnik policyjny i kazał wójtowi skrzyknąć ludność na wiec.

Gdy wszyscy się zgromadzili przed domem Pyragi, policjant basowym, ochryplym głosem oznajmił:

— Jutro w południe przybędzie tu rewizor z komisją. Wyznaczono mu na mieszkanie dom kupca Michała Rodionowa. Hej, Rodionow! Musicie się przenieść z rodziną do kogoś z sąsiadów, uporządkować dom, żeby aż błyszczał i świecił od czystości! A wy, obywatele Narymu, znoście, co macie najlepszego, aby należycie przyjąć dostojnych gości! Kto nie ma nic szczególnego w spiżarni, ten musi wpłacić mi dziesięć rubli. Tuziemcy mają ofiarować panu rewizorowi z Petersburga upominki: skórki sobole i kunie, futerko wydry na kołnierz do płaszcza i w ogóle wszystko najcenniejsze, aby rewizor was długo i mile wspominał. Tylko niech się nikt nie waży z jakąś tam głupią prośbą lub, broń Boże, skargą wyjeżdżać, bo powiadam wam, jak tu stoję przed wami, ja, Ostap Kriwonogow, tak do grobu takiego wpędzę! N-no zrozumieliście?! Zapamiętajcie to sobie dobrze!

Skończył i gwizdnął nahajem⁶⁰ w powietrzu, surowym wzrokiem obrzucając stłoczonych przed sobą mieszkańców Narymu. Dostrzegł wreszcie Lisa, którego konwojował niegdyś na etapach. Kiwnął w jego stronę ręką i zawołał:

— A zesłaniec polski niech lepiej na oczy rewizorowi się nie pokazuje. Surowy to pan i buntowników nie lubi!

Lis wzruszył ramionami obojętnie i odparł spokojnie:

— Nie mam żadnych interesów do pana rewizora, więc nie będę się kwapił z poznamieniem go.

— No, to już i wszystko! — odetchnął z ulgą Kriwonogow i ujął Rodionowa pod ramię. — A teraz, Michale Szymonowiczu, ugość mnie, jak przystoi, i daj mi jakiś kąs, abym mógł się dobrze przespać. Chodźmy!

Rodionow zgnębiony i stroskany szedł obok policjanta i obliczał w duchu, ile go będzie kosztowała ta nieoczekiwana wizyta petersburskiego urzędnika.

Uriadnik zaś ciągnął dalej:

— Ha! Mądry to człek ten polski buntownik! Cha! Cha! Patrzenie no go! Powiada: „nie będę się kwapił z poznamieniem rewizora”! Zręczna, ostrożna sztuka! To nie to, co dekabryści, którzy byle co, wnet wylażą ze skargą. A czy ty wiesz, Michale Szymonowiczu, że gdyby zesłaniec wasz zechciał rozmawiać z rewizorem, to ten by go na pewno z uwagą wysłuchał? Pan radca Safianow obawia się tego najwięcej, bo wie, że wy nic gadać nie będziecie, Samojedzi też, gdyż wszyscy wiecie, co was za to czeka! Cha! Cha! Cha! Inaczej z Polakiem Lisem, oj inaczej!

Zniżył głos i dokończył:

— Czy ty wiesz, druhu, że żona Lisa jest niby krewniaczką jego cesarskiej mości, miłościwego cesarza... Mają ci Polacy przy sobie listy polecające od wielkiego księcia Michała⁶¹, feldmarszałka Paskiewicza⁶² i wielkiego marszałka dworu, generała-hrabiego

⁵⁸rozstawne konie — świeże, niezmczone konie umieszczane dawniej w pewnych odległościach w karczmach lub innych punktach na trasie, żeby umożliwić podróżnym wymianę zmęczonych wierzchowców lub zwierząt w zaprzęgu i dzięki temu szybsze przebycie drogi. [przypis edytorski]

⁵⁹uriadnik (ros.) — niższy stopniem policjant w carskiej Rosji. [przypis edytorski]

⁶⁰nahaj — skórzany bicz z krótką rączką. [przypis edytorski]

⁶¹Michał Pawłowicz Romanow (1798–1849) — wielki książę Rosji, syn cara Pawła I. [przypis edytorski]

⁶²Paskiewicz, Iwan Fiodorowicz (1782–1856) — feldmarszałek rosyjski, głównodowodzący wojsk rosyjskich na Kaukazie w czasie wojen z Persją i Turcją; członek Sądu Najwyższego sądującego dekabrystów; w 1831 stał na czele wojsk rosyjskich tłumiących powstanie listopadowe, zdobył Warszawę i został dożywotnim namiestnikiem Królestwa Polskiego. [przypis edytorski]

Benkendorfa⁶³... Twardy to orzech do zgryzienia! Na to nawet pan radca Safianow nie poradzi... Wierzę jednak, że mądry z tego Lacha człowiek i żadnej przykrości nam nie sprawi...

Rodionow zrozumiał, że musi podtrzymać dobre zdanie Kriwonogowa o zesłańcu, więc rzekł:

— Spokojny, cichy, mądry to człowiek! Lisowie żyją po Bożemu... Ona leczy chorych, on nas od zamoru wybawił... Mądrzy, spokojni ludzie, to prawda! Wróg by o nich inaczej nie powiedział.

Przez cały wieczór i noc w Narymie panował ruch. Robiono porządki w domu Rodionowych, ozdabiano wieńcami ze świerków i żurawin ściany izb i otaczano girlandami ganek, gdzie wójt i starszyna miasteczka mieli powitać rewizora chlebem i solą. Posypywano piaskiem ulice i placyk miejski, a po bokach traktu wtykano w śnieg młode, ścięte świerki.

Pani Rodionowa z sąsiadkami skubała ptactwo w kuchni, skrobała ryby, przebierała suszone jagody i wykopane z piasku w piwnicy jarzyny, przygotowując się do przyrzędzenia uczyty dla gości.

Sam Kriwonogow doglądał wszystkiego, lecz szczególnie zajęty był badaniem znoszonych zewsząd butelek z wódką, nalewkami i winem. Próbował osobiście każdego napoju, a tak starannie, że już przed południem zataczał się na nogach i nie mógł mówić, wydając jakieś niezrozumiałe pomruki i poryki.

Wreszcie wpadł do Narymu jeździec i wrzasnął:

— Jadą! Jadą!

Stłoczony na placyku tłum mieszkańców wkrótce ujrzał w oddali kilka sani. Szybko zbliżyły się, pozostawiając poza sobą obłoki zmarzłego śniegu i pary buchającej z koni.

Nagle pierwsze sanie zatrzymały się przy wjeździe do miasteczka. Stała się rzecz nawet przez samego Safianowa nieprzewidziana.

Wzrok barona Tolla padł nagle na nowy domek o szerokich oknach i złocistych ścianach ze świeżych, roniących żywicę belek modrzewiowych. Rewizor wyraził życzenie poznać wewnątrz domu prawdziwego Sybiraka. Szybkim krokiem wbiegł na ganek i zapukał.

— Proszę wejść! — rozległ się spokojny, dźwięczny głos niewieści.

Baron pchnął drzwi i wszedł do sieni.

Na progu izby, oświetlona słońcem, stała wiotka kobieta o złocistych włosach, słodkim, pogodnym obliczu; czarna gładka suknia z białym kołnierzem koronkowym uwydatniała jeszcze bardziej biel i delikatność jej cery, podkreślała dostojne i piękne kształty nieznaną jej.

Urzędnik zdjął czapkę i ukłonił się. Wobec tej kobiety stał się nie groźnym rewizorem, postrachem dalekiej, głuchej prowincji, lecz człowiekiem światowym, obracającym się w najlepszych salonach stolicy, więc pochylając głowę, wymienił swoje nazwisko:

— Baron Alfred Toll, sekretarz pana ministra.

— Proszę wejść! — powtórzyła nieznaną, skinieniem ręki zapraszając gościa do izby. — Pan z pewnością ma interes do mego męża? Natychmiast pójde po niego. Jest na górze...

Na chwilę pozostawszy sam, urzędnik rozejrzał się po pokoju. Wyczuł w nim coś odmiennego, podczas pobytu na Syberii nigdzie niespostrzeganego. Na ścianach wisiały mapy, a jedna z nich miała duży, czarny napis: „Polska”. Na półce stały książki. Zbliżył się i omal nie wydał okrzyku zdumienia. Poradniki lekarskie, kilka powieści i grube tomy klasycznych dzieł francuskich i niemieckich myślicieli, uczonych i twórców prawa mogły istotnie wywołać zdziwienie przygodnego podróżnika po dzikiej, zacofanej Syberii.

Gdy nieznaną powróciła, a za nią wszedł barczysty, o śmiałej twarzy mężczyzna, rewizor spytał po niemiecku:

— Państwo nie są chyba Sybirakami?... Wygląd państwa... te książki...

⁶³Benkendorf, Aleksander von (1783–1844) — generał rosyjski, doradca Mikołaja I Romanowa; członek komisji śledczej w sprawie dekabrystów; inicjator utworzenia i od 1826 pierwszy naczelnik korpusu żandarmów oraz III Oddziału Kancelarii Osobistej Jego Cesarskiej Mości (tzn. rosyjskiej tajnej policji), rozwinął sieć szpiegów i środki represji w państwie. [przypis edytorski]

— Istotnie! — odparł mężczyzna z ukłonem. — Jesteśmy Polacy... Do usług: Władysław Lis, zesłany z wyroku sądu za udział w wojnie tysiąc osiemset trzydziestego pierwszego roku.

Do pokoju wetknął łysą czaszkę jakiś urzędnik.

— A, pan radca Safianow?! — przeciągnął niezadowolonym głosem baron. — Proszę poczekać na ganku... chwilkę!

Gdy Safianow, rozgoryczony i zaniepokojony, zniknął, Toll rzucił krótkie pytanie:

— Jakim sposobem pani towarzyszy mężowi w tym odludziu?... To przecież straszne... straszne!

— Taka była wola mojej żony — odparł Lis — a zezwolenie na swój pobyt tutaj otrzymała za pośrednictwem ciotki, księżny łowickiej, z prywatnej kancelarii cesarskiej.

— Ach, księżna pani!... Tak bardzo rozpaczła po śmierci cesarzewicza, że wkrótce po jego śmierci sama zmarła!... — westchnął Toll, lecz natychmiast pytał dalej: — Czy państwo zadowoleni są z traktowania ich przez władze?

— Nie mieliśmy dotąd żadnej styczności z władzami — odpowiedział zesłaniec.

— Co słyszeliście państwo o policji i sądach swego obwodu? — wypytywał Toll.

— Przywieziono nas tu dopiero w tym roku. Mieliśmy dużo kłopotów z wybudowaniem domu, z jakim takim urządzeniem życia, nie mieliśmy czasu na inne sprawy... — wymijająco odrzekł Lis. — Zresztą pierwszym przedstawicielem władzy, którego widziemy tu, jesteś pan, panie rewizorze.

Toll zainteresował się życiem i pracą zesłańców, wyraził im uznanie za ich działalność w dziedzinie oświaty i pomocy chorym i żegnając Lisów, oznajmił:

— W razie potrzeby proszę zwrócić się do mnie: baron Alfred Toll, Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, Petersburg. Ten adres wystarczy! List państwa z całą pewnością zostanie mi doręczony!

Lis odprowadził rewizora na ganek.

Kilka par oczu z obawą i źle utajoną groźbą wpilo się w spokojną twarz zesłańca. Urzędnicy drgnęli, gdy Toll potrząsnął ręką „buntownikowi” i rzekł wesołym, przyjaznym głosem:

— Do widzenia, panie Lis!

Gdy komisja zdążyła pieszo do miasteczka, Safianow szepnął do rewizora:

— Ten człowiek, to zesłaniec, buntownik polski, panie rewizorze...

Toll spojrział na niego pogardliwie i dorzucił:

— ...A nie dodał pan radca, że jest on także inteligentnym człowiekiem!... Ale, ale, doktorze Gruber! Musi pan koniecznie odwiedzić panią Lisową i porozumieć się z nią, bo jest ona, jakby to wyrazić... koleżanką pana; lecz ludność miejscową... Widziałem u niej pierwszorzędne dzieła lekarskie... niemieckie dzieła! Może ona być pomocna panu doktorowi!

— To bardzo, bardzo ciekawe! — łamaną mową rosyjską odpowiedział naczelny lekarz. — Niezawodnie odwiedzę... odwiedzę!

Tłum witał przybywające władze gromkimi okrzykami:

— Hurra! Szczęśliwego przyjazdu! Dobrego zdrowia! Hurra!

Sypały się pozdrowienia i życzenia, których przez cały ranek uczył mieszkańców Narymu pijany Kriwonogow, przy czym najmniej pojętych walił nawet nahajem przez łeb i kłął tak, że aż szyby dzwoniły.

Komisja weszła do przyozdobionego zielenią domu Rodionowych, poprzedzana przez dziobatego Pyragę, który szedł, płacząc się w długiej sukmanie, z blachą wójta na piersiach i niósł tacę, na której na bogato haftowanym ręczniku leżał bochenek chleba ze srebrną solniczką — pierwszy dar dla rewizora.

Ręcznik ten urzędnik zabrał pewnej samotnej wdowie, a solniczkę „znalazł” w kredensie Rodionowych.

ROZDZIAŁ VI. NIEBEZPIECZNA GRA

Radca Safianow był starym, doświadczonym wygą. Widział już w swoim życiu najgroźniejszych rewizorów, ale umiał sobie zawsze z nimi radzić. Miał na to sposób niezawodny, niejednokrotnie wypróbowany. Wszyscy bowiem rewizorzy, przybywający na Syberię,

Władza, Służalność

Urzędnik, Władza

popelniali jeden i ten sam błąd.

Wpadali tu w niezłomnym przekonaniu, że w miastach syberyjskich nikt nie wie o ich przybyciu i istotnym celu tej wizyty. A tymczasem żerujący na bierności i ciemności Sybiraków urzędnicy, dochodzący nieraz łapówkami do wielkiej zamożności, nie darmo dzielili się swymi dochodami z urzędnikami petersburskimi. Ci to właśnie bacznie śledzili zarządzenia władz centralnych i donosili swoim kolegom za Uralem o wyznaczonych rewizjach tajnych.

Zwykle zdarzało się tak, że już w Jekaterynburgu⁶⁴ rewizor spotykał na stacji pocztowej Sybiraka, człowieka prywatnego, który ujmował nowego towarzysza podróży uprzejmością i grzecznością, bawił rubasznym dowcipem i w międzyczasie informował o kraju i jego mieszkańcach bardzo zręcznie, ze wschodnim podstępem i przebiegłością urabiając opinię rewizora.

Petersburski urzędnik w takim wypadku nie podejrzewał nawet, że wesoły, beztroski, hojny przyjaciel zawczasu był podesłany przez gubernatora, prezesa sądu syberyjskiego lub izby skarbowej.

Taki był pierwszy błąd rewizorów. Popelniali oni jeszcze inny.

Jazda po marnych drogach syberyjskich, w niemożliwie trzęsących powozach, które, unoszone przez trójkę półdzikich koni, pędziły w dzień i w nocy, w tumanach śnieżnej zamieci i mroźnej mgły, była niezwykle uciążliwa i wyczerpująca.

Zziębnięty, głodny, zdrtętwiały człowiek czuł się niemal szczęśliwy, wchodząc do dobrze ogrzanej izby, gdzie stał stół z przygotowanym obiadem i szeregiem butelek różnych kształtów i kolorów. Mimo woli jadło się wtedy za wiele i piło się bez miary, po czym... panu radcy Safianowowi spadała troska z serca! Sprawa była załatwiona, bo udobruchany, trochę zażenowany, lecz ujęty serdecznym przyjęciem rewizor zostawał ujarzmiony na zawsze. Roztkliwiony i niezupełnie przytomny nieopatrznie przyjmował upominki, ofiarowywane mu „ze szczerego serca”, tak bardzo krępujące w dalszym postępowaniu.

Tak też się stało i z baronem Alfredem Tollem.

Pod koniec obiadu u Rodionowych, najedzony, troszkę podpity, obdarowany skórkami czarnych soboli, dwiema niezwykle puszystymi wydrami i błamem niebieskich popielic, zapalił sobie wonne cygaro holenderskie i uśmiechał się do opowiadającego anegdoty Safianowa.

Radca czuł się w wyśmienitym humorze, bo wiedział, że groźnego rewizora ma już w kieszeni. Przestał się więc obawiać przykrości, lecz przypomniawszy sobie, że się znajduje w kraju obfitującym w znaczne bogactwa, postanowił czasu nie marnować i odpowiednią chwilę wyzyskać.

Skinąwszy na komisarza policji i urzędnika podatkowego, wyszedł z nimi do sąsiedniej izby i szepnął:

— Nie traćcie sposobności, braciszku! Ja tu już tego baronka ze swoich kleszczy nie wypuszczę, a wy tymczasem pochodźcie po chatach i czumach samojedzkich. Żądajcie wypłaty podatków... a mówcie, że działacie z rozkazu rewizora.

— Podatków?! — przerwał zdumiony urzędnik. — Na jesieni ściągaliśmy wszystko, i to z lichwą⁶⁵, panie radco!

— E-e, czyś się wczoraj dopiero urodził, Piotrze Pawłowiczu?! — zachnął się Safianow. — Samojedzi albo wcale nie dostają od was pokwitowań, albo też kręcą z nich papierosy i spalają... W razie czego powiecie rewizorowi, że żądacie nieuregulowanych dotąd podatków. Ale nie może tu być żadnego gadania! Od czegoż jest nasz miły, energiczny komisarz policji Iwan Własowicz?! On z pewnością nauczy tuziemców zalecanego przez starożytnych mędrców zwyczaju: milczeć, milczeć i jeszcze raz milczeć! Cha! Cha! Cha!

Po tej krótkiej naradzie Safianow powrócił do izby, gdzie rewizor pił herbatę z arakiem⁶⁶ i konfiturami, przy czym oczy mu się kleiły, a głowa raz po raz opadała na piersi.

⁶⁴Jekaterynburg — miasto w azjatyckiej części Rosji, leżące po wschodniej stronie środkowego Uralu, zał. w 1723, nazwane na cześć cesarzowej Katarzyny I, żony imperatora Piotra I Wielkiego. [przypis edytorski]

⁶⁵z lichwą coś pokryć, wynagrodzić itp. (daw.) — z naddatkiem, z nawiązką, ze znaczną korzyścią. [przypis edytorski]

⁶⁶arak — aromatyczny, mocny napój alkoholowy, wyrabiany z ryżu z dodatkiem melasy z trzciny cukrowej. [przypis edytorski]

Baron Toll odszedł wkrótce do przeznaczonego mu pokoju, aby wypocząć po podróży i zbyt obfitym obiedzie syberyjskim. Po chwili już spał, lecz i przez sen nie przestawał chwalić kawioru z jesiotra, wędzonych nelm, pierogów z gruzdziami, jarząbków w sosie śmietanowym i placków polanych konfiturą z malin.

Tymczasem w domach samojedzkich panował popłoch.

Urzędnik pokazywał im jakiś papier i żądał zapłaty podatków. Nic nie pomogły przysięgi tuziemców, że przed pół rokiem ściągnięto z nich podatki oraz haracz, którym obłożyła ich policja. Isprawnik⁶⁷ i towarzyszący mu urzędnicy wymachiwali pięściami i batami, rozbijając nosy, wargi najbardziej opornych Samojedów i wyciągali ze schowków pieniądze lub najdroższe futra.

Prawdopodobnie sztuka ta udałaby się znakomicie, bo wójt Pyraga, ogarnięty strachem, w milczeniu przyglądał się bezprawi i gwałtowi, gdyby nie syn Wotkuła, czternaścieletni chłopak Ganga, który prędzej od innych uczniów Lisa posiadał był sztukę pisania i czytania.

Gdy urzędnik z policją wdarł się do domu łowca i zażądał od matki Gangi zapłacenia podatków, chłopak wystąpił naprzód i oznajmił:

— Ojciec mój Wotkuł jeszcze w sierpniu zapłacił wszystko!

— Łżesz! — ryknął komisarz policji. — Oto rozkaz rewizora, a w nim stoi, że musicie płacić!

To mówiąc, machnął przed twarzą chłopca papierem.

— Pokaż, naczelniku! — rzekł Ganga i szybkim ruchem wyrwał dokument z ręki komisarza.

Jakież było zdumienie urzędnika, gdy chłopak, wyraźnie i szybko sylabizując, odczytał:

— Lista opłaconych podatków w mieście Narymie...

Poszukawszy chwilkę w spisie nazwisk, znowu przeczytał:

— Samojed Wotkuł, łowiec, w wyznaczonym przez prawo czasie opłacił, rubli srebrnych...

Komisarz nie czekał więcej, porwał papier z rąk Gangi, uderzył chłopca pochwą szabli i kopnął nogą. Po tak bohaterskim czynie spojrzął na swoich towarzyszy. Ci stali zmieszani i patrzyli na niego z niepokojem. Komisarz zastanowił się na chwilę, odchrząknął i marszcząc brwi, mruknął:

— Nie chcecie płacić? Zaraz idę ze skargą do pana radcy Włodzimierza Safianowa, a on już wam pokaże, gdzie raki zimują! Dzikie bestie!... Łby dębowe!...

Urzędnicy opuścili chatę Wotkuła i szli w stronę domu Rodionowa, naradzając się po cichu.

Stary Pyraga, który sunął za nimi, przystanął nagle i ukrywszy się za domem, przecze-kał, aż Moskale oddalą się, po czym podążył szybko ku domowi Lisów. Wszedł i oniemiał.

Przy stole siedzieli Lisowie, a naprzeciwko nich Safianow i stary doktor Gruber, towarzyszący rewizorowi. Radca gubernialny czuł się jak na niemieckim kazaniu, bo istotnie doktor rozmawiał z zesłańcami po niemiecku. Wypytywał o stan zdrowia ludności, o sposoby i lekarstwa, które stosowała pani Julianna, chwalił ją, podziwiał jej wiedzę, a potem długo obiecywał przysłać dla niej całą pakę z towarami aptecznymi, dziękował za skuteczną pomoc władzom i za szlachetną działalność, tak bardzo potrzebną w Syberii, pozbawionej pomocy lekarskiej.

Stary Niemiec tak się rozgadał, że nie dawał Safianowowi dojść do słowa.

Wreszcie radca zdążył wstawić pytanie:

— O czym mówiliście z panem rewizorem? — mruknął, spode łba, nieufnie patrząc na Lisa.

Zesłańcowi krew uderzyła do twarzy. Podniósł głowę i odparł z oburzeniem:

— Nikt nie ma prawa pytać mnie o to! Nie jestem aresztantem więziennym!

— Ta-ak? — przeciągnął Safianow. — A czy ty, bratku, wiesz, że ja cię mogę w barani róg zapędzić, zniszczyć, zdeptać?

— Sądząc ze słów pana radcy, przypuszczam, że nie zatrzyma się pan przed żadnym gwałtem i nikczemnością, ale to stanie się z czasem... Teraz zaś wymawiam sobie poufaleść względem mnie, żądam porzucenia owego „ty” w rozmowie ze mną i radzę pamiętać, że

⁶⁷isprawnik (z ros.) — urzędnik stojący czele powiatu (ujezdu) w carskiej Rosji. [przypis edytorski]

w tej chwili znajduje się pan u mnie, w moim domu, w obecności kobiety... Nie chciałbym sprawić panu przykrości.

— Ach! Polecisz ze skargą na mnie do rewizora?! — zaśmiał się złośliwie Moskal.

— Nie! Tylko pan radca może wylecieć za drzwi... — ze spokojem odpowiedział Lis i podniósł szerokie bary.

— Och! Och! — parsknął śmiechem doktor Gruber. — Dobrze powiedziane... A ty, Włodzimierzu Iwanowiczu, strzeż się, bo widzę, że to zębaty wilk, choć nazywa się Lis! Cha! Cha! Cha!

Zesłaniec spostrzegł Pyragę dającego mu jakieś znaki.

Wstał i wyszedł za nim do sieni. Wójt opowiedział mu o gwałtach dokonywanych przez urzędników, odgrazających się zemstą Safianowa.

Lis zamyślił się. Zrozumiał dokładnie, że przed chwilą uczynił sobie z Safianowa nieprzejednanego wroga. Należało więc usunąć go raz na zawsze.

Postanowił też działać bez zwłoki.

— Słuchaj i zrozum dobrze! — szepnął do wójta. — Obiegnij domy i czumy Samojedów, zbierz wszystkie papiery, jakie przechowują tuziemcy w skrzyniach i skrytkach, a gdy Safianow z doktorem odejdą, przynieś mi to wszystko!

Przez kilka chwil jeszcze szeptał coś do ucha Samojeda, przekonywał i objaśniał.

— Rozumiem — kiwnąwszy głową, odparł wreszcie Pyraga. — Biegnę!

Lis powrócił do izby, gdzie doktor Gruber przeglądał nowy poradnik lekarski, napisany po niemiecku przez Czecha Jungmanna⁶⁸, rektora uniwersytetu w Pradze, zaopatrzonego w rysunki, których stary Gruber nigdy nie widział. O medycynie bowiem naczelny lekarz syberyjski od dawna zapomniał był doszczętnie. Zamiast gruntownej wiedzy posiadał dyplom doktora medycyny zdobyty na uniwersytecie dorpackim i to wystarczało mu najzupełniej. Toteż gdy Gruber znalazł po chwili na półce z książkami inne znowu dzieło, Johanna Helfricha Jungkena⁶⁹ *O środkach leczniczych naturalnych i sztucznych*, ucieszył się bardzo i trzaskając w palce, wykrzykiwał:

— O! O! To dzieło! Wielkie dzieło... sławne!

Pani Julianna, zaniepokojona utarczką męża z Safianowem, nie mogła jednak powstrzymać ironicznego uśmiechu.

Wprowadzając doktora Grubera w zachwyt dzieło Jungkena od dawna już było zapomniane przez lekarzy jako przestarzałe i w wielu wypadkach posiadające poważne błędy. Pani Lisowa miała je wyłącznie z powodu załączonego doń spisu wszystkich znanych ziół i innych roślin leczniczych. Nie powiedziała tego jednak pani Julianna i spokojnie wysłuchiwała zachwyków starego Niemca.

Radca Safianow palił fajkę i milczał, rzucając złośliwe spojrzenia na gospodarzy.

Wreszcie wytrząsnął popiół i mruknął:

— Doktorze, chodźcie już! Pan rewizor przespał się na pewno i zechce zwiedzić miasto. Musimy mu towarzyszyć, aby różni donosiciele nie wprowadzili go w błąd.

To mówiąc, wyraziście spojrzął na Lisę i wyszedł, nie skinąwszy mu nawet głową. Gruber długo potrząsał ręką pani Lisowej i znowu obiecywał jej dostarczenie paki z lekarstwami i materiałem opatrunkowym, a więc z szarpią, płóciennymi bandażami, proszkiem węglowym, „piekielnym kamieniem”⁷⁰ i wszystkim, co posiadał na składzie w Tomsku.

Ledwie się drzwi za gośćmi zamknęły, pani Julianna rzuciła się do męża.

— Władczku! Cóż teraz będzie? — szeptała. — Przecież on gotów zgnać ciebie, ten ohydny gbur Safianow? Ma takie złe oczy... Boję się o ciebie!

— Z pewnością, że już obmyśla dla mnie jakąś przykrą niespodziankę... Jest to wróg niebezpieczny, mający tysiące sposobów szkodenia nam. Nie mogę liczyć na szlachetność z jego strony, nawet jeśli się przekona, że nic o nim z baronem Tollem nie mówiłem. Na

⁶⁸Jungmann, Antonin (1775–1854) — czeski lekarz-poloźnik, od 1839 rektor Uniwersytetu Karola w Pradze; autor napisanych po niemiecku książek: *Lehrbuch der Geburtsbülfē* (Podręcznik położnictwa, 1812) oraz *Das Technische der Geburtsbülfē, zum Gebrauche bei Vorlesungen über Operationen, für Mediciner und Wundärzte* (Położnictwo techniczne, do użytku na wykładach z chirurgii dla studentów medycyny i chirurgów, 1824). [przypis edytorski]

⁶⁹Jungken, Johann Helfrich (1648–1726) — niemiecki lekarz, autor wielu książek medycznych. [przypis edytorski]

⁷⁰piekielny kamień (łac. *lapis infernalis*) — azotan srebra, związek chemiczny znany od XIII w., ze względu na właściwości bakteriobójcze i przyżegające używany w medycynie jako środek antyseptyczny. [przypis edytorski]

takiego wroga należy samemu niezwłocznie napaść, uprzedzić jego atak, obezwładnić lub zgnieść do reszty. To też zamierzam dziś jeszcze uczynić.

Zamknął drzwi szczelnie, wyrzwał przez okno, aby się przekonać, że nikt ich nie podsłuchuje i jął objaśniać żonie swój plan. Pani Julianna słuchała uważnie, a gdy mąż umilkł, namyślała się długo, aż wreszcie rzekła:

— Inaczej chyba nie można postąpić! Dobrze to sobie ułożyłeś! Reszta będzie zależała od rewizora...

— Wygląda na człowieka oświeconego i uczciwego — odparł Lis i nagle wstał i podszedł ku drzwiom, szepcząc:

— Pyraga wraca! Ciekaw jestem, co przynosi z sobą i co z tego można będzie zrobić?!

Wójt wszedł i zdyszonym głosem zawołał:

— Obiegnę wszystkich naszych, objaśniłem, nauczyłem ich, jak kazałeś i zabrałem do ostatniego skrawka papiery, które znalazłem po chatach i czumach.

— Dobrze! — rzekł Lis. — Moja żona da ci kubek herbaty. Pij i milcz, mój stary, bo muszę uważnie przejrzeć te szpargały.

Rozłożywszy na stole przyniesione przez Pyragę papiery, przeglądał je uważnie. Były to poźółkle arkusiki lub pasemka o wypłowiałych pieczęciach i literach, było też kilka nowych kartek, na których widok zesłaniec ucieszył się niewymownie.

— Patrzcie! — zawołał z cichym śmiechem. — Moskale chcieli pobrać podatki od Wotkuła i starego Rabaha, a tymczasem tu czarne na białym stoi, że zapłacili wszystko, co zostało im wyznaczone! Zbrodnia niewątpliwa! Dostał się do matni pan radca!

Wertując papiery, wziął do rąk zwinięty w trąbkę jakiś gruby pergamin. Chciał go odłożyć na bok, lecz nagle coś go tknęło, więc rozwinął i jął czytać.

Był to stary dokument, pisany zawilum staroświeckim stylem, który prędko znużył Lisa, tym bardziej że wyrazy, złożone z fantazyjnych, kunsztownie połączonych ze sobą liter, nie dawały się z łatwością odczytać. Nagle, rzuciwszy okiem na koniec manuskryptu, pan Władysław zdumiał się. Ujrzał bowiem wielką pieczęć cesarską i podpis „Katarzyna”. Wtedy, wyteżając wzrok, zabrał się na dobre do czytania rzadkiego dokumentu.

Skończywszy, westchnął z ulgą i zawołał radośnie:

— A to dopiero odkrycie! Czy wiecie, co jest zawarte w tym starym pergaminie? Jest to orędzie cesarzowej Katarzyny Wielkiej⁷¹, która udziela Niżowym Samojedom, przesiedlonym na obszary pomiędzy rzeką Wach a Jenisejem i Kecią, pozwolenia na wieczne czasy polować, uprawiać rybołówstwo, grzybo- i orzechobranie, przemysł leśny i rolny bez żadnych opłat i podatków, w nagrodę za dobrowolne przyłączenie się do imperium rosyjskiego. Nie ma co! Pięknie spełniają rozkaz cesarzowej syberyjscy urzędnicy!

Ochłonawszy ze zdumienia i oburzenia, Lis spytał wójta:

— Gdzieżeście wygrzebali ten dokument, Pyraga?

— Dała mi go żona Wotkuła — odpowiedział Samojed.

— Wotkuła?! Dlaczegoż to on przechowywał tak ważny dla nas wszystkich rozkaz cesarzowej? — dopytywał zesłaniec.

— Wotkuł jest prawnukiem naszego ostatniego księcia, Czarnego Nolgi-Ujuka — rzekł poważnym głosem Pyraga.

— No, tak czy owak — zawołał Lis — już ja wezmę teraz w obroty owego brutala Safianowa! Gdyby nawet był węgorzem, nie wyślizgnie mi się teraz! Ho! Ho! Poigramy z sobą, panie radco! Gra to będzie nie lada!

Przysiadł się do wójta i jął go pouczać, jak należy postąpić, gdy rewizor będzie zwiedzał miasteczko i wybadywał jego mieszkańców. Długo tłumaczył, namawiał, aż Samojed, odsapnąwszy głośno, zmrużył jedno oko i mruknął:

— Teraz pojąłem wszystko! He? Chyba zrobimy koniec z Safianowem, komisarzem Rusinowem i Kriwonogowem, co?

— To się pokaże, mój przyjacielu. A teraz leć i wszystko przygotuj, aby składnie poszło, dostojnie, bez krzyków, lamentów i hałasów!...

Wójt nacisnął na głowę kosmaty małachaj jeleni i szybko opuścił dom Lisów. Zesłaniec ułożył papiery w porządku i schował w zanadrzu kurty.

⁷¹Katarzyna II Wielka (1729–1796) — żona cesarza Piotra III, po dokonaniu w 1762 zamachu stanu samodzielną cesarzową Rosji. [przypis edytorski]

— Wyrzyj no, Julianko, na dwór, czy Toll nie wyszedł już na przechadzkę? — rzekł Lis do żony, wciągając na nogi ciepłe buty.

Powróciwszy po chwili, pani Lisowa opowiedziała, że tłum oczekuje już przed domem Rodionowych.

— Tedy czas i na mnie! — rzekł zesłaniec i spojrzawszy na obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, przeżegnał się i dodał:

— Trudno! Gdzie siłą nie można, tam politykować radzą ludzie mądrzy.

Westchnął i dorzucił:

— Choć, prawdę rzekłszy, wołałbym po naszymu walnąć tego nikczemnika radcę kulakiem⁷² w łeb i amen z nim zrobić...

— Władku! — upomniała go pani Lisowa, z przerażeniem patrząc w nagle spochmurniałe oczy męża.

— Wiem... wiem, że nie czas po temu... — mruknął, machnąwszy ręką. — Toteż chcę go walnąć nie kulakiem, a pieczęcią carowej Katarzyny!...

Podszedł, ucałował żonę w czoło i pochylił głowę, bo podniosła była właśnie dłoń, aby go pobłogosławić. Wiedziała przecież i nieraz sama już doświadczyła niebezpiecznych skutków zatargu z władzami. Władysław Lis zamierzał zaś wydać walną bitwę władzom syberyjskim, on — bezprawny zesłaniec, za którym nikt wszakże ująć się nie mógł. A jednak Julianna rozumiała dobrze, że innego sposobu nie było.

— Boże, dopomóż mu, biedakowi, cierpiącemu za ojczyznę umęczoną, naucz i broń tego człowieka, bo czysty, szlachetny jest ten sługa Twój wierny, Boże Wszechmożny! — szeptała, słysząc kroki męża, zbiegającego ze stopni ganku.

Lis dogonił tłum towarzyszący rewizorowi, który w otoczeniu urzędników i policji szedł jedyną ulicą Narymu i rozglądał się dokoła, zgnębiony nędznym wyglądem miasteczka i żalobnym, smutnym krajobrazem — białą płaszczyną śnieżną, odciętą od wschodu i zachodu czarną ścianą tajgi.

Gdy orszak przechodził koło chaty Wotkuła, zbliżył się do rewizora czupurny Ganga. Na bladej twarzyczce chłopca płonęły śmiało, czarne oczęta.

— Naczelniku! — zawołał mały Samojed. — Gdyś spał, policja chciała skrzywdzić nas biednych, zawsze cichych tuziemców. Żądano od nas po raz drugi wypłaty podatków, już ściągniętych z nas. Załadaj, naczelniku, od komisarza listy płatników, a my ci złożymy dowody, że policja i urzędnik podatkowy postępują wbrew prawu!...

— Co to, jak śmiesz?! — krzyknął Safianow, podbiegając do Gangi, lecz baron Toll zatrzymał go skinieniem ręki i rzekł:

— Muszę zbadać te sprawę, panie radco, no i pan też przede wszystkim... Kto twierdzi, że policja żądała nieprawnych podatków?

Z tłumy wystąpiło kilku Samojedów i Samojedek. Ponurymi głosami opowiadali o znęcaniu się nad nimi, o ilości zabranych rzeczy i pieniędzy, o groźbach zemsty Safianowa, którego, jak mówili, ludzie boją się więcej niż zarazy morowej. Oskarżenia padały ciężkie, okropne, a wszyscy potwierdzali je zgodnym chórem cichych, pełnych rozpaczliwych głosów:

— Prawdę mówimy! Tak było. Na Wielkiego Ducha, tak było!

Urzędnicy, a nawet sam Safianow przybledli i struchleli. Baron Toll podniósł głowę. Usta mu drżały. Oburzonym głosem zapytał:

— A może kłamiecie? Może istotnie zalegaliście z podatkami?

— Nie, naczelniku! — odezwał się wtedy wójt Pyraga. — Podatki zostały dawno uiszczone. Dziś z rozkazu komisarza policji chodziłem razem z nim i urzędnikami po chatach i widziałem, że żądali na twój rozkaz pieniędzy i drogich skórek; bili, klęli i odgrażali się, że skarżyć się będą radcy Safianowowi, który się zemści... Niech pokażą listę płatników, naczelniku, a my...

— Pokazać i natychmiast sprawdzić listę — krzyknął Toll.

Drżący ze strachu urzędnik podatkowy jął wykrzykiwać nazwiska Samojedów.

Jeden po drugim wychodzili i odpowiadali surowym głosem:

— Jestem! Zapłaciłem!

Władza, Pieniądz,
Urzędnik, Kara

⁷²kulak — mocno zaciśnięta dłoń, pięść. [przypis edytorski]

— To straszne! — zawołał baron Toll. — Za takie nadużycie władzy nie ma dostatecznie ciężkiej kary! Surowo odpowiecie przed sądem! Uczynię wszystko, poruszę cały rząd, aby ukarać winnych!! Zbrodnia! Hańba!

Komisarz policji upadł na kolana przed rewizorem i jął szlochać:

— Panie, panie, litości! Jestem obarczony liczną rodziną... Nie moja w tym wina, bo to pan radca Safianow kazał mi dopomóc urzędnikowi w pobraniu podatków po raz drugi w tym roku! To już działo się kilkakrotnie na rozkaz pana radcy. Ja... mały człowiek, nie mogę sprzeciwić się woli mego przełożonego!...

Baron słuchał, a komisarz, ośmielony tym, skwapliwie opowiadał różne szczegóły z działalności radcy gubernialnego.

— Cóż powie na to wszystko pan Safianow? — zapytał wreszcie rewizor, z pogardą patrząc na radcę.

Ten milczał. Rozumiał, że nawet przy jego zręczności i wpływach gra została przegrana.

Wtedy to z tłumu wystąpił Władysław Lis.

— Sprawiedliwy człowiek! Sprawiedliwy człowiek! — przeszedł pomruk w tłumie.

— O kim mówicie? — zdziwił się rewizor, lecz ujrzawszy błędnego ze wzruszenia Lisa, zrozumiał, że Samojedzi nazywali tak zesłańca polskiego.

— Panie rewizorze! — zaczął Lis, prostując się po wojskowemu. — Ci bezbronni, ciemni ludzie powierzyli mi różne dokumenty, chociaż nie wiedzieli, ile są one warte. Proszę! Oto kwity świadczące o uiszczeniu podatków; a ten dokument jest najważniejszym dowodem bezprawia, którego dopuszczały się władze miejscowe. Orędzie cesarskiej Katarzyny Wielkiej, znoszące wszelkie podatki Samojedów! Tymczasem pobierano je od dziesięciu lat, od roku urzędowania pana radcy Safianowa, który dobrze wie o istnieniu tego dokumentu państwowego, wie... bo na odwrotnej jego stronie można dostrzec...

To mówiąc, Lis podał pergamin baronowi, a ten, zmruczywszy oczy, odczytał na głos:

— „Zrobić odpis dla mnie i przesłać niezwłocznie. Starszy Radca Gubernialny Włodzimierz Safianow”.

Rewizor zacisnął wargi i wyszeptał:

— Zbrodnia! Hańba!!

Zapanowało milczenie i trwało długo. Toll namyślał się, co ma czynić dalej; tłum wpatrywał się w niego uporczywie i czekał mocnego, stanowczego słowa. Po chwili rewizor jął pisać coś w swym notatniku, pytając o nazwiska urzędników, a potem rzekł:

— Panowie natychmiast odjadą do Tomsku i zameldują się u prokuratora, jako oddani przeze mnie pod sąd. Proszę iść! Żadnych wyjaśnień nie przyjmuję... Złożą panowie swe zeznania przed sądem, na którym będę obecny!

Zbliżywszy się do Lisa, zapytał:

— Co mógłbym uczynić dla pana? Wyświadczył pan rządowi niebywałą przysługę!...

— Panie baronie — odparł smutnym głosem zesłańca — uczyniłem to w imię sprawiedliwości i sympatii dla tych bezbronych ludzi, którzy mnie przyjęli przyjaźnie i z zaufaniem. Zaryzykowałem, gotów jestem cierpieć za to! Wiem jednak, że mściwość władz mogłaby mnie rozłączyć z żoną, a to z pewnością zabiłoby nas! Proszę więc obronić mnie przed zemstą pana Safianowa i jego pomocników. Przykro mi jest o to prosić pana, lecz robię to przez wzgląd na kobietę, która tyle wycierpiała!

— Pan może być pewny, że włos wam z głowy nie spadnie! — zawołał rewizor. — Rola Safianowa skończona na zawsze, a inni też tu nie pozostaną. Rozpędzę wszystkich na cztery wiatry!

Baron Toll zaperzył się i tupnął nogą.

— Doktorze — rzekł, zwracając się do Grubera — musimy razem z panem odwiedzić domy tych skrzywdzonych, sponiewieranych biedaków! Oświata tu potrzebna, doktorze, uczciwy nauczyciel, rozsądny lekarz, ściśle, ale też i litościwie wykonujący prawo urzędnik!

— *Ja! Ja! Natürlich!*⁷³ — mrucał stary Niemiec, wzburzony całym zajściem, gdyż chociaż był to marny, zacofany lekarz, pozostał jednak uczciwym człowiekiem.

Przed dom Rodionowa zajeżdżały z brzękiem dzwonek sanie, które wkrótce odjechały, uwożąc przerażonych urzędników syberyjskich.

⁷³*Ja, ja! Natürlich!* (niem.) — Tak, tak! Oczywiście! [przypis redakcyjny]

ROZDZIAŁ VII. LUDZIE CZYNU

Rewizor posłany z Petersburga od dawna już odjechał.

Życie Narymu, wzburzone nieoczekiwanymi, a tak doniosłymi wypadkami, weszło już było na dawne tory. Nikt więcej nie zaglądał do małego miasteczka, które potrafiło zadać cios występnej działalności samowładnych urzędników. Dopiero około kwietnia doszły tam wieści, że w marcu odbył się sąd na radcę Safianowem i kilku innymi urzędnikami, że zostali oni skazani na pięć lat więzienia, że wyznaczona wreszcie rewizja senatorska usunęła gubernatora, gdyż dowiedziono mu udziału w sprawach łapownictwa, szeroko uprawianego w rządzonym przez niego kraju.

Doktor Gruber spełnił przyrzeczenie i przysłał pani Lisowej duży zapas środków leczniczych i materiałów opatrunkowych, a baron Alfred Toll z własnego popędu wystarał się dla Władysława Lisa o dostarczenie mu z komisji oświatowej podręczników szkolnych, map ściennych, zeszytów, piór i atramentu dla uczniów.

Cisza i spokój panowały w Narymie, zasypanym śniegiem.

Zima zbliżała się już ku końcowi. Codziennie do miasteczka powracali łowcy, spędzający ten czas w tajdze. Przychodzili obarczeni zdobyczą. Nieśli ją na plecach lub wieźli na wąskich, podłużnych saneczkach — „nartach”, ciągnionych przez renifery lub psy.

Na ostatku powróciła z łowów partia⁷⁴ złożona z czterech najlepszych myśliwych: Wotkuła, Gasty, Robaha i sędziwego Gangi. Czwooro sani, naładowanych skórami, mięsem i rogami jeleni i losi, szło za nimi. Za łowcami biegły czujne, mądre łajki⁷⁵, wychudłe, kosmate i zawsze ponure.

Cała ludność wysypała na spotkanie przybywających, aby powitać ich i obejrzyć zdobycz łowiecką. Szerniali na mroźnym wietrze, osmoleni dymem ognisk, z popękaną skórą na wargach i rękach, mieli wygląd ludzi znużonych śmiertelnie, wyczerpanych do reszty.

Siadali przed swymi domami, zapalali małe gałązki modrzewiu i okadzali się, szepcząc dziękczynne modły do Numa — Wielkiego Ducha, który szczęśliwie doprowadził ich do rodzinnego domu i drogich istot. Żony i dzieci łowców odwiązywały rzemienie, odpręgały renifery, zdejmowały skóry i futra z nart i pokrzykiwały radośnie na widok cennej i obfitej zdobyczy.

Żona Wotkuła i mały Ganga rozwieszali w przewiewnej kleci skóry niedźwiedzie, losiowe, jelenie, sarnie; liczyli wiązanki skórek popielic, lisów, kun, tchórzów, gronostajów i łasic, podziwiali piękne futra soboli, wydr, rosomaków, rysiów, zawieszali na hakach szynki niedźwiedzie, ozory, wycięte losiom i jeleniom, i długie pasma mrożonego mięsa.

Tegoż dnia Władysław Lis zapukał do chaty Wotkuła.

Samojed spał jeszcze, lecz posłyszawszy głos przyjaciela, stękając, zwałół się z tapczanu i serdecznie uściśnął rękę Polaka.

Zesłaniec opowiedział Wotkułowi o wizycie rewizora, zajściu z Safianowem i o zapadłym wyroku sądowym, raz na zawsze pozbawiającym zbrodniarza możliwości powrotu.

Wysłuchawszy uważnie opowiadania, Wotkuł pokiwał głową i mruknął:

— Obroniliście nas przed wyzyskiem... Tego wam Samojedzi nigdy nie zapomną! Dobrze jest, że Safianow już nie powróci... lecz miejcie się na baczności, przyjacielu!

— Czegóż się mam bać? — spytał zdumiony Lis.

— Pamiętajcie, że ręka rękę myje. Oni tu ze sobą wszyscy związani i jeden drugiego broni... Nie ma Safianowa, lecz pozostali jego przyjaciele, którzy jeżeli zechcą, zemszczą się na was za swojego herszta... O, oni to umieją! Bądźcie ostrożni i przebiegli jak lis, jak prawdziwy lis, co to myszkuje w tajdze!

Słowa Samojeda utkwiły w pamięci zesłańca. Postanowił mieć się na baczności i unikać zatargu z władzami.

Wotkuł opowiadał obszernie o łowach tegorocznych w okolicy Łosiowych Jarów, gdzie znalazł kilka gniazd sobolich, a na małych dopływach Jeniseju nory wydr, które schwytał w sidła. Żegnając przyjaciela, Samojed raz jeszcze napomknął mu o możliwym niebezpieczeństwie zemsty ze strony przyjaciół Safianowa.

⁷⁴partia — tu: zorganizowana grupa. [przypis edytorski]

⁷⁵łajka — średniej wielkości pies z grupy szpiców, hodowany w północnej Rosji, głównie na Syberii, do polowań i jako pies zaprzęgowy. [przypis edytorski]

Zesłańcy nie zmieniali trybu życia.

Lis od rana do południa uczył dzieci, pani Julianna krzątała się po domu. Przy obiedzie i potem, aż do wieczora, spędzali czas razem, rozmawiając o różnych sprawach; przypominali sobie ubiegłe lata miłości i cierpienia, nadziei i rozpaczy na widok upadającego powstania, tak wspaniale rozpoczętej walki o wolność, lecz przegranej na skutek niezgody panującej w kołach naczelnego dowództwa oraz innych niesprzyjających i nieprzewidywanych okoliczności. Wieczorem zjawiała się nowa partia uczniów, dorosłych, a nawet takich, którym siwizna mocno już przyprószyła czupryny. Lis znowu zmieniał się w nauczyciela, a pani Julianna szła do chorych albo też w przyległej izbie uczyła sąsiadki haftu i kroju.

Otoczeni przyjaźnią i szacunkiem całej ludności pędzili swój żywot wygnańcy, niosąc oświatę i pomoc ciemnym, bezbronnym mieszkańcom tego zapadłego kąta Syberii.

Pewnego razu zjawiała się u nich starszyzna samojedzka z wójtem na czele.

— Sprawiedliwy człowieku i przyjacielu! — uroczystym głosem rozpoczął starzec swe przemówienie. — Rada Samojedów Niżowych uchwaliła wynagrodzić cię za to, coś dla nich uczynił, zwalniając od uciążliwych podatków. Od dnia dzisiejszego pasmo Obi pomiędzy potokiem Gurzy a rzeczką Czoroch należy do ciebie. Tylko ty możesz rzucić tam sieć i łowić ryby!

— Dziękuję wam! — zawołał wzruszony Polak. — Niech jednak tam ktoś inny zajmie się połowem, bo ja nie mogę z tego skorzystać. Nie mam ani łodzi, ani sieci!

— Pomyśleliśmy już i o tym! — odparł Wotkuł. — Nasze kobiety i dziewczęta już plotą dla ciebie niewód, więcierze⁷⁶ i mereże⁷⁷, a młodzież przystąpiła do wypalania z pni modrzewiowych czółen dla ciebie. Chłopaki wiją nawet dla ciebie sznury z włosia na wędkę, a kowal Basaryn wykuwa haki i ostrza do ości⁷⁸... Ha! Nim nastąpi wonź, staniesz się posiadaczem całego rybackiego taboru, przyjacielu!...

Lis nic już nie mówił. Ścisnął ręce pocziwych, wdzięcznych Samojedów, a w oczach miał łzy.

Od tej rozmowy upłynął jeszcze miesiąc.

Pewnej nocy straszliwy hałas obudził Lisów.

Długo nie rozumieli, co się mogło stać, lecz huk i ogłuszający, zgrozą przejmujący trzask powtórzyły się jeszcze raz, jak gdyby kilkanaście dział w jednej i tej samej chwili dało ognia.

Rozległy się trwożne krzyki, nawoływania, tupot nóg biegnących w popłochu ludzi; z małej cerkiewki, gdzie tylko dwa razy do roku odprawiano nabożeństwo, rozległ się jęśliwy głos dzwonu alarmowego. Był to tak zwany nabat, sygnał ognia lub innej klęski, nawiedzającej miasteczko.

Lis ubrał się szybko i wypadł z domu.

— Co się dzieje? — spytał biegnącego rybaka Elisejewa.

— Ob łamie lód, tworzy zator i już występuje z brzegów... Zaczyna się powódź! — odkrzyknął przerażony sąsiad i zmieszał się z tłumem zgromadzonym na placu.

Zesłaniec, nie zatrzymując się, pobiegł ku brzegowi Obi. Już po drodze przekonał się, że rybak mówił prawdę. Dość było spojrzeć na małą w porównaniu do Obi rzekę Keć i jeszcze mniejszą Narymkę.

Ukryty pod szerniałym lodem prąd ich wzbierał z każdą chwilą, podnosił zamarzłą skorupę, a woda coraz bardziej zalewała niski dziaz⁷⁹ i już pluskała pod zwisającymi nad urwiskiem wysokiego brzegu nagimi pędami krzaków.

Lis dobiegł wreszcie do Obi.

Stała tu gromadka ludzi przyglądających się rzece.

Brzask — mętny i słaby — sączył się już wokół, a w jego niepewnym, zwodniczym świetle wszystko nabierało tajemniczych, potwornych kształtów i barw.

Lód i śnieg na Obi wydawał się zupełnie czarny.

Rzeka

⁷⁶więcierz — pułapka z sieci lub prętów na ryby. [przypis redakcyjny]

⁷⁷mereża — sieć na obręczach do chwytania ryb. [przypis redakcyjny]

⁷⁸ość a. oścień — drąg z ostrzem o kilku zębach, do nabijania ryb. [przypis redakcyjny]

⁷⁹dziaz — żwirowy brzeg. [przypis redakcyjny]

Na jego powierzchni tam i sam⁸⁰ z trzaskiem tworzyły się szczeliny i jak chybkie węże biegly w różne strony, bluzgając spienioną falą.

Szerokie przeręble, chroniące przed zamorem, znikły, bo Ob zerwała już była polacie swej lodowej pokrywy i zamknęła nimi wolną przestrzeń. Chwilami zdawało się, że ciężkie, z szalonym wysiłkiem wydobyte westchnienie podnosi twardą, zmarzniętą na kamień pierś mocarnej rzeki — tak Ob podnosiła i opuszczała nagle swój pancierz zimowy. Wtedy tworzyły się nowe szczeliny, wyrwy i leje, a z nich wytryskały potoki brunatnej wody, wyrastały pagórki i grzędy na miał przetartego lodu, tworząc torosy⁸¹.

Tu i tam z pluskiem i łoskotem obsuwały się olbrzymie tafle lodowe i znikały w szalonym nurcie rzeki; inne nasuwały się na ich miejsce, wślizgiwały się, gramoliły na twardą powierzchnię, łamiąc się i rozsypując w ostre szkliwo, dzwonne, szeleszczące, zgrzytliwe. Prąd z wściekłością wyrzucał wciąż nowe stopy odłamków i miału, gromadził je w piętrzące się coraz wyżej i dalej torosy, niósł pod okrywającą go skorupą płynące z południa kry, wypełniał nimi łóżysko rzeki, przegradzał rozszalącej strudze jej drogę ku oceanowi, wznosił potężne tamy, których przełamać, zdruzgotać nie mogła rozbestwiona, pianą wirów okryta Ob.

Gdy słońce wyjrzało spoza mgławic przedświtu, rzeka wzbierać zaczęła gwałtownie. Struga żółtej wody, niosącej piaski altajskie i burą glinę stepów kirgiskich, nie mieściła się już w swym korycie odwiecznym.

Zwężiło się ono bowiem przez zimę, gdyż przy brzegach, na łachach piaszczystych, koło wysp nizinnych, na mieliznach zdziarowych rzeka przemarzała do dna i w murze lodowym z trudem, z rozpaczliwym wysiłkiem, sykiem i pluskiem musiała drażyć nowe łóżysko. Co chwila wypełniały je po brzegi i przegradzały zbite w jeden zwal odłamki lodu, przyniesione z daleka pnie porwanych drzew, nagromadzone ławice piargu i żwiru.

Ostatnim wysiłkiem wezbrał rozhlukany wart, nacisnął, odbiegł był na chwilę krótką, cofnął się i — znowu runął naprzód z łoskotem i trzaskiem podnoszonego, szarpanego, łamanego lodu, zderzył się z tamami w korycie, cisnął na nie nowe gromady mknącej kry, zawirował, plusnął olbrzymią falą i ryknął rozpaczliwie wściekłym głosem burzących sił.

Z ogłuszającym skowytom i łomotem wylatywać jęły w powietrze całe pola lodowe, odłamki i tafle ich padały na stromy spych⁸², tworząc skrzące się w słońcu nasypy.

Tamy wszakże nie puściły... i Ob z groźnym pomrukiem wylała, zatapiając łachy porosłe wikliną, dolinę całą, aż hen — pod Wilczy Jar, gdzie wstrzymały ją pagórki, wrzosami i jałowcami okryte.

Szybko spływała brunatna, spieniona woda do kotlin, rozłogów i wąwozów, przez ulicę wpadała na placyk Narymu i otaczała osiedle ludzkie jeziorem bezkresnym.

Lis zdążył do domu przed ostatecznym wylewem Obi i Keci.

Całe pięć dni mieszkańcy miasteczka spędzili w domu, osaczeni przez falującego nastpnika, który przy każdym podmuchu wschodniego wiatru głośno pluskał i ciskał bryzgi na szyby okien, jak gdyby wedrzeć się chciał do siedzib ludzkich i stoczyć tam ostatnią walkę.

Jedna po drugiej padały i kruszyły się topniejące tamy w łóżysku rzeki; woda ściekała tą samą drogą poprzez ulicę, jary, rowy i niziny, do koryta Obi i Keci, a resztę, pozostającą w kotlinach i zagłębieniach, wypięła, wessała budzącą się do życia ziemię, na głębinie od wieków i na wieki od mrozów i zimnych wichrów północnych na kamień stwardniała.

Ludzie poczęli teraz wychodzić z domów i rozglądać się po okolicy.

Dzieciaki jęły chwycić ryby pozostałe w wykrotach, a nawet wprost na łąkach, gdzie młoda trawa lęklawie, nieufnie przebijała się już poprzez warstwę zwarzonych przez mrozy zielsk.

— Wonź nadchodzi... wonź!

Jednak te z pożądaniem oczekiwane dni nastąpiły dopiero w połowie maja, o dwa tygodnie niemal wcześniej niż zwykle.

⁸⁰*tam i sam* (daw.) — tu i tam. [przypis edytorski]

⁸¹*toros* (zwykle w lm) — zwalisko lodowe. [przypis redakcyjny]

⁸²*spych* — urwisty, stromy brzeg. [przypis redakcyjny]

Widocznie gdzieś na stepach Kułundy⁸³ lub w górzystym Altaju, skąd swój bieg rozpoczynała Ob, od pierwszych dni wiosny ustaliła się była ciepła pogoda.

Nieliczona masa ogrzanej wody szybko roztopiła lód na rzece i wylała się do oceanu ciepłym prądem.

Gonione instynktem ryby, zbite w olbrzymie ławice, już podpływały do ujścia rzek, wynurzając się z otchłani morskiej, aby dążyć ku południowi, ku czystym źródłom, tryskającym z piersi gór; w biegu swym do miejsca składania ikry zwalczyć musiały wartki prąd rzeki, nagromadzone na jej dnie głazy i zwaliska skamieniałych drzew, borykać się z przewalającymi się przez nie z pluskiem, wirującymi strugami wodospadów, unikać rozrzuconych przez rybaków pułapek — jazów⁸⁴, niewodów, więcierzy, sznurów, najeżonych chwytnymi hakami, w popłochu kryć się przed pościgiem fok, szczupaków i drapieżnego ptactwa.

Poczuwszy ciepły prąd, wpadający do oceanu, niezliczone stada ryb stłoczyły się w ujściu Obi i jęły sunąć na południe, wchodzić do mniejszych dopływów, wpadać do małych cichych zatok — „sorów”, lub nawet na zalane powodzią niziny.

Sprawni, czujni łowcy nie przepuścili tych kilku zaledwie dni wonzi.

Na Obi kołysały się już łodzie z piętrzącymi się na nich stosami świeżo osmolonych sieci; na mniejszych rzekach, jak Wach, Keć, Połoj, Samojedzi zbudowali zapory, czyli jazy, w których pozostawili dla ryb jedno tylko przejście do głębokiego kosza lub do „ging” — dużych mereży, z prętów wikliny splecionych; po sorach rozrzucono więcierze i inne samołowcy; po okrytych wodą łąkach pływały małe czółenka, z których rybacy chwyтали zdobycz: w dzień za pomocą „krzywdy”, tj. sieci na trójkątnej ramie, a w nocy ościeniem o pięciu ząbionych ostrzach.

Cała ludność wyległa na połów.

Kobiety, a nawet i dzieci brodniami⁸⁵ wylapywały szczupaki, okonie, płotki i karasie po kałużach, rowach i małych jeziorkach torfowych.

Władysław Lis od kilku już dni razem z innymi rybakami cały czas spędzał na rzece. Łódź jego, wypalona z mocnego pnia modrzewiowego, obszerna była, zaopatrzona w jeden maszt o szerokim, prostokątnym żaglu, dwie pary wiosel, duży zwój sieci i kilka ości. Jednak pojedynczy człowiek, mimo że zwrotna była łódź Lisowa, nie dałby sobie z nią rady.

Wiedzieli o tym przyjaciele narymscy i wyznaczili mu do pomocy Szymona Rodionowa i Gange, syna Wotkuła. Obaj chłopcy z radością wsiedli do nowej łodzi i przyrzekli sobie w duchu, że uczynią wszystko, aby Lisowi połów udał się tak, jak staremu, doświadczonemu rybakowi. Na pewnej odległości od łodzi w małym czółenku płynął kulawy Garas, wyrostek samojedzki — sierota niespełna rozumu.

Z dołu rzeki nie sygnalizowano jeszcze o zbliżeniu się głównej wonzi, więc chłopcy wraz z Lisem badali teren łowów. Wkrótce za pomocą bosaków ściśle określili szerokość większych łąch, poznali wszystkie głębokie doły — „jury”⁸⁶ na dnie, obejrzel i wymierzili większe zatoki — sory, a w kilku potokach wpadających do Obi naprędce zbudowali jazy, przy ich ostrym końcu zakładając zwykłe „mordy” — podłużne kosze, z jednym wąskim otworem, przez który wchodziła ryba, lecz wyjść już z potrzasku nie mogła. Z niezwykłą szybkością splótl je kulawy Garas, bezustannie roześmiany.

Wonź odbywa się zwykle nie jednocześnie, lecz dla każdego gatunku ryb z osobna.

Toteż niewód Lisa zagarniał przez kilka dni liny, muksuny⁸⁷ i nelmy, w następne zaś różne sigi: pospolitą sigę, piżjany i szczokury (*Cosegomus polkur* i *nasus*), aż wreszcie rybacy zmuszeni byli wskakiwać do wody i staczać bitwy z olbrzymami rzecznyymi — ogromnymi, ważącymi nieraz do stu kilogramów jesiotrami, sterletami⁸⁸, tajmieniami⁸⁹,

⁸³*Kułunda* — wieś w południowej Syberii; ob. ośrodek administracyjny rejonu kułundińskiego, wchodzącego w skład syberyjskiego Kraju Altajskiego, w Rosji. [przypis edytorski]

⁸⁴*jaz* — zagroda w łożysku rzeki dla połowu ryb. [przypis redakcyjny]

⁸⁵*brodnia* — sieć rybacka z podłużnymi skrzydłami bocznymi, którą dwójka osób, brodząc, włóczy po dnie. [przypis edytorski]

⁸⁶*jur* — głęboki dół na dnie rzeki lub jeziora. [przypis redakcyjny]

⁸⁷*muksun*, łac. *Coregonus muksun* — gatunek ryby z rodziny lososiowatych. [przypis edytorski]

⁸⁸*sterlet* — słodkowodna, wędrowna ryba z rodziny jesiotrowatych. [przypis edytorski]

⁸⁹*tajmien* — duża ryba z gatunku lososi. [przypis redakcyjny]

należącymi do rodziny łososi, i miętusami. Te ciężkie, silne ryby, wpadające do sieci, zaczynały się w niej miotać, a ciągnąc ją na głębinę, wlokły za sobą łodzie rybaków.

Pewnego dnia w sieci Lisa uwikłała się jakaś bardzo duża ryba.

Widać było, jak kotłowała się i pieniała woda, którą smagała potężnym ogonem szamocąca się w niewodzie zdobycz. Snadź posiadała ogromną siłę, gdyż zaczęła holować za sobą oba czółna, ciągnąc je na najgłębsze miejsce łożyska rzeki.

— Zrzuć sznury z kamieniami, aby hamowały ruch łodzi! — krzyknął do Lisa młody Samojed. — Inaczej ryba wywlecze łodzie na wart i przewróci nas albo przerwie sieć!

Lis opuścił za burtę uwiązane do liny kamienie; wlokły się po dnie, zawadzały o leżące na nim pnie drzew i znacznie zwolniły bieg łodzi.

Kilka razy jeszcze ryba usiłowała powtórzyć manewr, lecz zmęczona, w końcu pozostawała bez ruchu.

Młody Rodionow zaczął szybko się rozbierać.

— Dlaczego to robisz? — spytał Lis.

— Wskoczę do wody i spróbuję ostrożnie podciągnąć matnię niewodu na mieliznę — odparł chłopak.

— Dobrze! — zgodził się Ganga. — Wtedy uspokoiemy naszego jeńca.

Sieńka dał nura i długo nie pokazywał się na powierzchni.

Gdy wypłynął, otrząsając z głowy wodę, glinę i wodorosty, zawołał:

— Takiego jesiotra dawno nie schwytano na Obi! Wieloryb to, nie jesiotr! Zaplątał się skrzelami w okach niewodu i cały omotał się jego zwojami. Podciągnąłem matnię do łachy. Musimy wejść do wody i wydobyć sieć; chociaż inne ryby uciekną nam, ale za to będziemy mieli jesiotra.

Tu urwał, bo woda pod łodzią zakotłowała się znowu i plusnęła falą. Ogromna ryba potężnym wysiłkiem szarpnęła się i z rozmachem wpadła wraz z siecią na łachę, okrytą niegłęboką wodą.

Łowcy z podziwem przyglądali się ciężkiemu potwornemu kadłubowi ryby o długim ostrym ryju i rogowym pancerzu.

Nie namyślając się ani chwili, Lis wyskoczył z łodzi i stojąc po pas w wodzie, z całej siły uderzył jesiotra w głowę obuchem topora. Zwinęło się i wyprostowało potworne cielsko, a rybak uderzył raz jeszcze.

— Uspokoi się teraz! — zaśmiał się Garas, podpływając i wlokąc za czółnem drugie skrzydło niewodu.

Wspólnymi siłami zaczęli wyciągać sieć. Widzieli, jak wyslizgiwały się z niej zwinne sterlety, szczupaki i duże, srebrzyste płotki, lecz nie było innej rady! Jako tako wydobywali sieć i składali ją w poprzek łodzi, a gdy zaczęły się ukazywać skrzydła matni, Sieńka znowu nurkował, uwiązując jesiotra za skrzele.

Z trudem wyzwolono ogłuszonego jesiotra z pęt i spod skrzydeł niewodu wyprowadzono go na otwartą wodę.

Leżał teraz na dnie w całej okazałości, od ostrego ryja aż do płetw ogonowych.

Długi na trzy metry, gruby i ciężki niezmiernie, przypominał kłoc starego drzewa szerniałego pod wodą.

Uwiązano go na mocnej linie do rufy, a Garas hakiem wyciągnął z sieci inne ryby, pokaleczone i zgniecione przez potwora. Dopiero przy pomocy dwóch innych łodzi udało się rybakom przyholować zdobycz swoją do brzegu. Tam znów w pocie czoła pracowały ciężko kobiety, a wśród nich żona zesłańca.

Na brzegu zbudowano kilka szałasów, w których rozwieszano wypatroszone i rozcięte wzdłuż grzbietu ryby. Dzieci posypywały je solą i znosiły nacięte, świeże gałęzie modrzewia i jałowca. Gdy szałas zostały wypełnione rybami, rozpalono w nich ognisko i zatkano szczelnie wszystkie szpary i otwory. Ogień, ledwie się tłąc, dawał dużo dymu, w którym wędziły się sterlety, jesiotry, nelmy, duże sigi, delikatne muksuny, opływające tłuszczem.

Inne kobiety składały mniejsze, pospolite ryby do kadzi i koryt, przysypywały solą i nakrywszy płachtą, przyciskały kamieniami.

Najprostsze gatunki, jak płotki, okonie, liny i szczupaki, przerabiano na jukołę, pożywienie niezbędne dla myśliwych w czasie łowów zimowych.

Taki sposób przygotowania ryby nie wymagał żadnych zachodów.

Jedzenie

Przeciętą na połowę rybę posypywano solą i nawlekano na sznur, zawieszony na dwóch żerdziach. Ryby przez kilka dni schły i twardniały na powietrzu, zmieniając się na jukołę.

Najdrobniejszych okazów jukoły używano zwykle na pors. W tym celu przecierano suchą rybę między kamieniami na mąkę, z której łowcy przyrządzali sobie polewkę rybną, pożywną i niewymagającą żadnej sztuki kucharskiej.

Pani Julianna wraz z pomagającymi jej dziewczętami i nieodstępną Dunią miała kłopot nie lada z olbrzymim jesiotrem, schwytanym przez męża. Trzeba go było porąbać na kawałki, pociąć na plastry i pasma, bo inaczej nie dałoby się zasolić go i uwędzić.

Tymczasem Lis miał przed sobą jeszcze kilka dni wonzi.

Każdego dnia przywoził coraz to nową zdobycz.

Po jesiotrach, które szybko przeszły w górę rzeki, zesłaniec łapał teraz sigi; sunęły one ławicami, rozбивały się na mniejsze partie i wdzierały setkami do saku. Chwytał miętusy, goniące je duże szczupaki i wreszcie śledzie morskie, które tego roku zapędziły się aż do ujścia Keci.

Połów udał się znakomicie, a był tak obfity, że pan Władysław zmuszony był część ryb wymienić na kadzie i beczki, aby nie zmarnować reszty. Musiał mieć jak najwięcej ryb, gdyż wiedział, że za ten towar otrzyma od koczujących na tundrze⁹⁰ Samojedów oswojone renifery i dobre sanie, potrzebne dla zimowych łowów i w gospodarstwie domowym.

Wonź minęła. Większość rybaków powróciła do domów, lecz łódź Lisa i małe członko — „zajazdka”, z kulawym, ciągle śmiejącym się Garasem, wciąż jeszcze krążyły po Obi. Wyciągano z jazów ryby, schwyte w mordach i więcierzach. Małą siecią łapano sigi i jesiotry, i nelmy, które pozostały w sorach, gdzie żerowały.

W nocy pani Julianna, wyszedłszy na brzeg, widziała czerwone światełko, powolnie sunące po ciemnej, prawdę czarnej rzece. Wiedziała, że to jej mąż z palącym się w żelaznym koszyku luczywem płynie w mroku i stojąc na dziobie członka, wypatruje co najlepszej zdobyczy.

Istotnie tak było.

Przy wiosłach na zmianę siedzieli Garas lub syn Wotkuła. Wpatrzeni w ciemną postać Lisa, który na tle oświetlonym czerwonymi błyskami płonącego luczywa wydawał się czarnym olbrzymem, cicho poruszali wiosłami, bez szmeru i plusku opuszczając je do wody.

Lis wpatrywał się w oświetloną ogniem głębię zatok rzecznych, gdzie prąd płynął wolno, leniwie, a gdzie chętnie żerowały ryby, znajdując wśród wodorostów i traw obfite pożywienie.

Widział z lekka falujące, do włosów podobne wstęgi wodorostów i pędy traw; każdą jamę oglądał dokładnie, szukał w niej i pod zwałami kamieni zaczajonych ryb, zaciskając w mocnej dłoni długie drzewce ości. Przez kilka dni uczył się wbijać zęby tej broni w ciało śpiących ryb, toteż wyciągał teraz karasie, liny, szczupaki i miętusy. Na tych pospolitych rybach po setkach nieudanych prób wprawił się znakomicie i już rzadko chybiał.

Pan Władysław posiadał niezwykłą siłę, więc ważył się napadać na duże nawet jesiotry, nelmy i czyhające na nie szczupaki, od starości porośle wodorostami na drapieźnych łbach i szerokich grzbietach.

Ostrza jego ościenia wchodziły tak głęboko, że największe ryby szybko słabły i stawały się zdobyczą rybaka.

W końcu maja, gdy wszystkie wędrujące ryby odpłynęły już na południe lub ukryły się w dorzeczach Obi, Lis posiadał bardzo znaczny plon połowów wiosennych. Pomyślawszy i naradziwszy się z żoną, wynajął trzech Samojedów i zaczął budować duży spichrz, w którym na razie miał przechowywać ryby. W tym celu wykopano w nim i ocembrowano deskami dwa głębokie doły. Jeden zasypano czystym, drobnym piaskiem na przechowanie jarzyn, drugi wypełniono lodem, w którym umieszczono kadzie z soloną rybą. Na przewiewnym strychu rozwieszono wędzone ryby, jukołę i ustawiono worki z porsem.

Pani Julianna była teraz zajęta czym innym.

Wychowana na wsi, znała się dobrze na gospodarstwie, więc razem z Dunią i innymi dziewczętami zakładała ogród warzywny. Skończywszy z kopaniem grzęd, pewnej

⁹⁰tundra — bezdrzewne zbiorowisko roślinności w zimnym, okołobiegunowym klimacie na półkuli północnej, składające się głównie z mchów i porostów, w południowym pasie także z roślin zielnych i krzewinek. [przypis edytorski]

niedzieli zwołała kobiety z całego miasteczka i zwróciła się do nich z przemówieniem. Opowiedziała im, że podczas swoich przejazdów z miasta do miasta spostrzegła, iż Sybiracy nie znają bardzo pożywnej i dobrej jarzyny, jaką są ziemniaki, które dają obfity urodzaj i nie wymagają trudnych zachodów. Pokazała im worek z ziemniakami, które dostała na prośbę swoją od rodziców. Sybiraczki z podziwem oglądały kartofle, wachały i nawet nadgryzały je.

— Otóż — mówiła pani Julianna — dam każdej z was po kilka ziemniaków i nauczę, jak należy hodować je; resztę posadzę na swoich grzędach. Pierwszego zbioru starczy nam na całe pole w przyszłym roku. W ten sposób będziecie miały nowe pożywienie, z którego będziecie zadowolone!

Istotnie od tego roku mieszkańcy obwodu Narymskiego, a w ślad za nim Tomskiego i Tobolskiego rozpoczęli uprawę ziemniaków, które wprowadziła tu rodzina polskich zesłańców, niezatrutych bierną rozpaczą i bezsilną nienawiścią, lecz uduchowionych pragnieniem służenia ludzkości, niesienia pomocy w jej szarym, nędznym życiu. Pani Julianna namówiła też gospodarzy narymskich do innej jeszcze czynności, chociaż ta na razie wydała im się błaha i zbyteczna. Jednak ustępując naleganiom Polaków, podczas żniwa zaczęli Sybiracy wybierać najbujniejsze, najcięższe kłosa, aby wyluskawszy z nich ziarna, użyć ich na przyszły siew.

W ten sposób rozpoczęto selekcję zboża, a wkrótce podniesiono znacznie urodzaje i wyhodowano nowe, lepsze gatunki żyta i owsa syberyjskiego.

Taką to pamiątkę po sobie zostawili na Syberii zesłańcy polscy — ludzie czynu i życia.

Nie sądzonym było jednak Lisom doczekać się tego i tylko wieści o wyniku ich rad i pracy doszły wygnańców z daleka, radością napełniając serca.

ROZDZIAŁ VIII. ZEMSTA

Obfity połów ryb w okresie wiosennym pozwolił Lisowi stanąć twardą stopą w Narymie i należycie przygotować się do długiego pobytu w tym małym miasteczku, gdzie miał zgodnie z wyrokiem sądu rosyjskiego przebywać aż do śmierci.

Iluz to zesłańców ta śmierć spotkała przed czasem?! Ileż to razy drapieżny wróg — rząd rosyjski — cieszył się, dowiadując się, że przeciwnicy jego jeden po drugim schodzą do grobu?

Pewna część zesłańców wciąż oczekiwała od dawna zapowiadanej amnestii lub też pędziła życie nędzne z dnia na dzień, coraz bardziej zapadając w obezwładniającą otchłań rozpaczki lub zubożenia, zwiastunów ostatecznej klęski.

Władysław Lis nie należał do takich ludzi. Był człowiekiem walki, czynu i życia, a w tym podtrzymywała go żona — opiekunka, doradczyni wierna, źródło niewyczerpanej nadziei na lepsze jutro i niezmiennej pogody ducha.

Po sprawdzeniu wyników połowu pan Władysław dokładnie obliczył, ile pożywienia będzie potrzebował dla domu aż do przyszłej wonzi, tej powrotnej fali ryb, gdy na jesieni będą dążyły ku morzu od źródeł Obi. Resztę swoich zapasów przeznaczył na wymianę ich na niezbędny w gospodarstwie inwentarz.

Nabył więc krowę i konia, pług, bronę i inne narzędzia rolnicze, ziarno na zasiew, a nawet wynajął parobka, kulawego, lecz pracowitego i silnego wyrostka samojedzkiego, z którym pływał na wiosnę po Obi.

Zesłańcy podług istniejącego prawa dostawali szmat ziemi. Nie był on wielki, ale i tak na znaczny zagon pan Władysław nie mógłby się porywać. Przez zimę nieraz rozmawiał z żoną o przyszłym gospodarstwie. Pani Julianna знаła się na rolnictwie, mając ojca zawołanego, postępowego gospodarza i napatrzywszy się na nowe sposoby, które stosował w swoich folwarkach pan Kobierzycki — uczony rolnik. Przeczytał też był zesłaniec sporo książek o uprawie ziemi i postanowił należycie wyzyskać swój mały zagon.

Przede wszystkim sprowadził z Omska głęboko orzący pług, o szerokim mocnym lemieszu. Dopiero od niedawna angielscy kupcy dostarczali takich pługów do Rosji, która znała najczęściej pług o drewnianym lemieszu, tak zwaną sochę lub również drewniany, lecz z żelaznym, wąskim, trójkątnym nożem, odwalającym płytką skibę.

Nowy pług pozwolił Lisowi dokonać głębokiej orki i poruszyć nawet zamarzłą ziemię. Skończywszy z zagonem, zabrał ze sobą robotnika, najgęstsze sieci i wypłynął na Ob. Łapał

Zesłaniec

teraz drobne ryby, suszył je w pośpiechu na słońcu i nad ogniskiem, a potem, przetarłszy pomiędzy kamieniami, używał jako nawozu.

Gospodarze narymscy dziwili się pomysłowi Polaka, nie wiedząc, że takie kraje jak Japonia, Patagonia, Jawa od wieków innego nawozu nie stosowały i dzięki niemu miały dobre urodzaje. Lecz w jeszcze większe zdumienie wprowadziły Sybiraków dalsze czynności zesłańca. Niejeden z nich wzruszał ramionami i mruczał:

— Zwariował chłop! W głowie mu się przewróciło! Kto to widział?!

Istotnie, tego tu nikt nigdy nie widział. A tymczasem Lis, przeczytawszy w piśmie rolniczym artykuł pana Gareckiego, który po odbytej podróży do Chin pisał, że Chińczycy, posiadający drobne działki rolne, zbierają z nich piękny i obfity plon dlatego, że nie sieją zboża, lecz sadzą je, niby groch na grzędach, postanowił zastosować ten chiński sposób na swoim małym polu. Pamiętając o tym, że syberyjskie lato zmienne jest i zdradliwe, bo nawet w czerwcu nieraz przynosi przymrozki i zimny wiatr wschodni, Lis otoczył swe pole od północy i wschodu wysokim płotem z trzciny, a jeszcze kilka podobnych zagród przeciągnął w poprzek pola, przez co ochronił rośliny przed zimnym wiatrem i dopomógł ziemi, aby dłużej utrzymywała pochłonięte ciepło słoneczne. Toteż na polu Lisowym prędzej niż gdzie indziej wybujało żyto i owies, a gdy zaczęło się kłosić, Sybiracy kręcili głowami i znowu się dziwili. Ujrzeni bowiem wysokie, ciężkie, obfite w ziarna kłosy, dojrzewające szybciej niż ich żyto.

Na grzędach pani Julianny udały się wszelkie jarzyny, a szczególnie ziemniaki i parę grządek ziół leczniczych.

Jeszcze w lecie, przed żniwem, pan Władysław, pamiętając o oczekujących go zimowych łowach, jeździł do tajgi i zwoził do domu drzewo na opał i budulec, gdyż w jesieni miał przystąpić do budowy obory i stajni.

Jesień wypadła ciepła, pogodna. Żniwa udały się znakomicie, a gdy całe żyto zostało przerobione na mąkę, Lis przekonał się, że dany mu mały zagon ziemi ornej przyniósł mu urodzaj dorównujący trzykrotnie większym polom. Nie mniej obfity plon ziemniaków zebrała pani Julianna i rozdała kilka worków przyjaciółkom na przyszłe zaopatrzenie pól. Ziemniaki zasmakowały mieszkańcom Narymu tak bardzo, że kobiety musiały trzymać je pod kluczem, gdyż mężowie natarczywie dopominali się o to nowe, a tak dobre pożywienie.

We wrześniu Lis skończył stawianie obory i stajni i w kilka dni później musiał przystąpić do jesiennego połowu ryb.

Jesiotry, sterlety, nelmy, miętusy i różne sigi po złożeniu ikry powracały na północ, z prądem staczając się ku oceanowi.

Szczęście i pomoc młodego Rodionowa i Gangi dały Lisowi możliwość tak znacznie uzupełnić swoje zapasy ryb, że zasoliwszy je i uwędziwszy, natychmiast wymienił te, które zebrał był na wiosnę, na potrzebne mu na zimę przedmioty.

Nabył więc w sklepie Rodionowa karabin, proch, kapiszon⁹¹, najlepsze lane kule, samolowy na zwierzęta, a u Samojedów kupił za jukolę i pors dwa uprężne renifery, narty do chodzenia i narty-sanki do jazdy po śniegu. Ciepłego ubrania, niczym niezastąpionych butów futrzanych kisów, podwójnych futrzanych spodni pime i kurtek sok z łosiowego zamszu, małachajów nie potrzebował, bo miał je w darze od Samojedów za skuteczne potwierdzenie ich praw i przywilejów, a także za lekarską pomoc, z którą zawsze tak chętnie śpieszyła do cierpiących żona zesłańca.

Pan Władysław, wzmocniwszy płoty na polu, zaorał raz jeszcze ziemię i zasadził żyto. Chciał spróbować, czy nie zmarznie ono przez zimę.

Nie przeczuwał wtedy, że nie doczeka się nowego lata w Narymie.

Skończywszy z robotami gospodarskimi i zabrawszy ze sobą karabin i trochę zapasów żywności, wyruszył Lis na polowanie. Z końcem września zaczynał się bowiem przelot pactwa wodnego. Po wychowaniu młodzi powracało ono z północy do ciepłych krajów. Całymi dniami, kierując się prądem Obi, leciały klucze łabędzi, żurawi, dzikich gęsi i niezliczone stada kaczek. Ptaki opuszczały się na łachy piaszczyste, na jeziora niskiego

Ptak

⁹¹kapiszon — miedziana a. mosiężna sponka używana od XIX w. w odprzodowej broni palnej, mająca formę miseczki zawierającej piorunian rtęci, wybuchający po uderzeniu przez kurek, co powodowało zapalenie prochu w lufie i oddanie strzału. [przypis edytorski]

brzegu, a nawet wprost na płaszczynę torfową, gdzie wypoczywały i żerowały, znajdując obfite pożywienie.

Pan Władysław wprawiał się w strzelaniu z karabina.

W korpusie kadetów należał do szeregu najlepszych strzelców, więc i tu wkrótce doszedł do znacznej wprawy; chybiał rzadko i przynosił do domu obfitą zdobycz.

Pewnego razu, gdy zaczajony w krzakach siedział na wysepce, spostrzegł czółno, które borykając się z prądem Obi, płynęło w jego stronę. Jakiś niepokój zakradł się do serca zesłańca i złe przeczucie jęło gnębić go i przejmować trwogą.

„Na Boga — pomyślał — czy aby coś złego nie przydarzyło się Juliannie?!”

Wybiegł na brzeg i jął wymachiwać w stronę czółna.

Człowiek siedzący w nim podniósł rękę nad głowę.

— Do cie-bie... do cie-bie!... — dobiegł Lisa zgłuszony podmuchem wiatru głos.

Czółno dobiło do brzegu i na ziemię wyskoczył młody Rodionow.

— Co się stało? — z trwogą zapytał Polak.

— Źle, oj, źle!... — wyjąkał chłopiec. — Przyjechało dwu policjantów, o ciebie pytają...

— Czegóż oni chcą ode mnie? — zdumiał się Lis.

— Nie wiem! Kazali wójtowi odnaleźć ciebie i stawić w urzędzie gminnym... Słyszałem twoje strzały, więc popłynąłem, aby uprzedzić — mówił chłopiec. — Może lepiej będzie, jeżeli nie pójdziesz wcale... i ukryjesz się?... Nasi nie wydadzą ciebie...

— Co też to za gadanie! — oburzył się zesłaniec. — Po co mam się kryć? Czy mam coś złego na sumieniu? Nie boję się nikogo. Powracajmy do miasta!

Wskoczyli do czółen i popłynęli.

Przed chatą starego Pyragi stał tłum. Na widok powracającego Lisa rozstał się w pornym milczeniu. Lis ruszył naprzód ku siedzącym na ganku policjantom.

— Jestem Władysław Lis. Posyłaście po mnie? — spytał.

— A tak! — odparł jeden z urzędników. — Przywieźliśmy rozkaz dotyczący was.

To mówiąc, podał mu szarą, zmiętą kopertę z pieczęcią gubernatorską.

Lis rozerwał kopertę i uważnie przeczytał pismo. W miarę jak zaczynał rozumieć, zaciskał zęby, aby nie zblednąć i nie zdradzić swego wzruszenia.

Kancelaria gubernatora zawiadamiała, że śledztwo wykazało, iż zesłaniec Lis podburzał Samojedów, co się wyraziło w wystąpieniu ich ze skargą w bardzo niestosownym czasie przejazdu petersburskiego rewizora. Ponieważ rząd stara się o jak najlepsze stosunki z tuziemcami, więc osoby przeszkadzające w tym władzom nie są pożądane w rejonach zamieszkałych przez Samojedów. Wobec tego zesłaniec Lis ma być natychmiast osiedlony w innym miejscu, które będzie mu wskazane przez urzędnika Leszczenkę.

Lis skończył czytanie i spokojnym na pozór głosem rzekł:

— Tak! Przeczytałem rozkaz gubernatora... Panowie, naturalnie, wiedzą, że ja nikogo nie buntowałem. Zajście w obecności rewizora zostało spowodowane niesprawiedliwym postępowaniem urzędników, oddanych za to pod sąd. Nie poczuwam się do winy!

Leszczenko wzruszył ramionami i odparł:

— My nic na to poradzić nie możemy. Otrzymaliśmy rozkaz i musimy go wykonać. Niech się pan przygotowuje do drogi. Jedziemy za godzinę!

— Ależ ja mam gospodarstwo! — zawołał Lis. — Muszę więc przedtem załatwić się z nim...

— To wszystko potrafi zrobić za was żona wasza — odpowiedział urzędnik.

— Jak to?! — wyrwał się Lisowi rozpaczliwy krzyk. — Zostaniemy więc rozłączeni?!

— Nie mamy rozkazu co do waszej żony — oznajmił Leszczenko.

— Ależ posiadam zezwolenie kancelarii cesarskiej na towarzyszenie mi mojej żony! — protestował zesłaniec.

— Nic o tym nie wiemy! — wzruszyli ramionami policjanci, a jeden z nich krzyknąwszy, aby przygotowano wózek i konie, powtórzył:

— Zbierajcie się do drogi! Nie traćcie czasu!

Lis zrozumiał, że na nic się nie zdadzą jego dowodzenia i sprzeciw, więc poszedł do domu i oznajmił żonie straszną nowinę. Dzielną i na wszystko przygotowaną niewiastą

zbladła, lecz ani na chwilę nie straciła panowania nad sobą, ani też nie zapłakała. Po długim namyśle szepnęła do męża:

— Jedź, Władeczk, bo opór mógłby ci zaszkodzić... Ja zaś pojedę do Tomska i będę prosiła o potwierdzenie pozwolenia na towarzyszenie ci, a gdy je uzyskam, załatwię się z domem, zabiorę wszystko, co będzie można zabrać, i znowu będziemy razem... w doli czy niedoli...

Więcej nic już o tych sprawach nie mówili.

Uklękli przed świętym obrazem i długo, gorąco modlili się.

Pan Władysław szybko ukończył przygotowania do nieznanego drogi. Zabrał ze sobą broń, narzędzia ciesielskie i stolarskie, trochę ciepłego ubrania, bielizny i naczynia, a pani Julianna włożyła mu do worka pożywienie i kilka paczek z lekami, które wypróbowała w Narymie.

Przed dom zesłańców zajeżdżał wózek.

Wyniesiono i przywiązano rzeczy, po czym Lis, czując, jak lzy mu rozsadzają piersi, żegnał żonę w milczeniu i bólu, którego jednak nikt nie spostrzegł.

Po chwili zacisnął szczękę i podniósł głowę.

Cała ludność Narymu tłoczyła się wokół domu.

Kobiety płakały, mężczyźni patrzyli w ziemię ponuro.

Lis ogarnął wzrokiem sąsiadów i rzucił donośnie:

— Bywajcie zdrowi, przyjaciele! Dziękuję wam za serce i proszę, nie opuszczajcie mojej żony, dopóki będzie potrzebowała pomocy i współczucia. Bywajcie zdrowi!

Zaczął ścisnąć ręce mieszkańcom Narymu, a potem, ucałowawszy raz jeszcze bladą twarzyczkę i drżące usta żony, wsiadł do wózka.

Konie ruszyły z kopyta. Lis nie obejrzał się ani razu.

Może bał się, że nie wytrzyma i — albo skręci kark policjantom, albo wybuchnie ciężkim szlochem.

Wkrótce wózek zniknął na zakręcie drogi.

Wtedy dopiero zapłakała pani Lisowa i bezsilna usiadła na kamieniu przydrożnym. Tłum prostych ludzi nie umiał pocieszyć jej, nie znajdował dla niej słów otuchy i ukojenia.

Nie rozchodząc się, stali wszyscy w miejscu i patrzyli na płaczącą kobietę niemal surowymi oczami.

Pierwszy odezwał się Rodionow:

— Pomożemy, kupimy waszą chatę na szkołę...

— Pomożemy... — wtórował mu wójt Pyraga. — Kupimy od was wszystko, co będzie dla was zbyt ciężkie, a was do męża dostawimy.

— Dam konie i wózek wygodny, abyście mogli pojechać do Tomska upominać się o swoje prawa! — dodał kupiec Fedorow, wożący pocztę.

— Dziękuję wam! — szepnęła pani Julianna. — Dziękuję wszystkim!

Poszła do chaty, z której wyszedł był jej mąż, aby tu już nigdy nie wrócić.

Czuła to i lękiem ogarniała ją myśl o samotności. Obejrzała się, posłyszawszy czyjeś kroki za sobą. Była to Dunia Rodionowa.

— Ja z wami pozostanę, pani! — szepnęła.

Żona zesłańca chwyciła ją za ręce i pociągnęła za sobą.

Gdy tłum wzburzonych mieszkańców Narymu przechodził koło chaty Wotkuła, stary Pyraga spojrzął w stronę lasu i zmrużył nagle oczy. Nic jednak nie powiedział. A przecież był prawie pewny, że dojrzał sylwetkę Wotkuła, uzbrojonego w karabin i biegnącego ku brzegowi Keci.

Zapukał do okna, a gdy wyjrzała żona Samojedy, szepnął:

— On wyruszył na poszukiwanie sprawiedliwego człowieka?

Kobieta z tajemniczym wyrazem twarzy skinęła głową w milczeniu.

— Dobrze! — mruknął Wójt. — Wotkuł znajdzie go i o wszystkim się dowie... Nie opuści on sprawiedliwego w takim nieszczęściu.

Samojedka potrząsnęła głową i odparła:

— Nie opuści! Wotkuł nie taki! On pamięta, że sprawiedliwy obronił mnie i wszystkich nas przed Urusami i że żona jego wyleczyła naszą małą Kusinet, gdy ją trawiła zła zimnica⁹²... Wotkuł tego nie zapomni!

Stary westchnął i rzekł:

— Żona sprawiedliwego i mnie też wyleczyła, gdy chodzić nie mogłem. Ja też to pamiętam i...

Nie dokończył, bo ktoś zaczął wołać:

— Wójcie! Wójcie! Czy mamy ogłosić wiec?

— Dzwoncie na wiec! Musimy się naradzić! — odkrzyknął.

Pykając fajeczkę, pokulał do chaty, gdzie mieścił się urząd gminny.

ROZDZIAŁ IX. WIERNY PRZYJACIEL

Policjanci wieźli polskiego zesłańca przez cały tydzień. Drogi prawie nie było, gdyż nie można było nazwać drogą niegdyś zbudowanej, teraz przegniłej i zburzonej grobli, która szła przez błotnistą część tajgi, co chwila przecinanej rzekami. Wózek zanurzał się w wodzie powyżej kół, z brzękiem i skrzypieniem rozpaczliwym skakał na kamieniach, przewalając się z boku na bok. Wreszcie uriadnik Leszczenko rzekł do powożącego policjanta:

— Stój, Iwanie, bo zdaje się, że to tu.

Rozejrzał się wokół bacznie, sprawdził coś w notatniku i kiwnął głową.

— No, tak! — zamruczał. — Jesteśmy wreszcie na miejscu!

Zwracając się do zesłańca, dodał:

— Macie wasz nowy przydział! Ha! Gorszego chyba nie mogli w Tomsku znaleźć! Szczera tajga, trzęsawiska, pustynia... Tfu! Że też ludzi spokojnych i uczonych na takie nędzne życie skazują!...

Splunął i zaklął.

Rozpalili ognisko i jęli gotować strawę.

— Przenocujemy tu z wami, a jutro odjedziemy — mruknął Leszczenko. — Może pomóc wam w stawianiu szałasów?

— Dziękuję! — odparł Lis. — Przydałby się on w nocy i mnie, i wam. Komarów i bąków wielka tu moc!

Szybko narabiali cienkich drągów, ustawili stożkowaty szkielet zwykłego czumu tubylczego i opletli go gałęziami. Lis okrył ziemię kawałkami kory brzoźowej i liśćmi paproci, a na to wszystko zarzucił kawał wołjoku, którym okryte były jego rzeczy.

— Jako tako przetrwacie, aż zbudujecie lepszy czum; chociaż myślę, że nie poradzicie... — zauważył Leszczenko.

— Hej tam, dlaczego? — spytał Lis, potrząsając głową.

— Bo nie macie niugi! — odpowiedział uriadnik.

Lis wiedział, że niugami, czyli szerokimi kocami zszytymi z kilku skór, Samojeździ okrywają drewniane szkielety swoich szałasów, więc uśmiechnął się i odrzekł:

— Nie wątpię, że w takim odludziu wytropię niejednego łosia i jelenia. He! Strzelam zaś celnie, więc będę miał niugi.

Jakaś nagła nadzieja wstąpiła w niego, więc wyzywająco popatrzył na policjantów i zawołał:

— Zapraszam was do siebie na przyszły rok!

Leszczenko parsknął śmiechem i odparł:

— No, ależ hardy z was Lach! Takiego byle kto nie ugnie i nie zgębi!

Niemal z zachwytem patrzył teraz na barczystego Polaka o twarzy pogodnej, lecz o oczach w chwili tej niezwykle roziskrzonych.

Przyczyny tych ogni wewnętrznych, namiętnych i palących, nie mogli zrozumieć Moskale.

Opędzając się od żarłocznych owadów, co chwila dorzucając do ogniska świeżych gałęzi, aby dymiły jak najwięcej, jedli gorącą polewkę i pili herbatę.

Słońce szybko zapadało za tajgę. Z głębi dzikiej kniei wynurzał się mrok i ogarniał małą polankę z płonącym ogniskiem i siedzącymi przy niej ludźmi. Głośno wzdychały

⁹²zimnica — febra. [przypis redakcyjny]

znużone konie policjantów, przeżuwać owies i chrapały, być może węsząc jakieś zwierzę skradające się w gęstwinie.

Leszczenko ziewnął i mruknął:

— Czas na spoczynek! Iwanie, rozpal mały dymokur⁹³ przy wejściu do szałas. Zawsze⁹⁴ odpędzi on ten gnus⁹⁵ przekłety!

W pół godziny potem z nowego szałas dochodziło potężne sapanie policjantów i potrzaskiwanie wilgotnych gałęzi wrzuconych do płonącego ogniska.

Nad lasem przeciągały spóźnione stada dzikich gęsi. Leciały tak nisko, że dobiegał wyraźnie szmer skrzydeł silnych ptaków; za nimi nadążały stadka dzikich kaczek, a wtedy rozlegał się przeciągły, niemilkący świst przecinanego powietrza. Huczały bąki koło szałas, bzykały komary i drobne, gryzące muszki. Konie parskały, tupwały kopytami i wymachiwały ogonami, opędzając się przed niewidzialną chmarą drapieżnych owadów.

Lis nie mógł usnąć. Długo leżał nieruchomy, z oczami otwartymi, wbitymi w czerwone błyski ogniska. Myśli zesłańca smutne były, bo dusza jego rwała się do żony — cichej, zawsze łagodnej, pogodnej, a teraz tak bardzo samotnej, porzuconej na łaskę losu i obcych ludzi. Po raz setny zadawał sobie męczące pytanie:

— Gdzie jesteś? Co robisz, najdroższa, promienna gwiazdka moja, Julianko złotowłosa?!

Usiłował domyślić się, co zamierzała uczynić kochana kobieta i w jaki sposób wykonać swój zamiar. Ten wysiłek myśli i nieopuszczający go nigdy niepokój o żonę ostatecznie odpędził sen z powiek Lisa. Ześlizgnął się bez szmeru z postania i wyszedłszy z szałas, usiadł przed ogniskiem.

Dym otoczył go i przepędził zjadliwy gnus. Oparł ręce na dłoniach i pogrążył się w niewesołe myśli. Zaduma jego przysła jednak niebawem, gdyż uwagę przykuły do siebie przeróżne odgłosy, dobiegające z głębi puszczy.

Rozpoznawał niektóre, inne znowu słyszał po raz pierwszy.

Gdzieś w pobliżu zabelkotał nagle obudzony ze snu czarny, czerwonobrewy cietrzew. Kury natychmiast odpowiedziały mu krótkim, trwożnym kłóchtaniem.

Gdzieś wysoko, pod obłokami zatrąbił ostrzegawczo klucz żurawi czujnych, zaniepokojonych widokiem ogniska. Z szelestem skrzydeł i głuchym brzęczeniem miotła się w powietrzu słonka.

Nigdzie nie słyszane też głosy biegły z kniei i zamierały na polance, z samotnie tkwiącym na niej szałasem.

Jakieś przygłuszone poryki, zdławione beczenie, ponure, nagle urywające się wycie, skowyt krótki, przenikliwy, jakieś tajemnicze pomruki, ni to z ziemi wychodzące westchnienia przeobrzymych istot nieznanych, to znów syki, zgrzyty ostre i niepokojące, zdawało się, tuż-tuż powstające, po chwili daleki plusk, cichy, żalony jęk, człapanie niewidzialnych w mroku nóg, stąpających ostrożnie po grząskim trzęsawisku, po miękkich kępach omszałych, wyrosłych z czarnej topieli moczarów.

Lis łowił uchem nocny rozgwar kniei i dziwił się, że nigdy przedtem nie słyszał tych nawoływań i dalekich ech, odpowiadających wielorakim głosom tajgi.

Tymczasem jęła ona przemawiać coraz śmielej i natarczywiej. Gardzienie zwierząt i ptaków wydawały coraz donośniejsze okrzyki, odzywały się one ze wszech stron, a brzmiała w nich coraz większa trwoga.

Z tego rozedrganego, sączącego się wokół i rwącego pogwaru, przytłumionego ciężkimi mgłami przewalającymi się nad knieją, jał się wylaniać jeden głos najbliższy, dziwnie niecierpliwy, natrętny. Był ni to ponury syk puchacza, ni to kłapanie głuszca na tokowisku.

Dźwięk ten nie od razu wdarł się do słuchu siedzącego człowieka, lecz w końcu dotarł do świadomości jego, zmusił do podniesienia głowy i obejrzenia się.

— Ssy — ssy — cza — cza — cza! — zgrzytały dziwnie natarczywe poszepty.

Po chwili znowu, jeszcze bardziej natrętnie:

— Sssy — ssy — ssy! Cza — cza — cza... a.

⁹³dymokur — małe ognisko, mocno dymiące, dla odpędzania owadów. [przypis redakcyjny]

⁹⁴zawszeć (przest.) — „zawsze”, w znaczeniu: pomimo wszystko, wzmocnione dodaniem partykuły -ci, skróconej do -ć. [przypis edytorski]

⁹⁵gnus — syberyjska nazwa dla gryzących owadów. [przypis redakcyjny]

I nagle coś nieokreślonego, jak gdyby westchnienie, jęk, czy cicha klątwa.

Stłumiony, tajemny dźwięk, który wydać mogło tylko gardło ludzkie.

Lis nieznacznym ruchem podciągnął ku sobie karabin i namacał kurek.

W tej chwili posłyszał wyraźnie cichy, przenikliwy szept:

— Sprawiedliwy człowieku!... ss... cz...

Zesłaniec zrozumiał, że to człowiek czai się, ukryty w chaszczach, a wiedział również, że nie był to wróg, lecz jeden z tych, którzy przewali go „sprawiedliwym”, co go rozrzewniało zawsze i cieszyło niewymownie.

Starając się nie robić hałasu, postąpił kilka kroków naprzód, wpatrując się w mrok.

Jakaś ciemna, czarniejsza od nocy postać zamajaczyła na tle lasu i bez szelestu, jak gdyby widmo sunące ponad ziemią, skoczyła ku Lisowi.

— Wotku! Wotku! — wyrwał się zesłańcowi szept gorący.

Samojed ogarnął go ramieniem i prowadził w głąb tajgi, zręcznie omijając ukryte w mroku i w gąszczu trawy, kępy torfowiska i małe, głębokie kałuże czarnej, ziejącej zgnilizną wody.

Tak doszli do niewysokiego, suchego pagórka.

— To ja! — rzekł Wotkuł, ściskając ramię przyjaciela. — Widziałem wasz wózek, gdy skręcał na starą groblę przez Bułyńskie oparzelisko. Domyśliłem się wtedy, że Urusy wiozą ciebie na Czin-War... Wiem, że prowadzi tam tylko jedna droga, którą przed stu laty zbudowali jacyś wojewodowie rosyjscy dla poszukiwania złota... Wtedy pobiegłem na przelaj, na wschód, ku rzece Ałgim⁹⁶... bo tam droga się urywa... Numa-Wielki Duch dopomógł mi! O, wielki, dobrotliwy Numa pozwolił Wotkułowi odnaleźć sprawiedliwego! Zanocowałem nad brzegiem Ałgimu, lecz gdy zmrok zapadł, ujrzałem z pagórków oświetlone ogniskiem wierzchołki świerków... Przybiegłem do ciebie... jestem już...

Zesłaniec objął Wotkuła i przycisnął go do szerokiej piersi, nie mogąc wydobyć z niej głosu i czując, jak łzy wdzięczności ściekają mu po policzkach.

Wotkuł ciągnął dalej:

— Urusy śpią, spokojni o swe życie, bo stąd trzy dni drogi do najbliższej osady ludzkiej... Możemy iść do nich i pchnąć nożem...

Lis drgnął i ścisnął dłoń Samojedą.

— Nie rób im nic złego, Wotkule! Za co? Oni spełniają rozkaz władz i nie są winni! Tymczasem taka zbrodnia mogłaby rozłączyć mnie z żoną na zawsze i zgubić... Rozumiesz!

Umilkli i siedzieli, trzymając się za ręce.

Wotkuł poruszył się niecierpliwie i rzekł:

— O świcie pobiegnę do Narymu... Skrzyknę naszych i za dwa tygodnie przyjdziemy tu. Będziemy stawiali dla was nowy dom... Wypytaj Urusów, czy możesz osiedlić się na Ałgimie... bo tam lepiej... Górzysty kraj... nie ma moczarów... tajga pełna zwierza... rzeka — ryb... wesołe miejsce, a dla Urusów niedostępne! Żaden z nich nie będzie tam zaglądał. Szczęśliwie tam żyć będziemy... Sprawiedliwy, biała niewiasta i my — łowcy... Sameednam⁹⁷!

— Sameednam? — powtórzył Lis.

— To znaczy: synowie tej ziemi — objaśnił Wotkuł. — Szczęśliwi tu będziemy wszyscy!

Lis zrozumiał zamiary przyjaciela. Radość szalona porwała go, szukał słów, aby wyrazić Wotkułowi całą głębię swej wdzięczności, lecz stroskane serce nie wytrzymało nawału wrażeń. Zesłaniec szlochać zaczął głośno, a Samojed snadź zrozumiał uczucie przyjaciela, bo siedział cicho, wstrzymując oddech i powtarzając bezdźwięcznie:

— Numo, Wielki Duchu, dziękuję ci!... Wielki Duchu, bądź błogosławiony!

⁹⁶Ałgim — rzeka w azjatyckiej części Rosji, lewy dopływ rzeki Sym, która z kolei jest lewym dopływem Jeniseju. [przypis edytorski]

⁹⁷Sameednam — samojedzki wyraz, oznaczający „Synowie Ziemi”; nazwa „Samojed” jest zepsutym słowem „Sameednam” [wg najpowszechniejszej hipotezy słowo „Samojed”, w polszczyźnie zapożyczone z rosyjskiego (самоед), wywodzi się z języka Lapończyków (Saamów), zamieszkujących płn. część Płw. Skandynawskiego: w norweskim lapońskim *Såme-ēnå*, D. *Såme-ædnåm(a)* oznacza „kraj Saamów”; red. WL]. [przypis redakcyjny]

Ujrawszy, że Lis zaczyna się uspokajać, wziął go znów pod ramię i prowadził poprzez ciemną knieję. Ledwie błysnęły przez gąszcz czerwone błyski ogniska i zaleciał zapach dymu, Wotkuł szepnął:

— Idź cicho i kładź się, a gdy czternasty raz ukaże się słońce, czekaj na mnie, czekaj na przyjaciół. Przyniosę ci wieści od białej niewiasty...

Ścisnął dłoń Lisa i zniknął jak majak nocny.

Wzruszony, lecz spokojny już i pocieszony zesłaniec powrócił do ogniska i uklęknięwszy, modlił się długo i gorąco, korzył się przed Wszechmocnym i Najdobrotliwszym Poczyszycielem-Bogiem-Stwórcą, dziękował za łaskę i ukojenie, błagał o opiekę nad tą, którą umiłował był na całe życie każdym drgnieniem serca, każdą myślą...

Ledwie przedświt białawy sączyć się zaczął, zesłaniec zagotował wodę w kociołku, przyrządził herbatę i obudził policjantów. Przy śniadaniu zapytał, czy ma wolny wybór miejsca na chałupę. Leszczenko zaśmiał się i machnąwszy ręką, odparł:

— Cała ta połać tajgi, aż hen, do Jeniseju, jest waszym teraz państwem. Ha! Możecie się tu carem okrzyknąć, bo poddanych macie bez liku... niedźwiedzi, wilków, rosomaków, łosi, jeleni, rysiów i wszelkich innych, zębatych i skrzydlatych!... Nie tylko na Ałgimie, ale i na Nelemce⁹⁸, Symie⁹⁹, Wydczesie¹⁰⁰... wszędzie możecie budować osadę, uprawiać rolę, przemysł łowiecki, rybacki, grzybowy, jagodowy i orzechowy, bo tak właśnie, słowo w słowo, głosi o tym punkt piąty instrukcji o zesłańcach osiedlonych w najdalszych częściach tajgi symskiej.

Skończył, lecz pomyślawszy przez chwilę, dodał z uśmiechem:

— Jeszcze wam powiem, że tu choć diablo odludnie, będziecie za to wolniejsi i bezpieczniejsi, bo ani zły człowiek do takiej puszczy nie zajrzy, ani my tu nigdy nie przyjedziemy... bo i po co? Stąd już nikt nie ucieknie... O tym dobrze wiedzą w kancelarii gubernatorskiej!

W godzinę po tej rozmowie Lis stał samotny przed szalasem i słuchał.

Już z daleka dochodził go słaby turkot wózka i jękliwy głos dzwonka, uwięzającego do uprzęży koni uwożących policjantów. Minęło jeszcze kilka minut i na polanie zapanowała martwa cisza...

Spłoszył ją wnet obcy, taki dziwny, nigdy tu niesłyszany dźwięk.

Stojący przed szalasem człowiek, niezwykle barczysty, o twarzy pogodnej i beztróskiej, pogwizdywał wesoło:

— Marsz, marsz Dąbrowski...

Mazurek ochoczy, jurny biegł coraz dalej i dalej, aż podchwyciło go echo i poniosło. Dokąd?

Chyba na wszystkie strony, poprzez jary i uroczyska dzikiego, pustynnego Czin-Waru, a może jeszcze dalej...

ROZDZIAŁ X. W ZAPADŁYM KĄCIE

Władysław Lis należał do ludzi, dla których życie składa się z myśli popartych natychmiastowym czynem. Nic nie mogło zmienić jego bujnej natury. Był taki jako kadet w korpusie petersburskim, pozostawał taki w bitwie pod Stoczkim i podczas szarży ułańskiej na grochowskim polu, takim też czuł się i tu, w nieznanym mu uroczysku Czin-Waru.

Ledwie zamilkły dzwonki odjeżdżających policjantów, zesłaniec począł znosić swoje rzeczy do czumu i uważnie przeglądać je, pogwizdując i mruczając do siebie:

— Prochu, kapiszonów, kul starczy... fiut! fiut! Przyodziewek w komplecie... Fiut! Z prowiantami za to... fiut, fiut!... gorzej. Dwie cegły herbaty... kawał cukru... sucharów worek... fiut! Dwie garści soli... fiut!... Dwa półcie słoniny... przednia, bo to od Rodionowego wieprza! Fiut-u-u-t! Pięć wiązanek jukoły... Ha! Tyle całej parady! Fiut! Dobrze, żem zabrał ze sobą małą sieć... Hej, nic mi nie będzie!

⁹⁸Nelemka — rzeka w azjatyckiej części Rosji, razem z Małym Tymem tworzy Tym, prawy dopływ Obu. [przypis edytorski]

⁹⁹Sym — rzeka w azjatyckiej części Rosji, lewy dopływ Jeniseju. [przypis edytorski]

¹⁰⁰Wydczes — popr.: Bydczes (ros. Быдчеч), rzeka w azjatyckiej części Rosji, prawy dopływ rzeki Sym, dopływu Jeniseju. [przypis edytorski]

Beztróskie pogwizdywanie przeszło znowu w rytm mazurka Dąbrowskiego. Przy tym skocznym, pełnym animuszu motywie Lis okrywał starannie swoje mienie wołokiem i obwiązywał mocnym rzemieniem.

Mysł jego pracowała sprawnie i szybko: a więc zatka oto sobie żerdziami wejście do szalasu i przytłoczy kłodą zwalonego drzewa, a potem weźmie karabin, prochownicę, torbę myśliwską z sucharami, kociołkiem i herbatą, nie zapomni też o sieci, małym kocu, siekierze — i ruszy we wskazanym przez Wotkuła kierunku. Musi dojść do Algimu i rzucić okiem na te błogosławione okolice, o których z takim zapalem mówił Samojed. Niezawodnie coś się spotka w tajdze, coś się upoluje...

Wkrótce już wchodził do tajgi. Przestał gwizdać, bo opadły go wnet niezliczone roje bąków i drobnych zjadliwych muszek — tego syberyjskiego gnusu, istnej plagi dla ludzi, koni i zwierząt. Poza tym należało posuwać się ostrożnie i cicho. W chaszczach kryły się obszerne, grząskie moczary ze sterczącymi kępami i bulgocącym pod stopami bagnem. Na czarnej, rozmięklej ziemi widniały liczne ślady.

Lis mógł rozpoznać zaledwie niektóre z nich. Spostrzegł więc doły, wyciśnięte kopytami łosi i raciami jeleni. Zdziwiły go bardzo ślady bosych stóp ludzkich.

— Co, u licha?! — mruknął. — Czyżby Wotkuł na bosaka przekradał się przez ten gąszcz i trzęsawisko?!

Tak rozmyślając, doszedł do niewielkiej wyżyny, gdzie się urywały moczary. Nogi zesłańca nie grzęzły już w rdzawym lub czarnym i cuchnącym błocie, ale za to musiał się teraz przedzierać przez zwikłaną sieć krzaków i suchych, twardych badyli. Tam i sam rumieniły się grona czerwonych jagód — moroszek¹⁰¹, oblepichy¹⁰² i kniażeńniki¹⁰³. Zrywał je i jadł, głośno cmokając, bo kwaśne jeszcze były i cierpkie.

Gałęzie niskorosłych modrzewi i pędy krzaków czepiały się kurtki i butów, opasywały stopy, więc potykał się co chwila, cicho, ale siarczyście klnąc i od czasu do czasu torując sobie drogę siekierą.

Brnął dalej, a zjawiający się nagle instynkt łowiecki podszeptował mu, aby był czujny i baczny. Nozdrza mu się rozdymały i węszyły, oczy ogarniały każdy przedmiot, spostrzegały najmniejszy ruch w chaszczach kniei.

Nagle podniósł głowę i jął nasłuchiwać.

Gluche mruczenie i parskanie syczące rozległo się w tajdze. Przystanął. Rozglądał się ostrożnie i czekał.

Tuż za stłoczonymi do kupy brzożami spostrzegł rogacza. Stał i węszył, podnosząc głowę i trwożnie strzygąc łyzkami¹⁰⁴. Widocznie ujrzał coś ponad ziemią, bo nie zwracał uwagi na człowieka i po chwili jął się zbliżać ku niemu, robiąc duże susy.

„E-e, bratku, nie poczynaj ze mną tak poufale!” — pomyślał Lis i wymierzywszy starannie, strzelił.

Ugodzony śmiertelnie kozioł padł z żalonym bekiem.

W tej chwili skądś z wysoka niby kamień mignęło w powietrzu cętkowane ciało i jak gdyby tą samą kulą rażone, spadło na leżącego rogacza. Duży kot o uszach ozdobionych miotełkami czarnych włosów wbił pazury i kły w kark kozła.

„Ryś!” — mignęła Lisowi myśl i przysiadłszy za krzakiem, jął szybko i cicho nabijać karabin. Założywszy świeży kapiszon, wyjrzał. Ryś szarpał martwe zwierzę, mruczał i prychał.

Nowy strzał i obok rogacza jął prężyć się i miotać plamisty kot. Ze strzaskanej kuli głowy buchała krew, lecz ryś długo jeszcze drapał pazurami korę brzozy i wrywał szmaty darniny.

Lis odciął rogaczowi szynkę, wtłoczył do swego worka, a resztę wraz ze sztywnym już ciałem rysia złożył w rozwidlinie konarów pobliskiego drzewa i już śmielej, nie dbając o zachowanie ciszy, szedł na północ. Kilka razy spod jego nóg z łopotem skrzydeł

¹⁰¹moroszek, łac. *Rubus chamaemorsus* — dziko rosnący gatunek maliny o żółtawoczerwonych owocach, powszechny w Skandynawii, w północnej Rosji oraz na Alasce. [przypis edytorski]

¹⁰²oblepicha (ros. *облепиха*) — rokitnik pospolity (*Hippophae rhamnoides*), krzew o jadalnych, soczystych, kwaśnych owocach, bogatych w witaminę C. [przypis edytorski]

¹⁰³kniażeńnika (ros. *княженика*) — tekszła (*Rubus arcticus*), gatunek malin o brunatnoczerwonych owocach, występujący w pln. Azji, Europy i Ameryki. [przypis edytorski]

¹⁰⁴łyżki — myśliwska nazwa uszu łosi, jeleni i sarn. [przypis redakcyjny]

i przeraźliwymi krzykami wrywały się głuszce, cietrzewie i zuchwałę jarząbki, które natychmiast siadały na wysokiej gałęzi i z ciekawością przyglądały się człowiekowi.

Dobrze już po południu krajobraz zaczął się zmieniać. Znikły brzozy i świerki, a w rozłogach coraz wyższych pagórków kryły się ciemne gaje modrzewiowe, dalej zaś sosny, o złocistych i różowych pniach. Liliowe wrzosowisko, ciemna zieleń borówek okrywały zbocza pagórków. Coraz częściej z ziemi wyzierały ciemnoczerwone skały lub osypy piasku.

Wzgórza, jedno po drugim szły nieprzerwanym, coraz bardziej podnoszącym się nad równiną łańcuchem.

Północne ich zbocza i niższe uskoki przechodziły w płaszczyznę tundry, okrytą wrzosowiskiem, ciemną zielenią borówek, czarnych jagód, mchem i bladymi, puszystymi pędami żurawiny. Południową zaś stronę, ukrytą przed zimnymi wiatrami, zdobył w swe posiadanie dziewiczy bór, z sosen i świerków złożony.

Tam i sam z pluskiem mknęły potoki, skacząc po kamieniach, przewalając się piennymi kaskadami przez zwalone kłody drzew. Wiewiórki gziły się w gąszczu iglastych gałęzi świerków; z ziemi zrywały się stadka jarząbków i siadały na sękach sosnowych. W dołach, wybitych przez spadającą z wysoka wodę, pływały upstrzone cętkami pstrągi i srebrne chajruzy¹⁰⁵.

Wszystko to spostrzegł i dobrze zapamiętał sobie samotny człowiek.

Szedł brzegiem potoku, rozlewającego się coraz szerzej.

Rozumiał, że zbliża się do jego ujścia. Tak też było w rzeczywistości. Wkrótce wyszedł w dolinę rzeki, pędzącej szybko w kamiennym łożysku, przegrodzonym zwaliskami skał i strąconych przez wichry drzew. Wąskie, lecz głębokie pasmo wartkiej rzeczki wirowało, pienilo się i pluskało warkotliwie. Pod stromym spychem, na głębinię dojrzał duże ryby. Rozpoznał wśród nich tajemnie o czerwonych grzbietach i ogonach, mieniające się różnymi barwami pstrągi i srebrzyste, zwinne chajruzy.

W pobliżu krętego jaru spłoszył sarny pijące wodę, a trochę dalej, z wystającego z wody kamienia skoczyła do rzeki brunatna wydra.

Oczy Lisa miały iskry. Przekonywał się coraz bardziej, że Wotkuł powiedział prawdę; miejsce było istotnie bardzo piękne.

Rozejrzał się wokół bacznie, oglądając pnie sosen. Po pewnym czasie dostrzegł białą płamę na żółtym pniu. Była to zacieś, zrobiona snadź niedawno, bo złociste krople żywicy nie zdołały jeszcze stwardnieć w powietrzu. Kierując się według tych znaków, zwykłych dla podróżujących przez tajgę Sybiraków, Lis odnalazł ślad ogniska, przy którym spędził noc poszukujący go Wotkuł.

Samojed wybrał był dla swego obozowiska polanę, od północy osłoniętą zboczem wysokiego pagórka i ścianą świerków. Jedna strona polany dotykała wąwozu, którym wpadał do rzeki Ałgimu szeroki, głęboki potok, druga przechodziła w zarośniętą nikłym lasem kotlinę.

„Dobre miejsce na osiedle!” — pomyślał zesłaniec i jął rozważać, jak wypali, wytrzebi i wykarczuję gąszcz leśny, a w kotlinie zaorze duży szmat roli.

— Wszystkiego będziemy mieli tu pod dostatkiem! — mruczał, uśmiechając się sam do siebie. — Jagód tu bez liku; ryb, to chyba umyślnie ktoś powpuszczał je do Ałgimu i potoków! Wielki Boże! — westchnął dziękczynnie — niech imię Twoje rozstawione będzie po całej ziemi, od kresu do kresu! Jakżeż się ucieszy moja Julianka, gdy ujrzy te cuda!

Szybko zrzucił z siebie worek i wydobywszy z niego sieć, jął rozpalać ognisko. Gdy płomienie poczęły już lizać dno zawieszono nad nimi kociołka, zarzucił sieć na ramię i brzegiem potoku zbiegł ku rzecze.

Nie zdążyła jeszcze zagotować się woda, gdy Lis powrócił już, niosąc kilka trzepoczących się w sieci ryb. Naprędce oskrobawszy je i oczyściwszy, wrzucił do kociołka, a potem, wystrugawszy cienki patyk, zatknął na nim kawał sarniny i upiekł przy ognisku. Pokrzepiwszy się obficie, narąbał cienkich świerków i upłócił z nich schronisko dla siebie, coś na kształt niskiego szalasu, w którym miał spędzić noc nad brzegiem Ałgimu.

¹⁰⁵chajruz — syberyjski rodzaj pstrąga lub sigi. [przypis redakcyjny]

Śpieszył się, bo mrok już zapadł, a w głębi boru rozległy się basowe pokrzykiwania puchacza.

Znużony całodziennym marszem, szepcząc słowa modlitwy, wcisnął się do szałasu i usnął snem kamiennym.

Jakieś zmory nocne opadły go.

Coś przytoczyło mu pierś i ścisnęło za gardło. Nie mógł się poruszyć, obezwładniony zmęczeniem i snem. Nagle coś runęło na niego i uderzyło go w głowę. Chciał zerwać się, unieść uspione, ciężkie powieki, lecz nie mógł, bo ciężar ten jak kamień przygniótł go do ziemi. Wtedy dopiero oprzytomniał zupełnie. Szarpnął się potężnie, zrzucił z siebie jakąś czarną bryłę, wygramolił się spod rozwalonego szałasus i porwał za siekiere. Nieznana czarna postać, ledwie oświetlona przygasającym ogniskiem, leżała na wrzosowisku. Lis podniósł już był siekiere, aby zadać nieznanemu napastnikowi śmiertelny cios, lecz zatrzymał się nagle, gdyż posłyszał cichy jęk:

— Litości... Litości!...

Pochylił się i zgarnawszy ogłuszonego upadkiem człowieka, przywłókł go do ognia. Dorzucił suchych, smolnych gałęzi i znowu się pochylił, ze zdumieniem przyglądając się leżącemu.

Ten jednak, chociaż oczy miał otwarte, nie mógł mówić. Lis spostrzegł na czole nieznanego krew i domyślił się, że szamocąc się z nim przez sen, musiał uderzyć go głową o kamień.

Leżący człowiek miał dziwny i straszny wygląd.

Odpychające, cuchnące łachmany spadały z wychudłego, czarnego ciała. Przez dziury wyglądały okryte ropiejącymi ranami kolana. Znękana, obrośnięta rudymi kłakami, wylękła twarz krzywiła się przerażająco, usiłując wyrazić uśmiech. Na czole poprzez sączącą się krew widniał głęboki, ni to blizna po źle zagojonej ranie, znak; zniekształcony, o wyrwanych nozdrzach nos i owróżdzone, popękane wargi przejmowały zgrozą i wstrętem. W zaciśniętej dłoni człowiek ten trzymał kiścień — krótki kij z uwiązany na rzemyku kawałkiem żelaza. Lis, ujrawszy tę broń, domyślił się, kogo widzi przed sobą.

— Jesteś brodziąga¹⁰⁶, zbrodniarz, uciekający z katorgi? — spytał, patrząc groźnie na nędzarza.

Ten wyjąkał, szcękając zębami:

— Tak... zbiegłem z więzienia w Akatuju... Znęcano się w katordze nad aresztantami... Wypalono mi żelazem numer na czole... Szczypcami wyrwano nozdrza... bito... torturowano przykutego do taczki, bezbronno... chorego... Nie mogłem dłużej znieść takiej męki... zbiegłem... idę już pięć miesięcy... przedzieram się przez tajgę, omijając osady, aby nie wpaść w ręce policji... Żywię się jagodami, surowymi grzybami i korzeniami... Gonię resztkami sił...

Umilkł, z jękiem usiadł na ziemi i nagle szlochać zaczął straszliwie, głucho. Z zadartą, potworną głową i szeroko otwartymi ustami stał się przerażająco podobny do wilka i był jak wilk.

— Dlaczego napadliście mnie? — spytał Lis.

— Chciałem was zabić... bo jesteście kozakiem, strzegącym dróg leśnych... — mruzczał zbieg urywanym głosem.

— Nie jestem kozakiem!... Tu nie ma kozaków ani policji... — uspokoił go zesłaniec.

— Chwała ci, Boże! — westchnął zbieg. — Mogło się stać nieszczęście... Zabiłbym was kiścieniem... zabiłbym... tylko żelazo mi się zaplątało w gałęziach szałasus.

Milczeli, przyglądając się sobie bacznie, z ostrą ciekawością, co to aż do duszy się wdziera. Lis nic więcej nie mówił, wstał, wziął kociołek i schylił się po karabin.

— Nie ufacie mi? — szepnęła włóczęga.

— A dlaczegoż bym miał wam ufać od razu, bez powodu, gdy przed chwilą zamierzaliście rozłupać mi głowę niby garnek gliniany? — spytał Lis, wzruszając ramionami.

— Niby tak... — mruknął katorżnik. — Tylko...

— Dorzucicie drzewa do ognia — przerwał mu zesłaniec. — Pójdę po wodę i nakarmię was.

¹⁰⁶brodziąga (z ros. *бродяга*), pol. daw. *bradziąga* a. *brodiąga* — włóczęga. [przypis edytorski]

Odszedł, czując, że jakaś myśl uporczywa podnosi mu się z głębi duszy i żąda postanowień nagłych i ważnych.

Powróciwszy, w milczeniu warzył polewkę z sarniny, wysypawszy do niej garść kaszy gryczanej, i patrzył w ogień. Z kociołka z sykiem wyrывała się już wonna para. Spojrzał na nieznanego. W ciemności pały mu oczy, rozżarzone odbłyskiem ogniska, rozpaczliwym głodem i chciwością.

„Wilk... istny wilk!” — mignęła Lisowi myśl.

Poszperał w torbie i znalazłszy kawałek mydła, podał je zbiegowi ze słowami:

— Idźcie nad brzeg potoku! Obmyjcie głowę i ręce... albo wyszorujcie się cały! Zdążyć, zanim ugotuję polewkę!

Nieznanomy wstał i oddalił się w kierunku potoku. Długo nie powracał, a głośny plusk wody, sapanie i prychnanie, dobiegające uszu Lisa, świadczyły, że zbieg usłuchał jego rady.

Gdy powrócił, zesłaniec zdjął z kółka kociołek, postawił go na ziemi i tuż na kamieniu położył łyżkę drewnianą i dwa suchary.

— Posilcie się! — rzekł, nie patrząc na niezwykle gościa.

Ze zwierzęcym rykiem rzucił się na jadło zgłodniały człowiek...

Lis odszedł, aby mu nie przeszkadzać i nie nabrać wstrętu do tego zdziczałego, śmiertelnie głodnego nędzarza.

Rzucił nań okiem dopiero, gdy posłyszał gorący, namiętny szept zbiega.

Na twarzy Lisa odbiło się zdumienie.

Katorżnik, oświetlony czerwonym światłem ogniska, klęczał i żegnając się zamazyście raz po raz, schylał głowę do ziemi. Miał oczy zamknięte i szeptał modlitwę przez zaciśnięte usta. Skończył po chwili, a potem podczołgał się na kolanach do stojącego na uboczu Lisa i padł mu do nóg, wyrzucając słowo po słowie:

— Przebaczenie... przebaczenie! Jam nie wiedział, na kogo napadłem... Od rozumu z głodu odszedłem... Za poratowanie mnie niech Bóg pocieszy wasze serce! Niech Bóg...

Tulił głowę do nóg Lisa i okrywał je pocałunkami, powtarzając zdyszonym głosem:

— Bóg!... Bóg!... Bóg!...

Z trudem uspokoił go zesłaniec, po czym kazał mu zdjąć ubranie i nałożyć czystą bieliznę, którą wydobyl ze swego worka.

— Jutro pomyślimy o reszcie... — rzekł do zbiega, słuchając jego głośniego szlochu.

— Nie odganiacie mnie... grzesznego? — zapytał wreszcie, podnosząc na Lisa zapłakaną oczy.

— Nie! — odpowiedział Polak. — Uczynicie z sobą, co postanowicie sami...

— Będę psem, niewolnikiem waszym! — wybuchnął zbieg. — Każdemu gardło wa was przegryzę! Nazywam się...

— Czekać! — przerwał mu Lis. — Nie chcę nic wiedzieć o was! To rzecz wasza, waszego sumienia i Boga, który wszystko widzi... Będę wołał na was Wilk, bo macie ślepią i kły kubek w kubek jak ten wilk!

Zaśmiał się nagle wesoło i dodał:

— Chociaż naprawdę z tymi to strasznymi kudłami, brodą po pas i zarośniętą gębą przypominacie mi raczej niedźwiedzia. Ba, on by się was uląkł, boście straszliwie kosmaty... Wilku!

— Dajcie nóż, to ja w mig włosy poucinam! — zawołał zbieg.

— Do jutra poczekamy... — kiwnął głową Lis.

— Nie ufacie?

— Nie o to chodzi! — uśmiechnął się Lis. — Ino boję się, że po ciemku łeb sobie utniecie. Połóżcie się przy ognisku i prześpijcie, bo już niebawem świtać zacznie!

Wilk nie przeczył już i zwinął się na trawie przy ognisku. Zesłaniec rzucił mu wojłkowy koc, którym włóczęga owinał się natychmiast.

Usnął w jednej chwili, a Lis usiadł naprzeciwko i zamyślił się.

— Ha! — mruknął do siebie. — Jak widzę, po ziemi chodzą stokroć nieszczęśliwsi ode mnie. Takie to zagnane, zbiedzone, na śmierć wylękłe chłopisko!

Spojrzał na skuloną postać śpiącego katorżnika i uśmiechnął się dobrotliwie i rzewnie. Zapomniał już, że tak niedawno człowiek ten zamierzał go zabić. Dusza polskiego zesłańca zrozumiała ogrom męki zbiega i wszystko mu przebaczyła na zawsze.

Lis nie mógł spać tej nocy, więc nim słońce się wynurzyło spoza boru, ułożył plan dalszej pracy. Obudzwszy przybysza, kazał mu rozpaść ognisko i zagotować herbatę. Po rannym posiłku zesłaniec wydobył z worka zapasowe spodnie zamszowe, ciepłą kurtkę, krótkie trzewiki wyrobu samojedzkiego i oddał nowemu towarzyszowi.

— A te swoje łachmany spalcie! — rzekł. — Tak mi się widzi, że mieszka w nich więcej wszy niż ludzi w dużym mieście!

Ujrawszy roześmianą twarz przebranego już Wilka, zwrócił się do niego poważnie:

— Podzielimy pomiędzy sobą herbatę, sól, cukier i żywność, abyście mieli na dalszą drogę...

Zbieg zbladł i krzyknawszy przeraźliwie, padł do nóg Lisa.

— Nie każcie mi odchodzić! — wołał z rozpaczą. — Pozwólcie pozostać przy sobie!

Polakowi oczy błysnęły radośnie. Odparł natychmiast:

— Zostańcie, jeżeli taka jest wasza wola...

Wilk ze wzruszenia nie mógł wydobyć głosu, więc tylko czepiał się swego dobroczyńcy i całował go po nogach i rękach.

— No, wstańcie już! — rzekł zesłaniec. — Musimy powracać do mego szałas, Wilku!

— Nazywajcie mnie Romanem... — cichym głosem poprosił katorżnik.

— Niech i tak będzie! — zgodził się pan Władysław. — Pakujmy tedy rzeczy, Romanie.

Podzielili wszystko na dwa tłumoki i ruszyli przez knieje ku polanie, gdzie uriadnik Leszczenko pozostawił na męki samotności polskiego zesłańca.

Przedzierali się długo przez bagnistą tajgę, aż Lis dojrzał na błocie ślady bosych nóg, widziane już przedtem.

— Niebawem już dojdziemy — rzekł cichym głosem.

Istotnie tajga stawała się coraz rzadsza i wkrótce wędrowcy wynurzyli się na polanę. Lis spojrzał w stronę szałas i wydał cichy okrzyk.

Pod ścianą czumu siedziała jakaś ciemna postać, co chwila pochylając się i prostując.

Szli przez cały dzień i teraz w zapadającym mroku nie mogli dojrzeć dokładnie tego, co ktoś majstrował przy szałasie.

— Skąd by się tu wziął człowiek? — szeptem zapytał zesłaniec. — Na takim pustkowiu? Z dala od drogi?

Roman nic nie odpowiedział. Przykucnął na ziemi, aby mu nie przeszkadzały resztki światła, odrzucanego przez blade niebo, i wpatrywał się w tajemniczego gościa.

— Panie! — szepnął wkrótce. — Panie! To niedźwiedź! Wyłamał on żerdzie z szałas i coś tam szarpie...

Podczołgali się bliżej, kryjąc się poza krzakami. Niedźwiedź jednak, czy to posłyszał szelest trawy, czy też zwęszył ludzi, od razu stanął na tylnych łapach i ryknął groźnie. Lis wziął go na cel i strzelił. W niepewnym świetle zmierzchu chybił jednak. Nie miał czasu nabić karabina, gdyż niedźwiedź runął na niego.

Zesłaniec sięgnął po nóż, lecz rękojeść jego zaplątała mu się w zwojach pasa. Zwierz dopadł już człowieka i w strasliwym zamachu wznosił nad nim potężne łapy. W tej samej chwili coś chrzęstnęło, gwizdnęło w powietrzu i spadło na kudłaty łeb, rozwalając czaszkę. Niedźwiedź runął na wznak, a Roman dopóty bił go kiścieniem, aż ustały drgawki i zwierz zeszywniał.

— Dziękuję wam Romanie! — zawołał Lis.

Ten milczał, radośnie się uśmiechając. Wreszcie podbiegł do szałas i krzyknął:

— Patrzcie no, panie! Czaldon wyciągnął wam z szałas jukolę i pożarł ją!

Obejrzeni wnętrze czumu. Kosmaty rabuś na szczęście natrafił od razu na suszone ryby i rozpoczął ucztę, nie tknąwszy nic innego.

Wypocząwszy dzień jeden i spakowawszy cały dobytek, tak aby go można było rozłożyć na dwu ludzi, wyruszyli na Algim.

Przechodząc przez moczary, Lis mruknął do siebie:

— Ach, tak? Te ślady bosych nóg! Teraz już wiem, że to niedźwiedź tędy przechodził!

Niosąc bardzo ciężkie tłumoki, wędrowcy w ciągu dnia nie mogli dotrzeć do sosnowego boru. Spędzili więc noc w tajdze i dopiero nazajutrz dobrze po południu doszli do polany nad Algimem.

Niebezpieczeństwo

Lis opowiedział Romanowi o swoim życiu i zakończył tymi słowami:

— A teraz, przyjacielu, mam zamiar założyć tu nowe osiedle!

Zbieg uśmiechnął się i odparł wesołym głosem:

— To widzę, że w porę przyszedłem do was, panie! Jestem drwalem, cieślą, w domu trudniłem się u swego pana tym rzemiosłem. Umieję też piec stawiać, ponieważ nauczono mnie tego w więzieniu... ba! przesiedziałem już w nim dziesięć lat... dziesięć lat!

— No, więzienie pozostało już poza wami! — zawołał Lis. — Od jutra obaj staniemy do pracy.

Tak też i uczynili. Po tygodniu mieli już gotowy budulec, a więc belki, deski, a nawet płaszki — krótkie łupanki z pni, zastępujące gonty¹⁰⁷.

Gdy w oznaczony dzień przybył Wotkuł, a z nim Ganga i piętnastu Samojedów, na polance, wsparty na kamiennym fundamencie, wznosił się zrab, do połowy już wykonany.

Lis witał przyjaciół, którzy ze zdumieniem oglądali nowego przybysza i wypytywali go, skąd przyszedł do tajgi na Czin-War. Ten mrużył oczy i odpowiadał:

— Spadłem wprost z nieba, bo mi się noga podwinęła, zawadziwszy o obłoki!

Lis odprowadził Wotkuła na stronę i z drżeniem w głosie zapytał:

— Co powiesz mi o żonie?...

Samojed spuścił oczy, a usta mu drgnęły.

— Opowiem o wszystkim, gdy Garas nadąży za nami... — odpowiedział cicho, jeszcze niżej opuszczając głowę.

Lis zbladł.

Niepokój, który przez cały ten czas tłumił w sobie, wybuchnął ze straszliwą siłą.

Zesłaniec skoczył ku Wotkułowi, porwał go za ramię i wstrząsnął nim, pytając syczącym głosem, w którym było błaganie i groźba:

— Natychmiast mi odpowiedz, natychmiast!

Samojed przyjrzał mu się bacznie i spostrzegłszy rozpacz na twarzy przyjaciela, odparł pośpiesznie:

— Uspokój się, sprawiedliwy! Biała niewiasta zdrowa jest i wkrótce tu przybędzie.

Lisowi na tę wieść podcięto nogi. Nagła rozpacz wyczerpała go. Pot okrył mu czoło. Bezsilny usiadł na sterczącym z ziemi pnium i przymknął oczy.

Siedział długo nieruchomy, ciężko oddychając. Półświadomie słyszał nawoływania z lasu, widział Gangę, zbiegającego z pagórka i wymachującego rękami.

Z trudem podniósł oczy i długo wpatrywał się przed siebie.

Z boru wylaniały się jeden za drugim idące renifery. Przed nimi, podpierając się sękatym kijem, kroczył roześmiany, kulawy Garas. Coraz więcej reniferów i prowadzących je Samojedów wynurzało się z lasu. Wreszcie na ostatnim, za którym szli Michał Rodionow z synem, Lis ujrzał kobietę na koniu, prowadzącą za sobą krowę. Od razu zrozumiał wszystko i już biegł, czując, że serce mu wali jak młotem i że brakuje mu tchu w piersiach. Dopadł wreszcie i porwał w objęcia swoją Juliankę, całował ją po rękach, oczach i ustach, powtarzając zdyszonym głosem:

— Słoneczko!... Słoneczko moje!... Powróciło... Powróciło!

Ona zaś odpowiadała mu przez łzy radości:

— Wyrobiłam sobie pozwolenie na pozostanie z tobą, Władeczku... Już nigdy, nigdy się nie rozstaniemy! Biedaku mój, chłopaku kochany!

Widząc jego wzruszenie, starała się uspokoić go, więc opowiadała mu o swej podróży do Tomsku, o widzeniu się z nowym gubernatorem i o uzyskaniu od niego pozwolenia na przebywanie przy mężu przez cały czas zesłania. Potem mówiła o dobroci mieszkańców Narymu, którzy nabyli od nich dom i pole i dali renifery do przewiezienia całej majątności.

— Wywiozłam wszystko, wszystko, do ostatniej garsteczki mąki! — zakończyła swe opowiadanie.

Kulawy Garas kręcił się w pobliżu i śmiał się głupkowato.

¹⁰⁷ *gont* — odpowiednio uformowana deseczka z drewna iglastego służąca do krycia dachu. [przypis edytorski]

— Ach! — zawołała pani Lisowa. — Zapomniałam ci powiedzieć, że nasz robotnik nie chciał pozostać w Narymie i poszedł za mną, aż musiałam przyrzec mu, że weźmiemy go do siebie... Pocziwa to dusza!

I powtórzyło się znowu to, co już raz się stało w Narymie.

Rodionow dowodził Samojedami, którzy przy pomocy wprawnego Romana szybko zakończyli budowę chaty, obory i przestronnej kleci z piwnicą. Roman urządził cegielnię w zboczu stromego brzegu, a Samojedzi narobili cegieł z gliny. Po paru dniach murowano już piece i kominy w nowej chacie, a gliną zamazywano szczeliny w ścianach, chociaż były one starannie zatkanie mchem.

Wolkuł nie brał udziału w budowie nowej zaimki¹⁰⁸ nad Ałgimem. Nazajutrz bowiem po przybyciu zniknął z obozowiska. Powrócił po kilku dniach i przywiódł ze sobą trzech Samojedów.

Usiedli wszyscy przed zesłańcami i rozpoczęli narady.

Byli to tymsko-karakońscy Samojedzi, koczujący na tundrze, gdzie paśli duże stada reniferów, jedyną swoją majątność.

Namówieni przez Wotkuła oznajmili Lisom, że jedno ze swych zimowych koczowisk założą na przeciwległym brzegu rzeki, będą odwiedzali zesłańców, a w razie potrzeby pomagali im. Prosilili natomiast, aby „sprawiedliwi ludzie” uczyli ich młodzież i leczyli chorych.

Partia mieszkańców narymskich, skończywszy budowę osiedla, pożegnała Polaków i odjechała. Ostatni odchodził Wotkuł.

Długo bił pokłony, zwrócony twarzą ku wschodowi, i błagał Wielkiego Ducha o opiekę nad przyjaciółmi. Wreszcie powstał z klęczek i oznajmił, że wraz z towarzyszami w zimie przybędzie do Lisów na łowy. Jeszcze raz uściśnił ręce zesłańcom i skinąwszy ręką Garsie i Romanowi, zniknął w borze.

Lisowie zaczęli oporządzać swoją nową siedzibę, w czym dopomagał im Garsa. Pracowity, milczący Roman, nie zwlekając, jął rąbać młody las w kotlinie, przygotowując drzewo na opał, a później puścił syberyjskim zwyczajem pał, czyli pożar leśny. Zamierzał w ten sposób wytrzebić roślinność na dnie kotliny, bo wiedział, że ma tu być założone pole i ogród. Pracował tak zawzięcie, że aż Lis musiał go hamować, obawiając się, że mrukliwy zbieg zachoruje z wyczerpania.

Posłyszawszy o tych obawach gospodarza, Garsa parsknął śmiechem i zawołał:

— On już jest chory, bo mu brzuch rośnie i gęba pokraśniała...

— A tobie, nicponiu? — spytała pani Julianna.

— A mnie też, a mnie też! — przekomarzał się parobek, rechocąc zabawnie.

ROZDZIAŁ XI. W OSADZIE NA AŁGIMIE

Gdyby ktokolwiek zajrzał do osady Lisów, nie uwierzyłby na pewno, iż mieszka tu rodzina zesłańców skazanych na niechybną śmierć. Panowała tu niczym niezamglona pogoda ducha. Czworo ludzi, rzuconych przez los na skraj tajgi północnej, za którą rozwieliżniła się prawie naga tundra, ojczyzna wichrów mroźnych, nie czuło nigdy nudy, rozpacz i bezwładu myśli.

Mieli oni skuteczne leki na te męki samotności. Były nimi czyste sumienie, chrześcijańska ofiarność i praca.

Przy nowej chacie coraz częściej teraz stawały rogate renifery, bo Samojedzi niemal codziennie przybywali do lekarki, a pani Lisowa nigdy nie odmawiała im pomocy. Wypytawszy za pośrednictwem Garsy o rodzaj choroby, układała w skórzaną torbę swoją apteczkę, wsiadała na osiodłanego renifera i jechała do dalekich koczowisk, a z nią nieodstępny towarzysz, obrońca i sługa, głupkowaty, roześmiany parobek kulawy. Bez niego nigdzie się nie ruszała żona zesłańca. Zresztą nie mogłaby nawet uniknąć jego towarzystwa, Garsa bowiem kręcił się przy niej jak wierny pies i nie odstępował jej nigdy.

Pan Władysław z milczącym zawsze Romanem pracował w dolinie. Las dawno już zniknął pod toporami silnych drwali i w płomieniach leśnego pożaru. Teraz okopywano okopcone pnie i wypalano je do korzeni, a wyrrywano i rąbano tak szybko, że karczowanie dobiegało już końca.

¹⁰⁸zaimka — mały folwark, zagroda pojedynczej rodziny syberyjskiej. [przypis redakcyjny]

Pracujący nad Ałgimem ludzie nie tracili ani jednej wolnej chwili, byle tylko ulepszyć powstające gospodarstwo.

Czasową lekką kłecę przerobili na spichrz i spiżarnię, nadbudowując na niej przewiewny strych dla przechowania suszonych i wędzonych zapasów żywności; na głębokim potoku zbudowali dużą, opatrzoną w otwory skrzynię, w której umieszczono żywe ryby schwytane w sieci; otoczono nowe osiedle wysoką, mocną zagrodą z płach¹⁰⁹ i żerdzi świerkowych; postawiono ciepły kurnik, a w rogu dziedzińca ułożono okrągły stos porąbanego drzewa i stóg siana. Roman po nocach nawet, przy świetle lampki, w której palił się lój, zawsze coś majstrował, to robiąc mocne skrzynie na solone ryby i kadzie z klepek brzoźowych, to znów żłobił koryta, aż wreszcie z pnia cedrowego wypalił czółno.

Pewnego razu, gdy wszyscy siedzieli już przy stole w oczekiwaniu wieczornej stawy, posłyszano szczekanie psa.

— Zapewne znowu ktoś z Samojedów zachorował i posyła po mnie — rzekła pani Julianna, podchodząc do drzwi.

W tej chwili rozległo się skrzypienie stopni na ganku i do sieni wszedł Wotkuł. Miał stroskaną twarz i ponure oczy.

Za nim wślizgnęła się do izby mała kosmata łajka o rudych kłakach i natychmiast umknęła pod ławkę.

— Niech Wielki Numa... — rozpoczął łowiec zwykle pozdrowienie, lecz urwał nagle i rzucił się do nóg pani Juliannie, wołając: — Ratuj nas!... ratuj!... Moja żona Bigit i Dunia Rodionowa umierają... Ratuj!... ratuj nas!... Może już za późno... bo już dziś trzeci dzień mija, jakem opuścił Narym... Nie mogłem prędzej dojechać... bo jeden renifer... ze znużenia padł mi nad Usakirem...

Pani Lisowa, usadowiwszy zrozpaczonego przyjaciela, szybko podała wieszak.

Po herbacie dopiero jęła się wypytywać Samojedą o objawy choroby żony jego i córki Rodionowa, czarnookiej, cichej Duni. Wkrótce, gdy inni już spać się pokładli, żona zesłańca zasiadła do wertowania książek medycznych, a potem krzątała się koło szafy z lekami, układając je do torby. Wyraz niepokoju coraz wyraźniej malował się na jej bladej twarzy, a zmarszczka troski i głębokiego namysłu przecięła pogodne czoło młodej kobiety.

O świcie pani Julianna była już gotowa do dalekiej drogi przez tajgę. Wotkuł, wyszedłszy z chaty, obejrzał się za Lisem i rzekł do niego:

— Widziałeś tego rudego pieska? Jest to syn mojej łajki Wyr, najlepszej w całej tajdze. Ten szczeniak zna już swoją nazwę, Urr, a widziałem go w kniei. Młody jest jeszcze i gorący, lecz mądry, a wąż posiada ostrzejszy nawet od mego psa! Przywiodłem go dla ciebie. W tajdze nie obejdiesz się bez dobrego psa...

Lis dziękował przyjacielowi za istotnie piękny i pożyteczny dar i żegnał żonę, która wsiadała już na małego narymskiego konika. Po chwili karawana ruszyła. Na czele jechał Wotkuł na starym, o rozłożystych rogach reniferze, prowadząc na rzemieniu drugiego, zapasowego. Za panią Lisową człapał też na reniferze, szczerząc zęby w uśmiechu, nieodstępny Garsa.

Lis stał i patrzył smutnym wzrokiem na odjeżdżających, a nawet milczący Roman wzdychał żałośnie. Jak gdyby potęgując gorycz pożegnania, skądś z wysoka dobiegł jękliwy, trwożny klekot żurawi. Prawie niewidzialny, pod szarymi chmurami pędzącymi wysoko, łamanym co chwila szykiem leciał klucz tych wędrownych ptaków przelotnych i nawoływał się smętnym kieraniem.

— Łada dzień będziemy mieli zimę — mruknął katorżnik. — Żurawie, te ostatnie, najsłabsze już, odlatują.

Roman zgadł, bo coś na piąty dzień po odjeździe pani Julianny zaszumił, zagwizdał, zawył wicher porywczy, zakręcił śnieżnym tumanem i okrył ziemię białym płaszczem. Natychmiast uderzył mróz, a słońce, ukazujące się na krótko, zapaliło na śniegu wielobarwne iskry.

Przyszła zima.

Pierwsza zima na odludnym Czin-Warze.

¹⁰⁹ *placha* (daw.) — połowa rozszerepionego kłoca; gruba nieociosana deska. [przypis edytorski]

Jednocześnie z nią przybyło nad Ałgim i założyło tam swe obozowisko kilka rodzin samojedzkich ze stadami.

Roman całymi dniami krzątał się wokoło domu. Sprawdzał piece, zatykał każdą wykrytą szczelinę, zaopatrywał okna, wkładając między ramy mech, szczelniej zbijał deski w drzwiach i otulał je od wewnątrz skórami upolowanych przez Lisa jeleni i saren, wreszcie zbudował budę dla Urra, który mimo że był ponury i nieufny, prędko się przyzwyczaił do nowej siedziby.

Lis, korzystając z wolnego od pracy czasu, postanowił nauczyć się jeździć na nartach, ponieważ było to niezbędne do zimowego polowania, chciał też dobrze poznać psa i wprawić się do wspólnych z nim łowów.

Śnieg skrzył się tak jaskrawo, że zesłaniec musiał mrużyć oczy. Spod białej powłoki tam i sam wyglądały do kropli krwi podobne jagody żurawiny, borówek i kniażeniki. W takich miejscach Lis spostrzegał zwykle wykopane dolki i liczne ślady. Gdy wreszcie ujrzał zrywające się pardwy, zrozumiał, że to północne, białe kuropatwy wygrzebują dla siebie spod śniegu pożywienie.

Inne, a coraz liczniejsze ślady bieżyły też poprzez białą płaszczyznę tundry, chociaż wydawała się pustynna i martwa. Nic jednak dojrzeć nie mógł nienawykły do syberyjskich łowów myśliwy.

Wtedy to uczyć go zaczął tej sztuki rudy, kudłaty Urr.

Mijali właśnie zarośla brzozy polarnej, nędznej, karłowatej, płaszczącej się tuż przy ziemi. Pies nagle przystanął, podniósł głowę i najeżył sierść na karku. Małe ostre uszka drgały mu, chrapy rozdymały się i węszyły.

Lis postąpił kilka kroków ku niemu, trzymając w pogotowiu strzelbę. Urr natychmiast podczołgał się do swego pana, zapiszczał cieniutko i szarpnął go z lekka za nogę, jak gdyby chcąc zatrzymać na miejscu.

Lis stanął jak wryty.

Piesek porozumiewawczo merdnął ogonem i jął skradać się ku chaszczom. Po chwili podpełznął do nich i położył się na ich skraju. Poruszał z wolną głową na wszystkie strony, węsząc i nasłuchując.

Widać, że w mig zrozumiał wszystko, bo bez szmeru powrócił do myśliwego i szarpnąwszy go, znowu pobiegł naprzód, oglądając się raz po raz. Lis szedł za nim, z zachwytem patrząc na mądre zwierzę. Piesek doprowadził go do miejsca, gdzie z chaszczy brzeziny wybiegała szeroka ścieżka. Węszył tu długo, opuściwszy ogon, aż wreszcie zaskowitył cicho, znowu szarpnął myśliwego, wbijając w niego surowe ślepie, po czym nie oglądając się, pobiegł na lewo.

Człowiek zrozumiał, że pies pozostawił go tu na czatach, więc postąpiwszy kilka kroków, ukrył się za krzakiem i podniósł kurek karabina. Z bijącym sercem wpatrywał się w powikłaną sieć nagich prętów z poruszającymi się tu i ówdzie żółtymi liśćmi.

Nie widział już teraz Urra.

Minęło kilka długich minut oczekiwania, gdy nagle przed nim z przeciwnego końca zarośli rozległo się jedno jedyne basowe szcęknięcie pieska. Prawie w tej samej chwili myśliwy posłyszał lekki trzask w krzakach i na ścieżkę wybiegły jeden po drugim trzy wilki.

Jeden z nich szary, prawie biały, przystanął nagle, aby rozejrzeć się po tundrze, lecz w tej chwili buchnął strzał i wilk, ugodzony w pierś tuż pod szyją, padł, rozrzucając śnieg i brocząc krwią. Inne pierzchyły do chaszczy.

Nie zdążył myśliwy nabić ponownie strzelby, gdy nadbiegł Urr.

Pytająco spoglądał na pana, a gdy ten skinął ręką, wskazując na leżącą zdobycz, podbiegł ku niej truchtem, powęszył, liznął krew na śniegu i powrócił.

Teraz znowu przyglądał się człowiekowi bacznie i natarczywie.

Pan Władysław schylił się i pogłaskał go po grzbiecie.

Piesek pisnął cieniutko i merdnął puszystą kitą. Lis wtedy wyraźnie zrozumiał, że podczas tego polowania on i pies wzajemnie się poznali i obaj byli z siebie zadowoleni.

Bieg na nartach samojedzkich, okrągłych, krótkich, o oparciu z żył i podszyciu z jeleniego futra, co pozwalało posuwać się po miękkim nawet śniegu i na zarośniętym terenie, coraz lepiej udawał się Lisowi.

Polowanie

Chodził na polowanie codziennie, z czego niezmiernie cieszył się Urr, trzymany w domu na uwięzi, ponieważ obawiano się, że może zbiec i powrócić do Wotkuła.

Pies nauczył swego pana wypatrywać białe pardwy i gronostaje na śniegu, gdzie widniał tylko czarny koniec drgającego ogonka małego drapieżnika, szukać płowych łasic, ukrytych w kupkach opadłych, brunatnych liści, i zacząć się przy ścieżkach wydeptanych przez lisy, żerujące w zaroślach lub kluczące po tundrze.

Pan Władysław nie strzelał do drobnych drapieżników, bo wiedział, że łowcy chwytają je w potrzaski, aby nie niszczyć drogich skórek, lecz zdobył sporo wilków, lisów i białych zajęcy, nagnanych na niego przez sprytnego Urra.

Z tych futer cieszył się najwięcej Roman. Całymi nocami ślęczał nad nimi, zgarniając z nich tłuszcz i resztki mięsa, myjąc i miętosząc, aby nabrały miękkości; wtedy uszył z nich duży kobierzec i okrył nim główną izbę chaty.

— Teraz nasza pani nie będzie czuła zimna w nóżki... — mruczał, a oczy spod krzaczastych brwi świeciły mu radością.

Na tundrze Lis spotykał czasem pastuchów samojedzkich strzegących stad.

Renifery chodziły wolno i ostrymi racicami wygrzebywały spod śniegu mech i trawę. Czarne, białe i pstrokate łajki, złe i czujne, uwijały się wokół i naszczekiwały.

Niezliczone zgraje wilków czaiły się na śnieżnej równinie i czyhały na pojedyncze renifery, gdy odbiwszy się od stada, wędrowały zbyt daleko w poszukiwaniu paszy. Toteż psy pasterskie czuwały nad bezpieczeństwem stada, zawracały nieostrożne jelenie północne, odpędzały skradające się wilki. Nieraz chwytają czworonożnego bandytę w biegu i trzymały go, aż dopóki nie nadbiegli pastuchy i nie zabili go oszczepem, nożem albo strzałą z łuku.

Podczas swoich wypraw myśliwskich Lis nieraz napotykał mogiły samojedzkie.

Dziwne to były groby!

Nieboszczyka wraz z pozostałym po nim ubraniem, łukiem i złamanym nożem składano zwykle w zrębie z belek modrzewiowych i przywalano pokrywą jego kamieniami. Na takiej trumnie stawiano przewrócony do góry dnem dziurawy kocioł, a obok sanie z uwiązany do nich ciężkim dzwonkiem. Po pogrzebie krewni i przyjaciele, odprowadzający nieboszczyka do miejsca ostatniego spoczynku, odjeżdżali, nie oglądając się poza siebie, na pewnej zaś odległości od mogiły wtykali w śnieg lub w ziemię dwa skrzyżowane pręty, mrużąc przy tym:

— To jest nasza droga, a ta twoja! Krocź już teraz swoją drogą!

Jeżeli wypada przejeżdżać koło grobu zmarłego, Samojedzi zatrzymują się, zabijają młodego jelenia i uczują. Powiesiwszy na grobie czaszkę renifera z rogami, uderzają w dzwonek i mówią chórem:

— Słyszysz, nieboszczyku? Uczciliśmy godnie twoją pamięć!

Przy mogiłach samojedzkich rozrzuconych po tundrze pan Władysław upolował sporo wilków i lisów, które uczęszczały tu chętnie, usiłując dostać się do ciała zmarłego człowieka, przegryźć otaczające trumnę rzemienie i zrzucić ciężką pokrywą.

Powracając z dalekich wycieczek, pan Władysław zaczynał zawsze od odwiedzin koczowiska sąsiadów.

Samojedzi przyjmowali go uprzejmie i gościnnie. Leniwy to jest szczep, lekkomyślny i lubujący się w ucztach i zabawach. Radzi więc są każdej sposobności urządzenia sutego przyjęcia. Toteż gdy zjawiał się wśród nich zesłaniec, natychmiast schodzili się wszyscy koczownicy i zarzynali jelenia, kobiety zaś zaczynały warzyć kocioł. Posiekanego jelenia, wraz z wątrową, sercem, śledzioną i nerkami, gotowano długo w dużym, szczelnie zamkniętym kotle do czasu, aż pozostawało w nim mało płynu, a mięso miękło tak, że można je było jeść bez pomocy noża. Głowę wraz ze skórą i rogami pieczono osobno na węglach, po czym najsędziwszy Samojed podawał ten najlepszy przysmak gościowi, który raczył się mózgiem i ozorem.

Lis, spostrzegłszy rozrzutność sąsiadów, od tego czasu omijał koczowisko, aby nie narażać tuziemców na wydatki. Podczas uczt bowiem przekonał się o jednej jeszcze przykrej okoliczności. Samojedzi, jak się okazało, skłonni byli do pijaństwa. Sprzedając kupcom rosyjskim skóry i mięso, kupowali zawsze wódkę, którą raczyli się chętnie. Poza tym mieli własne sposoby wyrobu napojów mocnych, oszalamiających, a nawet trujących. Przyrzę-

Grób, Syberia

Gość, Uczta

Pijaństwo

dzali je z dzikich jagód zbieranych w tundrze, a dla mocy dodawali jeszcze pewnych ziół, powodujących podniecenie i utratę przytomności.

Zesłaniec wiedział już od Wotkuła i Pyragi, jaką klęskę szerzy pijaństwo wśród ciemnych, półdzikich koczowników.

Alkohol stawał się nieraz przyczyną krwawych porachunków i zbrodni. Otumanieni wódką Samojedzi ciężko chorowali i umierali, zamarzając w swoich czumach.

Było to zjawisko nader smutne, bo ilość Samojedów topniała z każdym rokiem, a panujące wśród nich epidemie, z którymi nie mógł walczyć osłabiony z powodu pijaństwa organizm tuziemców, zagrażały zupełnym wymarciem tego północnego szczepu.

Lis postanowił wypowiedzieć bezwzględny wojnę temu straszliwemu nałogowi. Czekał więc z niecierpliwością i upragnieniem powrotu żony, aby rozpocząć krzewienie oświaty i świadomości wśród tych biedaków, rzuconych surową ręką losu na obszary, gdzie srożyła się i szalała śmierć.

Miała mu w tym pomóc pani Julianna.

Podczas jednej z wypraw myśliwskich, gdy Lis zapuścił się był aż na tundrę Dużej Bałki, gdzie z licznych jeziorok wypływały potoki, wpadające do Keci, powróciła pani Julianna do osady nad Ałgimem.

Przywiózł ją Michał Rodionow na nartach zaprzężonych w cztery renifery pojazdowe. Za nimi jechały inne, powożone przez Sienkę, a naładowane ciężką skrzynią, którą dostarczyła poczta do Narymu dla Lisów, gdyż nie pisali oni do rodziców o zmianie w swoim życiu, nie chcąc niepokoić i zasmucać stroskanych staruszków. Na końcu, śmiejąc się na głos, trząsł się na siodle kulawy Garsa, popędzając kosmatego narymczaka i prowadząc na rzemieniu renifera Lisów.

W dwa dni po przyjeździe żony powrócił pan Władysław.

Zjawił się oszroniony od stóp do głów, zasypany śniegiem, o twarzy szerniejącej od wiatru, mrozu i dymu ogniska. W podbitej jelenią skórą kurtce malci, w futrzanych pime i kisach, wciągniętych na uszyte ze skórek zajęczych czyże¹¹⁰, pan Władysław miał na sobie jeszcze luźny kozuch sok na lisach, ściągnięty mocnym pasem „ni”, ozdobionym mosiężnymi blachami. Tak ubrany, w nasuniętym na czoło kołpaku nesowo, mógł śmiało ujść za rodowitego łowca samojedzkiego.

Różnił się jednak od tuziemców niezwykle rozrosłą, barczystą postacią, która w tym szerokim wygodnym stroju myśliwskim wydać się mogła potworna. Niby duża ośnieżona bryła wtoczył się do izby i padł do nóg żony. Długo nie mógł przemówić słowa, uszczęśliwiony i wzruszony ponad siły.

Z trudem uspokoił się, w pośpiechu zrzucił z siebie worek i zdjął wierzchnie ubranie i malcię. Pozostawszy w krótkiej skórzanej bluzie, odwiązał worek i jął wyjmować z niego zdobycz, powtarzając:

— To dla mego słoneczka... to dla mego kochania... to dla mojej Julianki niebożątka!

Pani Julianna klaskała w dłonie na widok rzucanych jej pod nogi skórek białych lisów i tchórzów.

Rozradowany bezzmiernie pan Władysław sięgnął wreszcie do worka po raz ostatni i zawołał:

— To dla mojej królowej świetlanej!

Z tymi słowy podał jej piękną, niezwykle dużą i puszystą skórę, niemal zupełnie czarnego zwierza.

— Cóż to za przepiękne futro! — zawołała zachwycona pani Julianna, pieszcząc dłonią długą, puszystą sierść.

— To rozumiem! — wykrzyknął Rodionow. — Upolowaliście najpiękniejszy okaz czarnego lisa... Drogo możecie go sprzedać!

— Już sprzedałem go najdrożej! — odparł ze śmiechem zesłaniec, całując żonę po rozradowanych oczach.

Pan Władysław jął teraz witać Rodionowych, Garsę i Romana.

— Jakbym przeczuł twój powrót, luba moja! — rzekł po chwili. — Zbrakło mi herbaty, lecz natrafiłem na moroszkę i uzbierałem sporo suchych liści tej samojedzkiej herbaty. Mógłbym wytrzymać od biedy jeszcze tydzień na tundrze, tym bardziej że Urr wytropił

¹¹⁰czyże — pończochy skórzane, noszone przez północnych koczowników. [przypis redakcyjny]

jeszcze kilka białych lisów, lecz jakieś przecucie ciągnęło mnie do domu... Daleko byłem... szedłem podług gwiazd i potoków... Pełnię mamy, więc nocami też biegłem... do ciebie, do Julianki mojej lubej!

Przy progu stał okryty soplami lodu rudy Urr i kręcąc kosmatym łebkiem, z podziwem przyglądał się zebranym w izbie ludziom. Po namyśle podszedł do pani Julianny, podniósł głowę i cicho pisnął. Gdy pogłaskała go po mokrych kudłach, włożył pod ławkę i jął wrywać z sierści lód i wylizywać sobie łapy, wdychając i sapiąc.

— Chodź tu, Urr! — mruknął Roman. — Odprowadzę cię do budy.

— Zostawcie go tu — odezwał się Lis — już on teraz ode mnie nie zbiegnie...

W przyjaźni żyjemy ze sobą...

Z pod ławy dobiegło ciche skomlenie Urra.

W godzinę potem wszyscy zasiedli do stołu.

Pani Julianna opowiedziała mężowi, w jakim oplakany stanie znalazła biedaczkę Dunię i pocziwą Wotkułową.

— Myślę, że był to dur brzuszny — mówiła. — Na szczęście od razu domyśliłam się tego z opowiadania Samojeada, a że mam odpis raportu naczelnego lekarza wojsk polskich, doktora Kaczkowskiego o tej chorobie i sposobach jej leczenia stosowanych podczas wojny, wiedziałam, co należy czynić. Ciężką jednak miałam z nimi przeprawę, bo długo nie mogłam zwalczyć straszliwej gorączki. Bredziły, miotaly się i zrywały ogrzewające okłady, które stosowałam na przemian z owijaniem w płachty wymoczone w zimnej wodzie. Prawie cały mój zapas chin¹¹¹ zużyłam, ale za to wyleczyłam nasze przyjaciółki! Odjechałam, bo już chodziły i wciąż domagały się jedzenia. Jest to najniezawodniejsza oznaka, że choroba już przeminęła.

Ze śmiechem opowiadała pani Lisowa o tym, jak wstawszy po chorobie, Dunia Rodionowa w nocy myszkowała po domu, szukając czegoś do zjedzenia.

— A jacy oni wszyscy wdzięczni i dobrzy! — zakończyła swe opowiadanie pani Julianna. — Zasypali mnie upominkami, przemocą wpychali mi do rąk pieniądze.

— A pani nic nie chciała od nas przyjąć! — zawołał z wyrzutem Rodionow.

— Po cóż nam pieniądze? — zaprzeczyła. — Mamy przecież wszystkiego pod dostatkiem! Niczego nam tu, chwała Bogu, nie brakuje! Zresztą zażądałam od was sowitej zapłaty. Czyżbyście zapomnieli, Michale Szymonowiczu? Prosiłam was, abyście przy okazji doręczyli mój list doktorowi Gruberowi w Tomsku i przywieźli mi od niego zapas chin¹¹², jodu, garbnika, anyżu, waleriany i innych środków leczniczych. Obiecaliście mi też, że przy sposobności wyślecie do nas gońca z pocztą, jeżeli coś na nasze imię do Narymu przyjdzie.

— Wszystko to spełnimy — odparł Rodionow — chociaż nie ma w tym żadnej zapłaty, bo wszystko to zużyjecie na leczenie ludzi...

— Dajcie spokój, przyjacielu! — przerwał mu Lis. — Widzicie przecież, że żona nie chce mówić o zapłacie! Wiemy, że gdy będziemy potrzebowali waszej pomocy, dacie ją nam.

— Któż by postąpił inaczej?! — oburzył się kupiec. — Wam nie dopomóc!

— No to już i zgoda! — uśmiechnęła się pani Julianna. — Idę przyrządzić herbatę, a potem spać, bo wszyscy chyba jesteśmy zmęczeni daleką drogą!

Pod ławką cicho westchnął Urr.

— Romanie — rzekła pani Julianna — dajcie Urrowi miskę polewki i kości.

Piesek widocznie zrozumiał, bo natychmiast wyszedł spod ławy i przekręciwszy łebek na bok, pytającym wzrokiem wodził za robotnikiem.

Gdy Roman, wzięwszy naczynie, poszedł do kuchni, Urr podążył za nim. Trochę utykał na lewą łapę, lecz bardzo dostojnie, bez uniżoności merdał końcem puszystej kity.

ROZDZIAŁ XII. TCHNIENIE ŚMIERCI

Po odjeździe Rodionowych Lisowie pędzili ciche i spokojne życie.

¹¹¹ *china* — dziś popr.: chinina, lek przeciwmalaryczny w postaci białego, gorzkiego proszku otrzymywanego z kory chinowca. [przypis edytorski]

¹¹² *opium* — wysuszony sok makówek, szeroko stosowany w XIX w. jako substancja przeciwbólowa, uspokajająca i odurzająca. [przypis edytorski]

Pan Władysław nie opuszczał już domu, chociaż rudy Urr chodził krok w krok za nim i od czasu do czasu trącał go nosem, jak gdyby przypominając gospodarzowi o rozkoszy łowów.

— Poczekaj, mały — mrucał do niego zesłaniec — bądź cierpliwy! Wkrótce już przyjadą nasi przyjaciele i wyruszymy na długo do tajgi, kosmaczu!

Pies widocznie zrozumiał, że na nic się nie przydały jego napomnienia, bo westchnął ciężko i wlaź pod ławę, gdzie obrał sobie legowisko dzienne. Noce za to spędzał na dziedzińcu, pełniąc sumiennie czynności stróża i odpowiadając przeciągłym, złym ujadaniem na dalekie wycie wilków dochodzące z tundry.

Zuchwałę drapieżniki zakradały się nieraz do zagrody Lisów, lecz sprytny Urr czmychał wtedy do stajni i szczekał tak wściekle, że pan Władysław z Romanem wypadali z chaty i wystrzałami odpędzali napastników.

Pewnego razu Roman zaczął się w kleci i zastrzelił wilka, który usiłował podkopać się pod oborę, gdzie stała krowa i pojazdowe renifery, ryczące trwożnie.

Samojedzi z sąsiedniego koczowiska odwiedzali też czasem Lisów. Korzystając z tego, zesłaniec namówił ich, aby przysyłali mu młodzież na naukę. Wkrótce więc wieczorami w izbie, przy stole zasiadało kilkoro chłopców i dziewcząt i uczyło się pilnie.

Lis jeździł do koczowiska tuziemców, opowiadał o życiu dużych, współczesnych miast i nie zapominał nigdy przestrzegać sąsiadów przed niebezpieczeństwem i szkodliwym wpływem pijaństwa. Poznawszy najbardziej oddanych temu nałogowi Samojedów, zaprosił ich do siebie, uprzedziwszy o tym żonę.

Niczego się nie domyślając, przybyli gromadnie i ucieszyli się niezmiernie, spostrzegłszy przygotowania do uczy. Pani Julianna i Garsa przyrządzili obfity obiad. Tłusty krupnik ze słoniną, wędzona ryba, dwie szynki z upolowanego przez Romana rogacza, z podsmażonymi na słonecznikowym oleju ziemniakami, smakowały gościom wyśmienicie. Zagryzali to wszystko sucharami z chleba razowego, a wydali okrzyk radości, gdy uprzejma gospodyni wniosła kociołek buchający wonną parą.

Rozdęte nozdrza Samojedów z lubością wchłaniały aromat gorącej wódki. Chociaż miała jakiś niezwykły żółty kolor i trąciła goryczą, jednak pili ochoczo i chwalili. Wkrótce zaczęli pokrzykiwać tak obłądnie, ślaniać się i podśpiewywać, że Lis aż się przeląkł i rzucił na żonę niespokojne spojrzenia.

Pani Julianna, nic nie mówiąc, z lekka zmrużyła wesołe oczy, w których się zapalały figlarne płomyki.

Znała, widać, dobrze zalecane przez ówczesnych lekarzy i znachorów ziółka przeciw pijaństwu, bo Samojedzi jeden po drugim zaczęli wkrótce wychodzić z izby i już nie powracali. Lis, zajrzawszy na dziedziniec, zdumiał się. Goście jego leżeli na śniegu w przeróżnych pozach, dowodzących, że sen zmorzył ich raptownie i wszechwładnie.

— Zamarzną te pijaki albo co gorsza wilki ich zwęszą i urządzą im stypę! — pomyślał i powrócił do żony, aby zapytać, co ma robić z gośćmi.

— Niech pozostaną na dworze! — odparła z cichym śmiechem. — Nic im nie będzie! Trzeba im tylko okryć ręce i twarze, aby się nie odmroziły. Moje ziółka pozbawią ich chęci do wypitki na tydzień, a jeżeli potrafisz zwabić ich raz jeszcze i uraczyć nową porcją, nigdy już wódki do ust nie wezmą! Stary to przepis, starszy może od tajemnych lubczyków!

— Jeśli tak, to dobrze! Niech się prześpią pijanice! — zawołał Lis i rozkazał Garsie okryć swoich ziomek, obciągnąwszy im zakasane rękawy i nasunąwszy czapki na sam nos.

Nazajutrz Samojedzi obudzili się późno.

Przyszli z niepewnymi i zmieszanyminami do gospodarzy i uśmiechając się wstydliwie, mruzcili:

— Podpiliśmy wczoraj... hm... hm!... Mocna, dobra była wódka!...

— A może się jeszcze napijecie? — pytała z niewinną miną pani Lisowa.

Koczownicy kłaniali się tylko i wymachiwali rękami przecząco.

Panu Władysławowi udało się raz jeszcze uraczyć leczniczą wódką pani Julianny łasych na wypitkę Samojedów i z radością się dowiedział, że pijaństwo znacznie się zmniejszyło, a najzagorzalsi amatorowie wódki nie chcieli już patrzeć na butelki.

Wkrótce potem do zaimki Lisów wpadł wójt z koczowiska i oznajmił, że wśród pastruchów szerzy się „tarach”.

Pani Julianna wnet poczęła go wypytywać o nieznaną jej chorobę i bardzo się prze-
raziła, przypuszczając, że może epidemia nosaczyny lub zarazy morowej, czyli dżumy, wy-
buchła tam raptownie.

Pojechała też natychmiast, aby obejrzyć chorych.

Okazało się, że ma do czynienia z mniej niebezpieczną epidemią, Samojedzi bowiem
zapadli na gnilec, czyli szkorbut¹¹³.

Pani Julianna od razu poznała tę chorobę. Dotknięci nią ludzie chudli i słabli z dnia
na dzień, stawy mieli popuchnięte i obolałe, a w różnych miejscach ciała występowały
im czarne plamy podskórnych wylewów krwi. Lekarka obejrzała dziąsła chorych i prze-
konała się natychmiast że są obrzmiałe, szerniałe i krwawiące, zęby zaś ruszały się im
i wypadły. Przystępując do leczenia, rozpoczęła od tego, że kazała chorym starannie
się umyć i wypłukać usta wodą, do której wrzuciła sporą szczyptę proszku taniny¹¹⁴, po
wykonaniu czego zwróciła się do nich z przemówieniem.

Objasniła ich, że brudy, w których mieszkają, niedostatecznie świeży pokarm mięsny,
a co najważniejsze, brak pożywienia roślinnego — stały się przyczyną gnilca, który może
zakończyć się śmiercią, jeżeli chorzy nie zastosują się ściśle do jej rad. Kazała więc zdra-
wym dziewczętom nakopać czym prędzej spod śniegu borówek i żurawin wraz z liśćmi
i jagodami, a Samojedkom poznać pęki dzikiej cebuli, czyli tak zwanej czeremszy, bo
wiedziała, że roślina ta znajduje się w każdym domu i czumie syberyjskim. Przez cały
dzień przyrządzano potem wywar z garbnika i listków borówek, jednocześnie wyciskając
sok z żurawin i drobnych cebulek czeremszy.

Chorzy pili sok, płukali sobie usta wywarem borówkowym i łykali gorzkie proszki
chiny.

Energiczne leczenie zastosowane przez panią Juliannę zaczęło dawać dobre skutki
i Samojedzi, obficie odżywiani, poczuli się znacznie lepiej.

Lekarka opuściła koczowisko, nie doczekawszy się już zupełnego powrotu do zdrowia
pacjentów, bo sama poczuła się chora.

Powracając do domu, ledwie mogła się utrzymać na siodle. Rozpaloną głowę rozsadał
nieznośny ból; dreszcze przebiegały całe ciało; w lewym boku wzmagały się coraz silniejsze
klucia.

Widocznie zaziębiła się w źle opatrzonym na zimę samojezdkiem czumie, gdzie spędziła
kilka dni; obawiała się więc poważnie zapalenia opłucnej.

Powróciwszy do domu, natychmiast położyła się do łóżka. Gorączka wzrosła tak gwał-
townie, że pani Julianna poczęła tracić przytomność i miotać się w malignie¹¹⁵. W chwila-
ch świadomości dawała wskazówki mężowi, co należy robić w takim wypadku. Łykała
więc proszki chiny i leżała cicho, gdy pan Władysław rozcierał jej bok maścią z wonnych,
gryzących olejków, przykładając synapizmy¹¹⁶ lub ogrzewające okłady.

Choroba nie ustępowała jednak i trzymała w swych kleszczach bladą, straszliwie wy-
chudłą kobietę. Pani Julianna słabła z dnia na dzień i coraz częściej leżała nieruchomo,
nieprzytomna, szeroko rozwartymi oczami, pełnymi niezdrowych ogni patrząc w prze-
strzeń.

Lisem o władnęła rozpacz. Oblędna, dzika i bezsilna była to rozpacz.

Wyrwał sobie włosy i wpatrując się w obraz Matki Boskiej, szeptał:

— Czyż dopuścisz, Opiekunko strapionych, aby umarła ta, która jest bez grzechu?

Porywał go szal, wypadł więc do sieni i potrząsając rękami nad głową, syczał:

— Któż nam dopomoże? Giniemy!...

Walił się pięściami w piersi i lkał w poczuciu swej bezsilności.

Roman, widząc rozpacz gospodarza, chodził coraz bardziej ponury i milczący, nic nie
jadł i tylko zmarszczki poruszały mu się na zniekształconym czole, świadcząc o uporczywej,
nieodstępnej myśli. Pewnego dnia zniknął z zaimki.

¹¹³*szkorbut* — choroba spowodowana długotrwałym niedoborem witaminy C w pożywieniu, objawiająca się
m.in. samoczynnymi krwawieniami, zapaleniem dziąseł, wypadaniem zębów, powstawaniem niegojących się
ran, ogólnym osłabieniem. [przypis edytorski]

¹¹⁴*tanina* — garbnik, środek używany w medycynie i w garbarstwie. [przypis redakcyjny]

¹¹⁵*maligna* — wysoka gorączka połączona z zaburzeniami świadomości i majaczeniem. [przypis edytorski]

¹¹⁶*synapizm* (daw.; z gr.) — gorczyznik, okład z papki sporządzonej z utartych nasion gorczycy, wywołujący
przekrwienie i rozgrzanie skóry; stosowano go w leczeniu stanów zapalnych i nerwobólów. [przypis edytorski]

Nawet Garsa, głupkowaty i zawsze szczerzący żółte zęby w uśmiechu, stał się jak gdyby poważniejszy i siedząc w kącie izby, patrzył na chorą w zamyśleniu.

Pani Julianna dogorywała.

Gasła powoli jak lampka, której zabrakło oliwy.

Życie ledwie się tliło w wychudłym ciele; suchy, całymi godzinami trwający kaszel rozdzierał zbolaną pierś.

Usta ledwie się poruszały; błąkał się po nich cichy, pełen pokory uśmiech; chude, przezroczyste palce zaciskały się kurczowo.

Lis siedział przy niej i czuł, że śmierć stoi przy łóżku chorej, czekając wytrwale.

Umierająca leżała z przymkniętymi oczami, chrapliwy, świszczący oddech wyrwał się jej z gardła, a słabnął szybko.

W tej właśnie, zdawało się, ostatniej chwili nagle na ganku rozległy się szybkie kroki. Ktoś zrzucił w pośpiechu ubranie w sieni i uchylił drzwi do izby.

Cicho, ostrożnie stąpając, wszedł Roman.

W rękę niósł gliniany garnek. Postawił go przy gorącym piecu.

Lis obojętnym wzrokiem spojrzął na niego.

Po pewnym czasie Roman odstawił garnek, z którego podnosiła się już para, i podszedł do gospodarza, szepcząc:

— Panie! Panie!

Dotknął ręką ramienia skamieniałego w boleści zesłańca i pochyliwszy się nad nim, szeptał niecierpliwie:

— Panie! Panie! Obudźcie się!

Lis podniósł głowę i spojrzął mu w oczy.

— Byłem i ja chory niegdyś... — mówił Roman. — O, tak, jak nasza pani... Gorączka niby ogień... sto noży w boku... Na wpół nieboszczyk... Wyleczył mnie znachor... pewien człowiek leśny... pustelnik... Poił mnie mlekiem z sadłem niedźwiedzim. Rychło do zdrowia wróciłem... Przyniosłem więc mleko z lojem niedźwiedzim... Wyprosiłem go u Samojedów. Nie chcieli mi go dać, bo uważają to za rzecz świętą. Dopiero gdy powiedział, że to dla naszej pani, dali... Niech się pani napije... dobre to!...

Lis oprzytomniał do reszty i jak każdy człowiek bez miary zrozpaczony, chwytający się najniklejszej nadziei, porwał garnek i łyżką jął wlewać do ust chorej żony tłuste mleko z okrywającą je żółtą, płynną warstwą loju.

Po kilku łykach pani Julianna usnęła.

Rzecz nie do wiary, ale spała znacznie już spokojniej, atak kaszlu nie powracał i nie przerywał jej snu.

Obudziła się dopiero nad ranem.

Gorączka się zmniejszyła. Chora już przytomniej spoglądała na stojących w izbie ludzi, a nawet uśmiechnęła się do nich słabo.

Lis napił ją jeszcze raz, a pani Julianna po chwili ponownie usnęła.

O, dziwo! Kaszel długo nie powracał. Kaszleć zaczęła dopiero w południe, lecz nie był to już ten straszny, świszczący i szczekający kaszel, od którego, zdawało się, pękała pierś.

W trzy dni później ustał zupełnie; znikły bóle w boku, gorączka szybko spadała.

Chora powoli nabierała sił, aż pewnego razu rzekła cichym głosem:

— Jestem głodna, Władczku!

Wtedy Lis nie wytrzymał, wybiegł znowu do sieni i jął szlochać jak dziecko. Tu znalazł go Roman, idący do spiżarni. Pan Władysław porwał go w objęcia i całował po twarzy, ramionach i rękach, płacząc i powtarzając bezładnie:

— Bratem mi jesteś... zbawcą... dobrodziejem!...

Roman padł mu do nog i obejmował za kolana, a z jego oczu, ponurych i męczeńskich, ciurkiem biegły łzy.

Pani Julianna z dniem każdym powracała do sił. Wciąż jeszcze piła mleko z lojem niedźwiedzim, co wzbudzało w niej coraz większy apetyt.

Lis chodził wniebowzięty. Minęły i poszły w zapomnienie straszne czasy rozpacz i świadomości niemocy wobec nieszczęścia, które na nich spadło.

Uspokoiwszy się trochę, Lis po raz pierwszy zamyślił się nad dalszym losem swoim i Julianny.

Nie wątpił, że w najcięższych nawet warunkach potrafi dać sobie radę i wybrnąć obronną ręką z wszelkich kłopotów i trudności życiowych.

Teraz jednak zrozumiał nagle, że pewność jego we własne siły może prysnąć bez śladu.

Przeżył już taki okres i wiedział, że dla spokojnego życia niezbędny jest jedyny warunek — zdrowie.

Poważna choroba jego samego czy żony mogła zburzyć do szczytu z takim wysiłkiem i poświęceniem zbudowany gmach możliwego życia na wygnaniu.

„Nie mogę dopuścić, aby moja Julianka zmarniała mi na tym odludziu; nie chcę też, aby po śmierci oddano mnie obcej ziemi!...” — myślał.

Im więcej zastanawiał się nad tym zagadnieniem, tym częściej marszczyło mu się czoło, a zaduma gnieździć się zaczynała w jasnych oczach.

Lis zamyślał się nieraz bezwiednie, nagle czując, że w jakiejś dalekiej mgłę czają się postanowienia, nieuchwytnie jeszcze, rozumem i wolą nieogarnięte.

Nieraz wśród pracy albo podczas niedalekich polowań stawał jak wryty i powtarzał z uporem:

— Ja nie mogę tu pozostawać aż do śmierci!

Świtała mu wtedy myśl o możliwej amnestii dla zesłańców polskich, lecz odpędzał ją jako zwodniczą, skłaniającą do gnuśnej bierności.

— Sam sobie dam amnestię! — zawołał pewnego razu w tajdze, gdy ślizgając się na nartach, tropił stadko saren.

Wykrzyknął to tak głośno i stanowczo, że Urr, biegnący przed nim, natychmiast powrócił do niego i merdnąwszy ogonem, z niemym pytaniem w piwnych oczach przyglądał mu się uważnie.

— Tak, tak, mój piesku! Sam sobie dam amnestię i razem z Julianną porzucimy na zawsze tajgę, tundrę i cały Czin-War!

Urr pisnął i zwiesił ogon.

Od tego czasu w głowie zesłańca kiełkowała, kształtowała się i wzmagala myśl o wyrwaniu się na wolność, o powrocie do dużych miast, gdzie nie odczuwałoby się niewoli i gdzie można byłoby znaleźć pomoc we wszelkich okolicznościach życiowych.

Setki planów układał sobie w wyobraźni, lecz wkrótce odrzucał je jako niewykonalne lub zgoła szaleńcze.

Gdyby był sam, skinąłby na Romana i powiedział:

— Słuchaj, stary! Przedzierałeś się o chłódzie i głodzie przez tajgę. Powtórzmy to teraz razem. Pójdziemy przez tundrę i knieję na wschód. Będziemy czujni i przebiegli ni to wilki stepowe, a chytry jak węże. Przedzierać się tak będziemy rok, dwa lata, aż w końcu dojdziemy do morza, gdzie znajdziemy okręty cudzoziemskie — i będziemy ocaleni, wolni jak żurawie przelotne!

Uczyniłby tak z pewnością i dotarłby do celu, gdyby nie miał przy sobie Julianny...

Ona nie wytrzymałaby trudów i niebezpieczeństwa szalonej ucieczki. Należy więc imać się innych sposobów... Jakich?

Znowu setki, tysiące planów, myśli, pomysłów, wirujących w zawrotnym korowodzie i nagle pierzchających, gasnących, odrzucanych Nielitościwą ręką zimnej i głębokiej rozwagi.

Myśl o porzuceniu Syberii oświadczyła Lisem i stała się celem jego życia, chociaż nie zwierzał się z tym nawet przed żoną.

Nie chciał budzić w niej tychże palących pragnień i bał się, że pewnego strasznego dnia powiedzą sobie w rozpaczliwej zimnej:

— Basta! Nic na to nie poradzimy!...

Jednocześnie wierzył, że w końcu jednak uda mu się obmyślić jakiś plan wykonalny i niezawodny lub też że wypadek dopomoże im w osiągnięciu wymarzonego celu.

Przed Bożym Narodzeniem nad Ałgim przybyły narty Rodionowa, a siedzący na nich Sieńka, wymachujący długą żerdzią do poganiania reniferów, krzyknął radośnie:

— Poczczę przywiozłem! Skrzynię i listy!

Lisowie z radością witali chłopaka, słuchali jego opowiadań o życiu w Narymie, o nowym komisarzu policji, człowieku surowym, lecz sprawiedliwym, o zdrowiu rodziny i znajomych, o przyjaciółach, którzy uklony zasyłali dla zesłańców.

Garsa z głośnym śmiechem wniósł do izby sporą skrzynię, przyslaną z Polski; młody Rodionow przydzwigał drugą, mniejszą, od doktora Grubera, i kilka listów.

Rodzice i krewni pani Julianny jak zwykle przesyłali upominki świąteczne, lekarstwa, książki, papier, ołówki i inne przyrządy do pisania; doktor Gruber dostarczył brakujących środków leczniczych; w listach zaś zesłańcy znaleźli wieści o rodzinie, o Polsce, a także opłatki i powinszowania. W liście swoim ciotka Romerowa donosiła, że brat pani Julianny, były partyzant Truskowski, znajdujący się na emigracji w Paryżu, pracuje w wielkim domu handlowym i często się spotyka z generałem Józefem Dwernickim, który mile wspomina dzielnego porucznika Lisa, dobrze ojczyźnie zasłużonego pod Stoczkiem, na polu grochowskim i podczas odważnego wywiadu pod Ołtarzewem.

Pan Władysław, przeglądając listy od państwa Truskowskich z Nowogródka, raptownie parsknął śmiechem i zawołał:

— Mój Boże! Przypomniałem sobie w tej chwili, jak to, gdy przybył po raz pierwszy w ubraniu rosyjskim do ojca twego, on, wzięwszy mnie za Moskala, wygarnął z guldynki¹¹⁷ do swego przyszłego zięcia! Cha! Cha!

Pani Julianna westchnęła cicho i odparła:

— Na szczęście, tatuś chybił. Lecz za to potem swoi pokieroszowali cię, biedaku mój, pod Sieradzem...

— Hej, hej! Nic mi się nie stało od tego pokieroszowania, oprócz dobrego, bom ciebie wtedy zdobył, Julianko moja! — zawołał ze śmiechem Lis i przygarnął do siebie żonę, patrząc na nią z miłością.

ROZDZIAŁ XIII. ŁOWY ZIMOWE

Po Bożym Narodzeniu do osiedla Lisów przybył Wotkuł z towarzyszami. Przywieźli ze sobą cały sprzęt łowiecki używany przez Sybiraków w tajdze.

Poza karabinami i oszczepami były tu sieci grube i mocne, żelazne potrzaski, sidła wszelakie z włosia końskiego i żył jelenich.

Spokojny teraz o zdrowie żony, pan Władysław szykował się do długiej wyprawy. Teraz już wiedział, dlaczego postanowił wyruszyć na uciążliwe, częstokroć niebezpieczne nawet łowy.

Zamierzał nagromadzić największą ilość drogich futer, aby ze sprzedaży ich pozyskać znaczną sumę pieniędzy, potrzebnych mu dla ucieczki z Syberii.

Toteż przygotowania do łowów czynił z wielką oględnością, przezornością i rozwagą.

Przed wyruszeniem długo i gorąco błagał żonę, aby się nie narażała i oszczędzała swoje zdrowie; prosił też Romana i Garsę, aby mieli nad nią pieczę nieustanną i aby włos jej z głowy nie spadł; wreszcie pożegnał zatroskaną i niespokojną o męża panią Juliannę i domowników, gwizdnął na Urra i włożywszy na sanki swoje tłumoki, okryte kosmami — płachtami ze skór jesiotrowych i miętusowych, mocnych i nieprzemakalnych, uczynił znak krzyża świętego i popędził renifery.

Na przodzie jechał Wotkuł, prowadząc za sobą resztę łowców.

Jechali przez cały tydzień, nocując w lesie przy ognisku, przy którym warzono strawę i przyrządzano herbatę, ten niezbędny w zimie napój. W worach Samojedzi wieźli też mleko. Były to bryły białego lodu, bo tylko zamrożone mleko łowcy mogli przewozić bezpiecznie. Odbijano obuchem siekiery lub trzonkiem noża kawałki mleka i wrzucano do kociołka z herbatą, zamiast cukru sypiąc szczyptę soli.

Wotkuł prowadził łowców na południe.

Przejechali więc przez rzeki Komalcis¹¹⁸ i Wydczes, po czym w chaszczach, na zamrzniętych moczarach Ulysia zapolowali na losie, które stary Robah zapędził do głębokiej kotliny, i pojechali dalej, aż za rzekę Kaś¹¹⁹. Wkrótce otoczyła ich tajga jenijska.

Pomiędzy Kasiem a Sagurem Wotkuł, zatrzymawszy renifery, zeskoczył z sanek i rzekł:

— Tu właśnie założymy obozowisko! Dobre to miejsce! Zwierz wszelaki kryje się w gąszczu tej tajgi.

Syberia

¹¹⁷*guldynka* — myśliwska strzelba gwintowana, używana w XVII–XVIII w. [przypis edytorski]

¹¹⁸*Komalcis* — popr. Kamalsis (ros. *Камалсис*), rzeka w azjatyckiej części Rosji, prawy dopływ rzeki Sym. [przypis edytorski]

¹¹⁹*Kaś* — dziś popr.: Kas (ros. *Кас*), rzeka w azjatyckiej części Rosji, lewy dopływ Jeniseju. [przypis edytorski]

Nawykli do życia w kniei Samojedzi szybko zbudowali małą chatkę z płaskim dachem, tak zwane zimowie, pokryte cienkimi belkami i przysypane śniegiem. Na dużym kamieniu palił się ogień, a jego dym wychodził przez szczeliny w poddaszu. Wzdłuż ścian stały nary — prycze, zastępujące jednocześnie stoły, ławy i łóżka. Pod narami składano toboły i ekwipunek myśliwski.

W domku tym łowcy popasali niedługo. Zbudowali wysoką i mocną zagrodę dla reniferów i narąbawszy dla nich gałęzi brzoźowych, osikowych i olchowych, zapędzili do niej zwierzęta pociągowe, przywalili drzwi zimowia ciężkim kłocem i wyruszyli.

— A nie zapomnijcie robić zaciesie! — upomniał Lisa Wotkuł. — Inaczej możecie zbłądzić i nie powrócić do obozu.

— Dobrze! — odrzyknął mu zesłaniec i ostrzem siekiery odłupał od sosny szmat kory. — Pierwsza zacies!

— Niech Numa dopomoże!... — odpowiedział już z daleka łowiec.

Lis biegł na nartach, zręcznie wymijając zwalone drzewa, wystające z ziemi kępy i ogromne głazy. Wreszcie stanął i skinąwszy ręką w stronę psa, zawołał:

— Urr, szukaj!

Pies zaskomlał radośnie i zniknął w chaszczach. Myśliwy czekał cierpliwie. Po pewnym czasie dobiegło go krótkie, urwane szczekanie Urra w jednym ciągle kierunku, bo nie stawało się głośniejsze, ani też nie słabło. Lis zrozumiał, że pies zapędził jakieś zwierzę na drzewo i trzyma je w obłęzeniu.

Pobiegł w kierunku głosu psa i wynurzył się wkrótce na niewielką polankę.

Urr, jeżąc sierść na karku i warcząc, skakał pod rozłożystym świerkiem, gałęziami dotykającym białej powierzchni śniegu.

Długo nic nie mógł dostrzec Lis w gąszczu potężnych konarów drzewa. Dopiero podszedłszy do jego pnia i spojrzawszy w górę, spostrzegł plamisty bok rysia. Drapieżny kot wyciągnął się na gałęzi, opuścił głowę i wpatrzony żółtymi ślepiami w skaczącego pod drzewem psa, strzygł uszami, prychał i syczał. Był tak przejęty śledzeniem ruchów Urra, że nie zauważył człowieka, który podniósłszy strzelbę, oparł lufę o suchy sęk i zmrużył lewe oko, mierząc starannie.

Po strzale mignęło w powietrzu cętkowane ciało i jęło się ślizgać z gałęzi na gałąź, aż spadło, grzęznąc w śniegu. Urr z wściekłym warczeniem wpił się zębami w kark rysia i potrząsał nim.

Myśliwy szybko obielił¹²⁰ zwierza; zdjawszy z niego piękną skórę, ułożył ją starannie w plecaku i ruszył dalej.

— Urr, szukaj! — powtórzył rozkaz.

Piesek, z opuszczonym ogonem i nosem wężącym tuż przy ziemi, pobiegł dalej. Kilka razy zaczynał naszczekiwać na sarny lub z lekka wyc na głuszca, lecz łowiec nie zamierzał polować na tak bardzo pospolitą w tajdze zwierzynę, więc wydawał krótki gwizd. Urr znał ten sygnał, milknął natychmiast i biegł dalej, wężąc i zaglądnąc do każdego zakątka.

Długo się nie odzywał.

Lis zaczął się już na dobre niecierpliwić, gdy wtem posłyszał cichy szelest w krzakach i trzask rozsuwanych suchych badyli.

Po chwili wyslizgnął się z nich Urr. Miał dziwny wygląd.

Zdawało się, że szedł na palcach, bojąc się narobić hałasu.

Sierść mu się jeżyła na karku, podwinięty ogon włókł się po śniegu, a ostre uszka przyciskały się do głowy.

Stanął przed swoim panem i uważnie mu się przypatrywał, jak gdyby sprawdzając, czy wszystko jest w porządku.

Cicho trąciwszy go nosem w nogę, zawrócił i oglądając się co chwila, prowadził za sobą.

Chwilami przystawał, a wtedy sierść jeszcze bardziej podnosiła mu się na grzbiecie, a lekki dreszczyk kurczył mu pysk.

Lis nie domyślał się, co odnalazł Urr w kniei, lecz mignęła mu myśl, że spotka się z dużym i niebezpiecznym zwierzem. Mógł to być jedynie niedźwiedź.

¹²⁰obielić (łow.) — zdjąć skórę z upolowanej zwierzyny. [przypis edytorski]

Obejrzał więc raz jeszcze karabin, namacał rękojeść siekiery, zatkniętej za pasem, i sprawdził, czy nóż łatwo się wysuwa z pochwy.

Urr tymczasem doprowadził go do obalonego drzewa.

Snadź wicher lub piorun strąciły je na ziemię, bo leżało z wyrwanymi z ziemi korzeniami, pod którymi pozostał głęboki dół, przywalony suchymi gałęziami i przysypany śniegiem.

— Barłóg! — domyślił się Lis. — Zimowe leże niedźwiedzia...

Postąpił kilka kroków naprzód i obejrzał legowisko.

Natychmiast dostrzegł wąską smugę pary, wychodzącej spomiędzy gałęzi.

— Barłóg! — powtórzył łowiec i uśmiechnął się radośnie.

Zdobędzie skórę niedźwiedzia — dobry kobierzec dla żony — i zrobi zapas cudownego tłuszczu leczniczego.

Wotkuł dawał mu rady, jak należy polować na różne zwierzęta, jak się posługiwać psem, jak zastawiać potrzaski i słopecy¹²¹ na wydry, lisy i kuny, jak otaczać siecią gniazda soboli, jak zawieszać lub rozkładać sidła na gronostaje, łasice i zające, lecz nigdy nic nie mówił o spotkaniu z niedźwiedziem — „czaldonem”, „leśnym człowiekiem”, jak nazywają władzę syberyjskiej kniei Samojedzi, Ostiaci i inni tuziemcy różnych szczepów.

Tymczasem spotkanie to należało do najbardziej niebezpiecznych.

Z zakłopotania wyprowadził go mały, rudy, kudłaty piesek. Ujrzawszy, że myśliwy trzyma karabin w pogotowiu, Urr, skowycząc i szczekając, jął skakać i biegać dokoła barłogu i szczególnie uporczywie ujadając w pewnym kierunku, wpatrzony w ciemny otwór pomiędzy korzeniami i gotowy w każdej chwili do ucieczki.

Niedźwiedź, śpiący w ciepłym legowisku, nie odzywał się wcale. Zdążył już może zapaść w najgłębszy sen lub może miał nadzieję, że natrętny kundel zaniecha wkrótce niepokojącego ujadania, które drażniło burego mieszkańca barłogu.

Długo czekał Lis jakiegoś ruchu pod nagromadzonym przez zwierza stosem gałęzi i pniaków, albo chociażby jego pomruku.

Płonne jednak było to oczekiwanie.

Przypomniawszy sobie tedy opisy polowań na niedźwiedzie, którymi zaczytywali się niegdyś kadeci w korpusie, postanowił wypłoszyć drapieżnika.

Oparłszy karabin o drzewo, wyrąbał i zaostrzył długi drąg, a potem jął uderzać nim po barłogu i zapuszczać ostrze do otworu, przez który wydobywała się para.

W legowisku dość długo jeszcze panowała cisza, ale za to Urr ujadał coraz głośniej i węszył, prychając niecierpliwie i niespokojnie.

W pewnej chwili zwałisko gałęzi okrywające głęboki dół poruszyło się gwałtownie, a z czarnej czeluści barłogu wyrżał potworny łeb niedźwiedzia. Małe oczka miały iskry, białe kły połyskiwały, z gardzieli wraz z płatkami piany wyrывał się wściekły ryk.

Lis pochwycił karabin, lecz nim zdążył wymierzyć, niedźwiedź jednym susem wyskoczył z dołu i runął na myśliwego. Nie mając ani chwili do stracenia, myśliwy spuścił kurek.

Padł strzał. Zwierz zatoczył się, ryknął rozpaczliwie, natychmiast stanąwszy na tylnych łapach, skoczył ku człowiekowi.

Lis wyrwał siekiere z za pasa i przygotował się do obrony.

Pojedynek taki był bardzo nierówny, gdyż niedźwiedź należał do największych i człowiek sięgał mu zaledwie do połowy piersi.

Zwierz nagle przysiadł i z jękiem jął się opędać przed Urrem, który wczepił mu się w zad i szarpał. Po chwili odskoczył w tył, a gdy niedźwiedź podniósł się znowu, zwinny piesek wżarł mu się w nogę. Rycząc coraz wścieklej i jękliwiej, napadnięty zwierz całą uwagę skupił na zuchwałym i zręcznym napastniku.

Urr uwijał się wokół olbrzyma, skakał mu na gruby kark, wyrывał kłaki, wpijał zęby w potężne uda.

Niedźwiedź, chcąc dosięgnąć psa, na chwilę jedną odwrócił się tyłem do człowieka. Lis skorzystał z tego natychmiast i podbiegłszy, rozplatał mu łeb szerokim, ciężkim ostrzem siekiery.

Polowanie,
Niebezpieczeństwo, Pies

¹²¹słopic (ros. *cloneu*) — pułapka na zwierzęta, przywalająca je swym ciężarem. [przypis edytorski]

Zwierz runął na ziemię, a dymiąca posoka wsiąkać poczęła w śnieg; myśliwy zaś, ponownie nabawiwszy karabin, strzelił mu za ucho.

Niedźwiedź wyciągnął się, drgnął jeszcze kilka razy i zesztyniał.

Lis z trudem oderwał Urra od zabitego zwierza.

Piesek wpił się ostrymi zębami w szyję wroga i skowyczał, porwany obłądną wściekłością.

Długo mozolił się pan Władysław, zanim oporządził swoją zdobycz. Zdarł olbrzymią skórę, wyciął tłuszcz nagromadzony na karku i koło nerek, odrąbał szynki i przystąpił do pakowania, robiąc ze wszystkiego jeden tłumok.

Szukając swoich zaciesi, zgarbiony pod ciężarem noszy¹²², posuwał się wolno ku obozowisku.

Mrok już zapadł, więc Lis nie mógł dostrzec w tajdze świeżych nacięć na drzewach, gdy na szczęście posłyszał daleki odgłos rogu Wotkuła; wkrótce potem słaba luna rozświetliła nisko zwisające obłoki. Domyślił się, że towarzysze rozpalili większe ognisko, aby wskazać drogę zbłąkanemu.

Doszedł wreszcie do chatki leśnej i z westchnieniem ulgi zrzucił na śnieg ciężką noszę.

Podczas wieczery łowcy dzielili się wrażeniami z dnia ubiegłego, a jednogłośnie twierdzili, że miejscowość¹²³ obfituje w zwierzynę najrozmaitszych gatunków.

Wotkuł opowiedział im, iż odnalazł ślady soboli i upolował kunę; Rabah wytropił starego rosomaka i zastrzelił go, gdy ten się skradał do stadka żerujących spokojnie łań; Ganga pokazał z kolei dziesięć skórek niebieskich popielic; wszystkie ugodził w małe mordki, aby nie psuć futerek.

Wotkuł wędził na poczekaniu szynki niedźwiedzie, zawiesiwszy je tuż nad dymiącym ogniskiem, i dopomógł Lisowi wtłoczyć sadło do torsuka — worka z rybiej skóry, ubić szczelnie, zawiązać starannie i zawiesić na drzewie, aby się nie popsulo.

Samojedzi wtajemniczali zesłańca w sztukę rozpoznawania śladów różnych zwierząt i pojmwania głosu tropiącego je psa, ponieważ mądre łajki północne wydają odmienne szczekanie, wycie i skowyt na każdy rodzaj ściganey zwierzyny.

Nauki te nieraz przydały się Lisowi podczas łowów w tajdze zasypanej śniegiem.

Ciężki to był czas!

Srożyły się bowiem mrozy i szalały wichry, podnoszące nieraz zamiecie — rozszalałe „purgi” syberyjskie. Okrywały one grubą warstwą śniegu knieję, tworząc nad nią zlodowaciałe sklepienie. Tajgę zalegał mrok; pod puszystą, białą płachtą znikaly ślady zwierząt i nart myśliwskich; zamieć szalała, przysypywała rozstawione potrzaski i sidła, w których nieraz ginęła schwymana zdobycz.

Śnieg nawiewał nad schronieniem łowców wydmy, przez które ludzie z trudem przebijali sobie drogę siekierą i rydlem.

Mróz szczypał twarze i ręce, okryte warstwą tłuszczu, powodował krwawiące pęknięcia na wargach i skórze, wdzierał się przez każdy otwór w ubraniu i obuwiu, dręczył i gnębił, przejmując mimowolnym lękiem.

Nic jednak nie mogło odstraszyć tych ludzi.

Choć ruchy ich stawały się coraz powolniejsze, a z piersi nieraz wyrzywały się ciche jęki cierpienia, nie tylko codziennie wychodzili na łowy, lecz nawet spędzali długie noce w tajdze, zarywszy się w śnieg lub grzejąc się przy najdzie — dwóch złożonych razem i tlejących pniach.

Psy okryły się niezwykle gęstą sierścią i jadły dużo.

Czuły one również dotkliwie zimne podmuchy wiatru i nieruchome brzemię mrozu, lecz za to praca tropienia stała się dla nich łatwiejsza.

W zgęszczonym od zimna powietrzu czujne nozdrza łajek w mig pochwytywały obce zapachy i odnajdywały śpiące po dziuplach popielice lub ukryte w krzakach kuny i rosomaki; od skrzepłego śniegu zalatywały ku nim powiewy przebiegających tu niedawno lisów, zajęcy, rysiów, łasic, tchórzów.

Psy z daleka już wyczuwały obecność łośi i jeleni, a mocny i ostry zapach niedźwiedziego potu uderzał powonieniem łajek z dużej odległości.

¹²²nosza (daw.) — to, co się nosi, dźwiga; ciężar, brzemię. [przypis edytorski]

¹²³miejscowość — tu: miejsce, okolica. [przypis edytorski]

Straszna jest mroźna, czarna noc w tajdze syberyjskiej!

Przejmuje ona zgrozą, przytłacza beznadziejnością ponurą.

Gdy ustanie wicher, dmący z północy lub wschodu, stoją nieruchomo białe jak widma modrzewie, świerki, brzozy i sosny. Szerokie łapy drzew iglastych, obarczone śniegiem, zwisają tuż nad ziemią. Nagie gałęzie brzoź, osik i czarne pędy krzaków w niemej rozpaczycy wyciągają ramiona ku szaremu niebu, martwe i na kamień stwardniałe.

Ciszy nie zna tajga zamarznięta, bo co chwila rozlega się donośny huk pękającego z mrozu pnia lub głazu; z szelestem i brzękiem spadają nasypy śnieżne, co ni to białe czapy tkwią na gałęziach; ze zgrzytem dzwonnym odrywają się szyszki cedrowe i świerkowe, roniąc czarne ziarna; skrzypi śnieg pod racicami łosi, a stężałe powietrze zdradza natychmiast tajemnicę ich lekkiego biegu; rozlegają się krzyki ptactwa wszelakiego, przerażonego napadem drapieżników lub ścinającym krew w żyłach nielitościwym chłodem; syczy gdzieś, szczerząc zęby, skradająca się ku uspiętym jarząbkom kuna, krwi łaknąca; zając kniazieniem żalonym przeszywa mrok nocy, gdy mały, zwinny jak wąż gronostaj wpija mu się w szyję tam, gdzie przeży się tętnica; łopoczą skrzydłami cietrzewie, zbudzone ze snu przez kluczącego w kniei lisa; chrapliwie beczy i rzezi rogacz, napadnięty przez rosomaka, skaczącego z gałęzi rosochatej jodły; gdzieś daleko porykuje ryś, czy to z głodu, czy z przerażenia przed krzepnącym mrozem; wilki, które ukryły się były przed purgą w bajorzysku niedostępnym, odpowiadają mu jęklivymi głosami.

Kniewa przemawia nieustannie, a w jej niemilkącym rozgwarze miota się strach, zgrzyta nienawiść i ponad wszystkim płynie łkań pełna nuta rozpaczycy śmiertelnej.

A gdy buszuje wicher i wzdyma tumany śnieżne, inne głosy wydaje tajga rozmiotana.

Skrzypią wtedy i padają złamane w trzonie drzewa; klaszczą donośnie siekące pręty krzaków, gwizdzą i wyją zalatujące tu strugi podmuchu mroźnego, szeleszczą i zgrzytają biegnące, wirujące chochoły wyrwanych badyli, traw i wyszarpane spod grubej, białej powłoki kupy suchych, zwarzonych mrozem liści. Miotają się w mrocznej głębi, wymachują twarde, kosmate łapy świerków; rozedrgane, koślawe brzozy rozrzucają swe cienkie gałęzie, ni to włosy splątane i powikłane wiatrem, chylą się i prostują; obracają się na prawo i lewo korony drzew w setny, tysięczny raz, i nadłamane zwisają, niby głowy podcięte zamachem topora.

Wtedy wszystko się kryje w popłochu.

Głębiej wciskają się do dziupli popielice i wiewiórki rude, śmigają do nor sprytnie sobole, kuny, łasice i gronostaje; zające ryją dla siebie skrytki w śniegu i leżą tam lękiem zdjęte; lisy zapadają w chaszczę; łosie szukają wąwozów głębokich; ryś i rosomak nie wychodzą na łowy, guszcze, cietrzewie i czerwonobrewa jarząbki zlatują z drzew i wtulają się pod zbutwiałe pnie i w gąszcz wikliny. Jedynie sowy i żółtooki puchacz krążą w mroku i wypatrują zdobyczy, przerażonej potężnym głosem szalejącej, mroźnej burzy. Chwilami mrok nocny pierzchał płochliwie, a wtedy rozświetlała się tajga, spowita śniegiem. Gdzieś na północnej polaci nieba wytryskiwały słupy ogniste, wirowały koła i zygzaki zielonych i żółtych płomieni, kreśliły się w wyżynie tajemnicze krzyże świetne i szalał orkan promieni o barwach przedziwnych, niezemskich. Wtedy wszystkie głosy milkły, wszystkie oczy patrzyły z lękiem i niemym zachwytem na rozżarzone, rozświetlone niebo, na którym szerząc się i potężniejąc, płonęła zorza polarna...

Skuleni przy płonącym ognisku, w którym syczały zmarznięte gałęzie i padająca kurzawa śnieżna, siedzieli łowcy, pocierając skostniałe, odmrożone ręce.

Samojedzi i Lis coraz częściej odchodzili od zimowia tak daleko, że musieli spędzać nocę w kniei.

Umieli oni borykać się z rozszalałą naturą; ciężka dola łowiecka nauczyła ich wymykać się z zastawionych wszędzie sidła śmierci.

Zatrzymując się na nocleg, rąbali gałęzie świerków i budowali od strony wiatru pochylą ścianę, przed którą rozniecali ogień.

Cichymi głosami opowiadali sobie przygody minionego dnia, jedli polewkę z jukoły lub porsu, piekli na patykach kawałki mięsa upolowanej sarny albo zająca bielaka, rzucając kości psom; głośno dmuchając do drewnianych miseczek, pili gorącą herbatę, a potem milkli i patrzyli na zesłańca.

Powtarzało się to każdego wieczora, więc Lis wiedział, co wyraża spojrzenie przyjaciół.

Żądali od niego opowiadań, zawsze takich, które by ich wyrywały ze szponów ciężkiego, nieznośnego niemal życia, pełnego trudów nieprzerwanych, nieludzkich i co chwila śmiercią lub kalectwem grożących.

Oczekiwali od niego cudu przeniesienia ich do wielkich zbiorowisk ludzi spokojnych, oświeconych, dostatnich, do zgiełku i radości życia, pod sklepienie lazurowego, pogodnego nieba, dyszącego żarem złocistego słońca, którego łaski nigdy nie doznawali.

Słuchali go z zapartym oddechem, gdy mówił o tym, co nie było jednostajną, pełną męczeństwa i nieświadomego bohaterstwa szarzyzną istnienia nędznego, pół człowieczego, pół bydłęcego, o tym, co rozbrzmiewało głosem ducha, płomiennego serca i potęgi umysłu.

Lis rozumiał, czego pragnęli od niego ciemni łowcy syberyjscy, czuł, do czego się rwały ich budzące się myśli. Opowiadał im więc przez długie godziny wieczorne, a nieraz już północ wskazywał Wielki Wóz, gdy pochylony przed ogniskiem zesłaniec mówił jeszcze z zapalem lub rozrzewnieniem, grzebiąc nożem w żarzących się węglach ogniska.

Opisywał piękno, ruch i bogactwo wielkich miast, których słuchający go tuziemcy nie mieli nigdy ujrzeć, a gdzie po roku lub dwóch dotrzeć miały zdobyte przez nich drogie i rzadkie futra.

— Być może — mówił z łagodnym uśmiechem zesłaniec — twoje gronostaje, stary Rabahu, ozdobią płaszcz królewski, a ciemne sobole, które zdobył dziś Wotkuł, okryją ramiona pięknej kobiety, żony dostojnika, możnego człowieka, który mądrze doradza swemu władcy lub sam rządzi milionami ludzi. Ze skóry łosia powalonego kulą Gangi uszyją białe rajtuzy i piękny pas ze złotymi kitami dla wodza rzucającego w wir krwawej bitwy tysiące ludzi i na zwalach, stosach ciał pokonanych wrogów ogłaszającego dumnie swoje zwycięstwo! Futra lisów będą chroniły przed zimnem wielkiego uczonego lub myśliciela, wskazującego nowe drogi ludzkości. A nikt z nich nie będzie wiedział, że to łowcy Sameednam znad Obi przysłali im z dalekiego Czin-Waru i sagurskiej tajgi te skórki, niezbędne dla ich wygody, wspaniałości i bezpieczeństwa. O, nie smućcie się, nie narzekajcie, bracia, na swój los surowy! Pamiętajcie, że jesteście najdalej rzuconymi synami jednej rodziny ludzkiej, a czyny wasze i wasz wysiłek ciężki potrzebne są dla waszych braci. Oni za to przysłał wam na tundrę i do tajgi tkaniny, żelazo, ołów, stal, herbatę, sól i wszystko, czego nie rodzi i nie posiada w głębi swej piersi ziemia wasza!

Opowiadał Polak milczącym przyjaciółom o znojnym walkach swej ojczyzny dalekiej, o dziarskim Dwernickim, o żołnierskiej cnocie Chłopickiego pod Grochowem, o przemyślnym, niezmordowanym Prądyńskim, o walecznym orle — jednonogim Sowińskim, o ofiarności podchorążych warszawskich, o bitwach, w których sam brał udział, o cierpieniach, tułaczce, spotkaniu się ze swoją żoną, szukającą go po nędznych, brudnych etapach, gdzie dzwonią kajdany i szemrzają ciężkie westchnienia uciemnionych i sponiewieranych ludzi.

Gdy przerywał opowiadanie i w milczeniu przyglądał się czerwonym i żółtym węzom, biegającym po węglach, Samojedzi podawali mu kubek gorącej herbaty i prosili cichymi głosami:

— Sprawiedliwy, zagraj nam!

Uśmiechał się wtedy, dmuchał do gorącego napoju i pił go powoli, rozkoszując się ciepłem ogarniającym całe ciało.

Skończywszy, brał od Wotkuła jego róg myśliwski, długi, czarny od starości, nie wiedzieć skąd przyniesiony tu kręty róg bawoli.

Teraz wstawał dawny trębacz cesarski, kopulaste przeżył piersi i wydąwszy policzki, zaczynał trąbić.

Ożywała wtedy tajga uspiona, echo biegło spłoszone od modrzewia do świerka, od sosny do białych szkieletów brzoź; rozgwar się szerzył po świecie od stromych spychów Sanguru i Isztyru aż hen — do dalekich pagórków za Basargynem, od śnieżnych wydm, wyrosłych pod zwisającymi łapami kosmatych od jeleniego mchu jodeł, aż pod niebo same, pod jarzące się migotliwe Stożary¹²⁴ i pod świecącą nad oceanem drzew, niby łeb wbitego w pułap gwoździa mosiężnego, gwiazdę polarną.

¹²⁴Stożary (ros. Стожары) — Plejady, gromada gwiazd w gwiazdozbiore Byka, widoczna niezbrojonym okiem, najbardziej znana gromada otwarta na niebie. [przypis redakcyjny]

Potężne to były dźwięki, budzące tajgę i drażniące zaczajone w niej echo.

Zdawało się, że róg rozbrzmiewa rozedrganym srebrem, szłocha rozpasanym jękiem metalu.

Gdy milknął, zapadała nagle cisza przerażająca; wchłaniała bez śladu, przytłaczała loskot padających drzew, trzask pękających brzoź, dalekie wycie wilków i wszystkie głosy, jęki, charkoty, syki, zrodzone z nienawiści, rozpacz, strachu i bólu — tej mowy życia i śmierci.

Ciszy nie było na ziemi, lecz panowała ona w duszach ludzi, nagle wyrwanych z zawrotnego wiru mocarnych dźwięków rogu.

A Lis oddawał go Wotkułowi i rzucał tylko jedno słowo:

— Spać!

Nim brzask się zaczynał, myśliwi posilali się znowu, a przy pierwszych mgławicach przedświtu wyruszali już na łowy.

Lis oglądał zastawione na noc słopcy. Były to oparte na drążkach ciężkie kloce, z leżącą pod nimi przynętą. Wślizgująca się tam zwinna łasica lub kuna zawadzała o drążek, a drzewo ciężarem swym przygniatało niebaczne zwierzę.

Na przesmykach, uczęszczanych przez lisy i zające, budował zasieki, zawieszał wnyki i pętle, które się zadzierzały na ich szyjach, chwytając je i oddając w ręce myśliwego.

Na polankach pan Władysław zagrzebywał w śniegu schwyte w sidła zające i chytrze ukrywał nad nimi żelazne potrzaski, nasadki¹²⁵, stępice¹²⁶ na rysie i wilki.

Strzelał do popielic i polujących na nie tchórzów.

Urr tropił czujne i śmigłe sobole i zapędzał je na samotnie stojące drzewa. Wtedy strzelec otaczał drzewo „mrzeżnią” — siecią opartą na cienkich prętach wiklinowych, i raz po raz ciskał w gąszcz gałęzi kawałkami kory, szyszkami i zlodowaciałym śniegiem.

Puszyste zwierzątko, ukryte wśród konarów, wypadło przerażone, zeskakiwało na ziemię, aby ukryć się na innym drzewie, trafiało w sieć, która opadała raptownie, a w jej okach i zwojach miotał się i wikłał coraz bardziej drogocenny soból, aż ginął od ciosu zadanego mu kolbą karabina.

Łowy trwały aż do dnia, w którym Wotkuł usłyszał ciche nawoływanie się gilów.

— Musimy wracać! — rzekł. — Wiosna idzie!

Załadowali całą obierz¹²⁷ i zdobycz na sanki i po twardym jeszcze śniegu ruszyli na Czin-War.

Dnie stawały się coraz dłuższe, a słońce posyłało na spowitą w biały całun ziemię cieplejsze już promienie.

Na otwartych miejscach i zgrzewkach śnieg zaczynał topnieć na powierzchni i wieczorami okrywał się nastem — warstwą cienkiego lodu.

Na potokach płynących przez torfowiska tam i sam potworzyły się już pojmy, nad którymi kłębiły się obłoki pary.

Na poloninach¹²⁸ gzić się zaczynały bielaki, w gąszczu drzew śmigały wiewiórki, w krzakach, jeszcze nagich, lecz pęcznieć i czerwienią nabrzmiwać zaczynających, wabiły się i niespokojnie szczebiotały ptaszęta, a gdy łowcy docierali już do Ałgimu, gdzieś w bory zatokował przed czasem niecierpliw głuszec, lecz umilkł niebawem, gdyż zamieć jąła gwizdać i siec biczami mokrego śniegu.

Obfitą i cenną zdobycz przywiózł zesłaniec do osady nad Ałgimem. Pani Julianna z zachwytem przyglądała się rozwieszonym w kleci skórom niedźwiedzi, rosomaków, rysiów, wilków; rudym i ciemnobrunatnym lisom, prawie czarnym sobolom i kunom, żółtawym tchórzom, ogromnym pękcom białych gronostajów, niebieskich popielic i płowych łasic.

— Skarby to nie lada! — mówiła, spoglądając na męża.

— Toteż sprzedam to wszystko z lichwą! — odparł Lis z dumą w głosie. — Wotkuł odda moje futra Rodionowowi, a ten jak nikt inny potrafi je spieniężyć!

Samojedzi, wypocząwszy trzy dni w gościnnym domu Lisów, zaczęli się przygotowywać do dalszej drogi.

¹²⁵nasadka — pułapka na lisy i tchórze. [przypis redakcyjny]

¹²⁶stępica — potrzask dla chwytania zwierza. [przypis redakcyjny]

¹²⁷obierz — sprzęt myśliwski. [przypis redakcyjny]

¹²⁸polonina — tu ogólnie: łąka. [przypis edytorski]

Polowanie

Wiosna, Syberia

— Niech tylko lato przyjdzie i wysuszy bagniska, przekoczujemy do was, nad Ałgim!

— oznajmił na pożegnanie Wotkuł.

Zesłaniec odparł po namyśle:

— Dziękuję wam, przyjacielu, lecz chciałbym prosić was, abyście zaczekali, aż sam was o to poproszę...

Wotkuł zajął mu w oczy pytająco.

— Tak! Zaczekajcie, bo... bo mogą zajść zmiany... muszą zajść! — powtórzył zesłaniec.

Wotkuł, zapaliwszy fajeczkę, mruknął:

— Rozumiem!... Chcecie prosić władze, aby pozwoliły wam powrócić do Narymu?

Lis potrząsnął głową i zawołał z oburzeniem:

— Nigdy o nic nie będę prosił! Mógłbym to dawno uczynić przez rewizora, barona Tolla, a nie skorzystałem z jego pomocy. Moskale nie usłyszą z ust moich żadnej prośby!

— Tedy nie pojmuje... — szepnął Wotkuł.

— Być może z czasem zrozumiesz, bracie — odpowiedział Lis — bo sam dotąd nic nie wiem i objaśnić tego nie mogę...

Samojedzi odjechali.

Lisowie po długiej rozłące zostali wreszcie sami.

Pan Władysław opowiadał żonie o trudach zimowych łowów, o licznych przygodach swoich, sprycie i rozwadze Urra. Z rzewnością wspominał przyjaźń Samojedów i dziwne, pełne dzikiego uroku noce, spędzone przy ognisku w tajdze śniegiem zasypanej, skutej mrozem, pełnej tajemnic bez liku i czyhającej zewsząd śmierci.

— Władeczkule! — zawołała pani Julianna, składając ręce jak do modlitwy. — Zastanawiałam się nad tym nieraz, po co wyruszyłeś na wyprawę? Na co nam pieniądze tu, w tym pustkowiu?

Lis milczał. Ujął w swe ręce dłonie żony i ucałował je.

— Odpowiedz! — nalegała.

— Odpowiem z czasem, bo teraz jeszcze sam nic nie wiem; czuję tylko, że powinienem był zdobyć pieniądze i... zdobyłem!... — szepnął.

Pani Julianna dosłyszała coś niedopowiedzianego w głosie męża, pochyliła się i długo wpatrywała się w jego oczy, nagle zamglone, jak gdyby niewidzące.

O nic więcej nie pytała i tylko ukradkiem rzucała spojrzenia na twarz tego beztrockiego zawsze i pogodnego człowieka, teraz coraz częściej wpadającego w zadumę.

Roman i Garsa cieszyli się niewymownie z powrotu gospodarza i oprowadzali go po zaimce, pokazując, co nowego przez czas jego nieobecności zrobili.

— Tylko patrzeć, wonż się zacznie — zauważył Lis. — Śnieg szybko topnieje. Trzeba sieci obejrzeć, Romanie, a ty, chłopcze, nabij lodem piwnicę pod spiżarnią...

— E-wwa! — zarechotał Garsa. — Dawno już nabiłem...

— Sieci też w porządku! — zamruczał Roman. — Uplotłem jeszcze inną, aby sposobniej było rybaczyć na wartkiej rzece... a i drugie jeszcze czółno wypaliłem z modrzewia, który wichur obalił na górze...

— No, to widzę, że wszystko w porządku, o wszystkim pomyśleliście, chłopcy! — zawołał pan Władysław, klepiąc Romana i Garsę po ramieniu.

— Od tego my tu... — odmruknął ponury chłop.

— Chi-chi-chi! — zapiszczał głupkowato wyrostek i zatrzepotał rękami z wielkiej uciechy.

ROZDZIAŁ XIV. WIOSNA

Z dniem każdym wiosna odnosiła nowe zwycięstwa.

Śnieg ściemniał i opadł.

Lód na Ałgimie i na potoku popękał.

Na modrzewiach wykwitły nikle, blade, zlepione żywicą miotłki miękkich igieł.

Szmaragdowe świeczki wybujały na ciemnych łapach świerków i sosen. Tam i sam na białych połoninach potworzyły się czarne łysiny i natychmiast zielenić się zaczęły i okrywać pąkami puszystych, żółtych kwiatów i skręconych w spirale pędów paproci.

Na nabrzmiałych sokami gałęziach krzaków powyrastały jeszcze korą okryte pochwęki zwiniętych, uśpionych listków.

Wiosna

Nad borem sosnowym, pod obłokami zawisły pierwsze klucze żurawi i łabędzi, a ich kieranie i jękliwy klangor i w dzień i w nocy rozbrzmiewał nad Czin-Warem; po nich wkrótce gęgać zaczęły sznury dzikich gęsi, gwizdać i krechtać oszalałe od szybkiego lotu, bezładne stada kaczek.

Przelotne ptaki zniżały swój lot nad Ałgimem i krążąc powoli, opadały na tundrę, gdzie w słońcu połyskiwały już zwierciadła jezior.

Na polany leśne zlatywały się cietrzewie syczące i nadęte; rozwinawszy białopióre wachlarze ogonów, wykonywały taniec godowy.

Mieniące się zielenią i lazurem głuszce wyśpiewywały tajemniczy hymn wiosenny, puchały i klaskały po ostępach czarnolesia i dzikich uroczyskach.

Z tundry dobiegało niemilknące kokcielenie pardw, poświst i przeciągłe, drżące granie kulików różnorakich, małych i dużych, szarych i rdzawych, albo też opierzonych wspaniale i barwnie; zewsząd zrywały się jęki czubatych czajek, miotających się nad moczarami.

Wypełniona po brzegi rzeka podniosła wreszcie lód, potrzaskała go, zakreśliła w szalonych wirach, rozbiła o skalne przylądki i porohy, niosąc na wschód.

Pewnego razu do chaty wbiegł Roman i zawołał do Lisa, który wrócił przed chwilą z tundry i wyjmował z worka upolowane ptactwo:

— Panie! Panie! Do Ałgimu weszły tajemnie... Ławą idą, aż im grzbiety z wody wystają!

— Wonź! Wonź! — wtórował mu Garsa, klaszcząc w dłonie.

Zesłaniec przebrał się szybko i zbiegł ku rzece.

Istotnie, całe łożysko było zapchane rybami. Duże, srebrzyste, o czerwonych grzbietach posuwały się przeciwko prądowi, wyskakując ponad wodę i wpadając do małych zatoczek. Niektóre wchodziły do potoku i płynęły w górę.

Spostrzegłszy to, Garsa krzyknął:

— Zbuduję jaz pod lasem i zastawię węćierze.

Nie czekając na odpowiedź, pobiegł, kulejąc i śmiejąc się radośnie.

Pani Julianna, stojąc obok męża, przyglądała się napływającym ławicom ryb.

— Ech! — westchnął zesłaniec. — Tu dopiero można byłoby zagarnąć niewodem! Ino prąd niezmiernie wartki, a łożysko wąskie okrutnie. Trzeba będzie małą siecią łowić.

Pani Lisowa uśmiechnęła się i grożąc mężowi palcem, odparła:

— Ach ty, drapieźniku jeden! Chciwcze przebrzydły! Zaraz ci przypomnę, co w takich razach mówił pan Wacław Potocki¹²⁹, wielki poeta nasz i mądry człowiek.

Podniósłszy rękę w górę, wyrecytowała:

Wszystko wielkie za wielkim iść powinno rodem,
Na przykopę¹³⁰ z wierciochem, na Wisłę z niewodem.¹³¹

— Zrozumiałeś? — zapytała ze śmiechem.

— A jużci, nie ma innego sposobu! — kiwnął głową Lis. — Spróbuję tedy wierciochem, czyli małą siecią...

Trzy dni parły ku źródłom Ałgimu tajemnie, a rybacy zagarniali je siecią i wyrzucali na brzeg, gdzie Garsa ogłuszał je uderzeniami kija.

Z węćierzy, które ukryto w potoku przegrodzonym jazem, wydobywano również duże ryby, płynące przeciwko prądowi.

Tajemnie, należące do rodziny łososi, znacznie przewyższały je rozmiarami.

Ryby te usiłowały gromadzić się koło zagrody zamykającej koryto potoku; co chwila wynurzały się z wody, zamierzając przeskoczyć przez płot z żerdzi, oplecionych pędami wikliny, a nie mogąc ominąć przeszkody, szukały wolnego przejścia. Wkrótce znalazły je.

Był to jedyny wąski otwór, dostateczny dla przejścia jednej zaledwie ryby.

Tajemnie przeciskały się przez tę zdradliwą szczelinę w płocie i trafiały do mereży — długiego, wrzecionowatego kosza, splecionego z giętkich prętów. Do pułapki w krótkim

¹²⁹ Potocki, Wacław (1622–1696) — poeta, epik, satyryk i moralista, jeden z głównych polskich autorów epoki baroku. [przypis edytorski]

¹³⁰ przykopa (starop.) — rów. [przypis edytorski]

¹³¹ Wszystko wielkie za wielkim iść powinno rodem... — Wacław Potocki, *Iovalitates albo żarty i fraszki rozmaite* II, 49. [przypis edytorski]

czasie nabijało się tak dużo ryb, że łowcy musieli podciągać ją ku brzegowi i wypróżniać. Wreszcie Roman wpadł na pomysł. Zamiast mereży umieścił poza jazem skrzynię, naprędce skleconą z płach i cienkich gałęzi.

W końcu tajemnie przepłynęły w górę rzeki, a za nimi zdążyły już muksuny, miętusy, sigi, nelmy, potem zaś inne, bardziej pospolite gatunki ryb.

Łowcy zagarniali wszystko, co się dało, ponieważ pan Władysław zamierzał nagromadzić jak najwięcej jukoły, część zaś połowu przeznaczył na użyczenie nowego, dzikiego jeszcze pola.

W zaimce Lisów wszystkie skrzynie, kadzie i beczki wkrótce zostały wypełnione zasolonymi rybami; tajemnie i nelmy wędziły się w buchających dymem szałasach; ryby wisiały na strychu domku, w kleci, spiżarni, na sznurach przeciągniętych przez podwórze, a tymczasem z sieci wytrząsano coraz to nowe stopy ryb.

Roman doradził, aby wykuć głęboki dół w zamrożonej zawsze ziemi, ocembrować go kamieniami ułożonymi na glinie i składać w nim ryby przeznaczone na jukołę.

Samojedzi tłumnie przybywali do osady i kupowali świeże ryby, płacąc za nie skórkami białych lisów, wilków i młodymi reniferami.

— Stałeś się chciwy na bogactwo! — zauważyła z wyrzutem w głosie pani Julianna, patrząc na męża.

Wzruszył ramionami i odpowiedział spokojnie:

— Tak! Muszę być bogaty!...

Miał przy tym twarz zawziętą i zagadkową.

Pani Lisowa domyślała się, widać, czegoś, lecz nie chciała pytać, czekając, aż mąż sam się przed nią zwierzy.

Tymczasem pan Władysław, skończywszy z połowem ryb i pozostawiwszy wędzenie ich, solenie i suszenie na piecu żony i robotników, znowu wyruszył na łowy.

Od dwóch ostatnich dni nad słuchiwał uważnie, co się odbywało w tajdze i na tundrze. Nie spuszczał też z oka Urra, który podniósłszy przednią łapę i strzygąc uszami, godzinami całymi stał nieruchomo, węsząc i warcząc cichutko, a potem biegł do pana i trącał go w nogę czarnym, mokrym nosem, wydając przymilny skowyt.

W kniei zaś działy się rzeczy przedziwne! Rozbrzmiewały tam grzmiące, burzliwe poryki jeleni, chrapliwy, świszczący pozew łosi i niecierpliwy, zły bek kozłów.

Z tundry nadbiegały znów inne głosy.

Tam wilki, świecąc w ciemności krwawymi ślepiami, śmigały tu i ówdzie, zawodząc drapieźnie i wyjąc krótko i groźnie.

Urr prowadził swego pana ku ukrytym w niedostępnych chaszczach polanom, gdzie odbywało się igrzysko, a Lis, przyczajony za drzewem, celnymi strzałami obalał sędziwe łosie o szerokich łopatach, rogate byki jeleni i kozły o sterczących rozwidlonych rożkach, ozdobionych perłami narośli.

Zapuszczając się w tundrę, tropił basiory¹³², zapadające we dnie do chaszczy i oczeretów¹³³. Wynajdywał je po skrytkach czujny Urr, lecz i sam łowiec słyszał je z daleka, bo porwane wiosenną wściekłością wilki kłapały rozgłośnie zębatami paszczami. Piesek wywabiał je na płaszczynę, a człowiek strzelał do nich z karabina i kładł trupem.

Coraz to nowe skóry rozwieszano w przewiewnej kleci, a pan Władysław, jak gdyby porwany gorączką łowiecką, kluczył po tajdze i tundrze, niosąc śmierć jej wolnym mieszkańcom.

Pani Julianna z trwogą patrzyła na męża.

Nie uszła jej uwagi zamysłona, pełna niezwyklego uporu twarz jego i mocno zacisnięte szczęki. Pewien szczegół zaniepokoił ją niewymownie. Spozrzęła bowiem, że pan Władysław mniej już się zajmował domem, jak gdyby życie, o które walczyli z takim trudem, stało się dlań obojętne.

Zamierzała właśnie rozmówić się z mężem, gdy przed zagrodę zajechali konni Samojedzi z koczowiska, a jeden z nich, znajomy wyrostek, Bajsa, który w wolnych chwilach przychodził do Lisa na naukę, wbiegł do izby i zawołał:

¹³²basiory (łow.) — dorosły wilk samiec. [przypis edytorski]

¹³³oczeret — roślina rosnąca na terenach podmokłych, głównie przy brzegach i na bagnach; oczerety: pot. szuwary, zarośla nabrzeżne. [przypis edytorski]

— Nieszczęście! Dzieci po czumach zapadają na nieznaną chorobę... Gorączka je trawi, a ból gardła dusi. Umierają, giną jak muchy!

Pani Lisowa drgnęła, lecz opanowała wzruszenie i zapytała z niepokojem w głosie:

— Czy nie był ktoś z waszych mężczyzn w mieście?

— Basurga powrócił przed tygodniem. Odwoził skóry do Jenisejska i opowiadał, że padł tam mór na dzieci — odpowiedział Samojed.

— Obawiam się, że jest to błonica¹³⁴, zaniesiona z miasta! — rzekła do męża. — Muszę jechać, Władeczk, lecz nie obawiaj się o mnie, będę bardzo ostrożna, aby nie zachorować... i nie być ci zawadą...

Nie mógł się jej sprzeciwić i nie chciał, bo wiedział, że musiała śpieszyć z pomocą cierpiącym i ginącym ludziom. Zresztą nieodstępnie pochłaniające go myśli panowały nad jego uczuciami i obawami.

— Niech cię Bóg ma w swej opiece! — rzekł, pomagając jej wsiąść na renifera.

Pani Julianna, zbliżając się do koczowiska, z daleka już usłyszała lament i rozpaczliwe krzyki samojedzkich kobiet. Prócz tych jeszcze i inne jakieś głosy, zawodzenia, wrzaski, obłądne wycie dochodziło jej uszu. Ze zdumieniem spojrzała na Bajkę.

— To nasi szamani — czarownicy i znachorzy — leczą chorych, odpędzając złe duchy — objaśniał z lękiem wskazując ręką na dziwną postać, krążącą dokoła czumów.

Człowiek ten miał na szyi zawieszony dzwoneczki, pstre skrawki tkanin na karku, a na piersiach ogony końskie i mosiężne blachy. Na głowie kołysał mu się wysoki kołpak z kory brzoźowej, ozdobiony piórami, pękami farbowanego włosia i dzwonekami.

Szaman skakał, dzwonił, wył i od czasu do czasu gwizdał na piszczalce z kości ludzkiej.

„Takie lekarstwo nie pomoże biedakom z pewnością!” — z politowaniem pomyślała pani Lisowa i zatrzymała się przed pierwszym czumem, z którego dobiegał krzyk i płacz kobiety.

Pani Julianna obejrzała i zbadała chore dzieci oraz kilku dorosłych, którzy się również uskarżali na nieznośny ból w gardle i łamanie w kościach.

Twarz lekarki stała się poważna i skupiona.

Przewidywania jej ziściły się, niestety.

Miasto rzuciło straszną zarazę błonicy na dalekie koczowisko tuziemców, skazując je na nieuniknioną niemal zagładę. Pani Julianna wzięła się energicznie do zwalczania epidemii.

Trudne to było zadanie, gdyż miała do czynienia z nieoświeconymi, żyjącymi w brudzie i zabobonach koczownikami.

Najpierw więc kazała znieść wszystkie chore dzieci do jednego czumu, a wzięwszy sobie do pomocy nieodstępny Garsę i jedną z Samojedek, innym mieszkańcom obozu kazała wymyć we wrzącej wodzie naczynia, ubrania i wszystko, czego się chorzy dotykali, aby zaraza nie mogła się szerzyć.

W „szpitalu”, jak nazywała czum z chorymi dziećmi, zarządziła pomoc lekarską.

Nie znano w owe czasy zbawiennej surowicy, wynalezionej przez ucznia wielkiego Pasteura, doktora Loeffera¹³⁵, z łatwością zabijającej drobnoustroje tej choroby, o czym medycyna do połowy wieku dziewiętnastego jeszcze nie słyszała. Pani Julianna leczyła więc tak, jak to było ustalone przez naukę ówczesną; a więc dała chorym zażyć chinę, a potem przez piórko wdmuchnęła do gardła drobnego pyłku kalomelu¹³⁶, nałożyła okłady ogrzewające, kazała robić płukanie z soli Bertholleta¹³⁷, a na noc napoiła pacjentów gorącym płynem z ziółek, wskazanych w poradniku lekarskim.

Całe dwa tygodnie spędziła pani Lisowa w koczowisku i z bólem serca myślała o tym, ile to ludzi zmarniało i zgasło z braku opieki lekarskiej wśród mieszkańców północy, których los nikogo nie obchodził.

¹³⁴*blonica* — choroba zakaźna atakująca gardło lub krtań; błonica krtani występuje najczęściej u dzieci, objawia się utrudniającą oddychanie opuchlizną; przy braku odpowiedniej pomocy prowadzi do uduszenia się. [przypis edytorski]

¹³⁵*Loeffer, Friedrich* (1852–1915) — niemiecki lekarz i bakteriolog; w 1884 odkrył bakterię wywołującą błonicę, co umożliwiło opracowanie lekarstw oraz szczepionki na tę chorobę. [przypis edytorski]

¹³⁶*kalomel* (chem.) — chlorek rtęci, biały proszek, działający odkażająco i drażniący błony śluzowe i skórę, niegdyś popularny jako lek na różne dolegliwości. [przypis edytorski]

¹³⁷*sól Bertholleta* (chem.) — chloran potasu, KClO₃, odkryty w 1785 przez C.L. Bertholleta, używany dawniej do produkcji kapiszonów do broni palnej oraz jako słaby środek odkażający. [przypis edytorski]

Powróciwszy do domu po ostatecznym zwalczeniu epidemii, zastała męża przy pracy na polu. Dawno już był zaorał, użył rybnym nawozem rolę, przeorał ją raz jeszcze i zabronował starannie. Teraz chińskim zwyczajem zasiał żyto i owies, zasadził ziemniaki i doglądał kopania grzęd dla ogrodu warzywnego, co polecił był Romanowi.

Pani Julianna z trwogą przyglądała się mężowi. Schudł bardzo, wargi mu zbieleły, oczy nabrały niezdrowych blasków, skóra na twarzy i rękach zwiędła i żółkła.

— Co ci jest, Władeczku? Chory jesteś? — pytała, zaglądając mu w oczy.

Lis opowiedział żonie, że codziennie po południu zaczynają go boleć wszystkie stawy, ogarnia gorączka i wstrząsają nim tak potężne dreszcze, że aż zębami musi zgrzytać.

— Wielki Boże! — szepnęła z troską w głosie. — Musiałeś, Władeczku, nabawić się febry? Nietrudno o nią, bo wokół ciągną się moczary. Musisz łykać koniecznie trzy razy dziennie duże dawki chinu, pić jak najwięcej gorącej herbaty i strzec się zaziębienia... Jakoś tam damy sobie radę z tą zimnicą!

Jednak choroba nie chciała tak prędko opuścić potężnego ciała zesłańca.

Paroksyzmy¹³⁸ gorączki i dreszczów nie ustawały; zmieniały się tylko godziny, w których przychodziły, aby dręczyć chorego człowieka.

Pewnego razu, leżąc cały w płomieniach z ogniem w zapadłych oczach, drżąc i szczękając zębami, Lis szepnął do pochylonej nad nim żony:

— Julianko... musimy coś uczynić... zdobyć się chociażby na szalone przedsięwzięcie, aby... aby uciec z Syberii. Zmarniejemy tu... zemrzemy oboje!... Nie chcę chociażby przez śmierć nawet poddać się Moskałom!... Nie chcę!...

Zaczął bredzić, bełkotać niezrozumiałe, pogmatwane słowa, krzyczeć, śmiać się i miotać.

Wtedy to pani Julianna zrozumiała, co od długiego już czasu gnębiło jej męża, a troską i zadumą ciężką okrywało pogodną aż dotąd, beztróską twarz osiłka.

Myśl ta zuchwała i buntująca udzieliła się wnet cichej, łagodnej kobiecie.

I ona, tak jak jej mąż, jęła rozważać różne plany ucieczki, odrzucać jedne i szukać drugich, lecz takiego, przeciwko któremu nie przemawiałby rozsądek, znaleźć nie mogła.

Nie dręczyła się jednak zbyt długo.

Mocna w wierze i ufna w miłosierdzie i opiekę Bożą, w pewnej chwili rzekła do męża:

— Bądź dobrej myśli, Władku! Nie troskaj się i nie borykaj z myślami... Miej nadzieję w Bogu! On nam dopomoże i wyprowadzi z niewoli!

Od tego czasu nie zaprzętała już sobie głowy natrętną myślą o ucieczce, doglądała chorego, krzątała się koło gospodarstwa i leczyła przybywających do niej Samojedów, cierpiących na zapalenie oczu.

Ani Lis, w dzień i w nocy suszący sobie głowę planami wymarzonej ucieczki z zesłania, ani uspokojona już pani Julianna nie przeczuwali nawet, że w niebie zapadł już był wyrok na nich.

Ogarnął on grzechy ich, świadome i nieświadome, a także czyny dobre, hart ducha i wiarę niezłomną, a gdy wszystko zostało zważone i zmierzone miarą nieomyślnej sprawiedliwości, Przedwieczny Sędzia wyrok swój opromienił, rozświetlił i przepoił cudownym miłosierdziem bez granic.

ROZDZIAŁ XV. CUD

Upały, na Syberii następujące wnet po zmiennej pogodzie wiosennej, stały się najlepszym lekarstwem dla chorego zesłańca.

Roman z Garsą najzupełniej zastępowali go w gospodarstwie, więc mógł spędzać całe dnie na słońcu, dla rozrywki wiążąc nowe sieci i naprawiając stare.

Jakaś pewność, dojrzałe przeświadczenie podszeptowały mu, że praca jego obecna nie przyda im się już nad Ałgimem, że ktoś inny opuści tę sieć do nurtów rzeki i cieszyć się będzie, widząc trzepoczące się w niej ryby.

Świadomość, że nieznanemu człowiekowi, rzuconemu na dziki brzeg rzeki, skorzysta z jego pracy, rozrzewniała go, więc z przyjemnością wiązał oka, zadzierał węzły i śmigał członkiem z nicią konopną, snując mocną, gęstą sieć.

Wkrótce dreszcze ustąpiły, a wyczerpane złą gorączką siły z wolna powracały.

¹³⁸paroksyzmy — nagłe wystąpienie lub zaostrenie się objawów chorobowych; atak, napad. [przypis edytorski]

Pewnego razu, gdy słońce zapadało już za tajgę nad Kecią, Urr wybiegł poza zagrodę i jął ujadać wściekle.

— Cóż tam zwęszyło pocziwe psisko? — pytał pan Władysław, podchodząc do niego. — Co? Może gdzieś w pobliżu zaczął się basior? A może bury czaldon szuka dziupli z pszczołami? No, no, Urr, cóż tam takiego?

Szczekanie psa zwabiło Garsę. Przyglądał się Urrowi i mruczał:

— Węszy on ludzi... Urusów węszy.

Lis wyczuł słuch w oczekiwaniu, przypuszczając, że to być może przybywa Rodionow z Sieńką, jednak z jakąś dziwną trwogą spoglądał w stronę czarnej ściany boru.

Dopiero w godzinę potem z tajgi wynurzyli się nagle jacyś jeźdźcy, a za plecami ich widniały lufy karabinów. Długi wąż koni, obwieszonych tobołami i skrzyniami, postępował za nimi, popędzany przez innych ludzi.

Przybywający dostrzegli już dym osiedla, bo jeden z jeźdźców wstał w strzemionach i krzyknął:

— Która ścieżka biegnie do zaimki: nad rzeką czy przez bór?!

— Jedźcie na prawo! — odkrzyknął Lis i zmarszczył brwi, bo rozpoznał kozaków i urzadników policyjnych.

Szybko podążył do domu, aby uprzedzić żonę o niepożądanych gościach.

— Panie! — wyjąkał drżącym głosem Roman. — To po mnie przyjechali kozacy! Zginałem!

— Nie wiem... — odparł Lis. — W każdym razie nie możecie tu czekać, aż was porwą. Zmykajcie do tajgi!... Zaczajcie się w zwaliskach czerwonych kamieni za potokiem. Nie traćcie czasu!

Roman wypadł na ganek, przeskoczył płot i zniknął w krzakach.

W kilka minut potem przed bramą zagrody zatrzymał się spory, liczący dwunastu ludzi oddziałek. Jeźdźcy schodzili z koni.

Kozacy i policjanci rozstąpili się, z uszanowaniem przepuszczając naprzód niemłodego już, dość otyłego mężczyznę o poważnej twarzy i szarych, badawczych oczach.

Tuż za nim szedł wysoki, błądy młodzieniec o twarzy roztargnionej, niezwykle dużych, szeroko otwartych oczach, patrzących łagodnie poprzez okrągłe okulary w czarnej, rogowej oprawie.

Starszy pan szedł majestatycznym krokiem, głaszcząc długą, siwą brodę i podejrzliwie spoglądając na ujadającego Urra.

„Co u licha?! — pomyślał zesłaniec. — Kogo tu do nas przyniosło? Gubernator, czy co?!”

Dostojny gość dotknął ręką daszka płóciennej czapki, ozdobionej gwiazdką i złotym orzełkiem dwugłowym i straszliwie kalecząc rosyjską mowę, zapytał:

— *Pardon!*¹³⁹ Kto tu mieć mieszkać... hm... hm... który człowiek... *Bitte!*¹⁴⁰

Lis zdumiał się.

Nie wątpił, iż był to jakiś Niemiec.

Z lekkim ukłonem odpowiedział:

— Znajduje się pan w osadzie należącej do rodziny Lisów.

— A wy... *bitte?* — zadał nowe pytanie gość.

— Jestem Władysław Lis, oficer wojsk polskich, zesłany za udział w wojnie tysiąc osiemset trzydziestego pierwszego roku. Bardzo proszę rozgościć się u nas...

W tej chwili na ganek wyszła pani Lisowa.

Jej wiotka postać i słodka, pełna godności twarz uderzyły nieznajomego.

— Żona... *mein Herr!*¹⁴¹ — zapytał.

— Tak jest! — odparł Lis.

Niemiec zdjął czapkę, posuwistym krokiem zbliżył się do żony zesłańca i schylając głowę w ukłonie, rzekł:

¹³⁹*pardon* (fr.) — przepraszam. [przypis edytorski]

¹⁴⁰*Bitte* (niem.) — proszę. [przypis edytorski]

¹⁴¹*Mein Herr* (niem.) — mój panie. [przypis edytorski]

— *Pardon...* za niepokój! Jestem profesor, doktor Karol Ernest von Baer¹⁴², wiceprezes cesarskiej Akademii Umiejętności...*bitte!* Ze swoją ekspedycją z polecenia jego cesarskiej mości odbywam podróż po Syberii... *bitte*. Szukamy noclegu... tylko noclegu, *gnädige Frau*¹⁴³. Ach... ach! Pozwolę sobie przedstawić państwu mego siostrzeńca, doktora Rudolfa Haaze, wychowawcę cesarzewicza Aleksandra¹⁴⁴.

Nowi znajomi uścisnęli sobie dłonie i nastąpiła znajomość.

— Wasza ekscelencja raczy stanąć w namiocie? — pytał, salutując uniżenie urzędnik policyjny.

— O, my na to nie możemy pozwolić! — zawołali w jeden głos Lisowie. — Pan profesor jest naszym gościem, również pan doktor Haaze i... pan, panie komisarzu.

— Pomieścimy panów w dużej izbie, gdzie stoi tapczan i dwie szerokie ławy — dodała pani Julianna. — Zaraz przygotuję w kuchni toaletę dla panów. Musicie się umyć po ciężkiej podróży. Znam tę drogę pomiędzy Kecią a Czin-Warem! Moczary, bajory, trzęsawiska... marna, ciężka droga!

Podczas gdy znoszono rzeczy podróżnych, Lis wskazał urzędnikowi policyjnemu, dowodzącemu oddziałem straży, spichrz, w którym ludzie jego mogli się wygodnie rozmieścić. Garsa przyniósł im szeroką balię i dwa kubły wody, po czym zaczął tuż na dziedzińcu rozpalać ognisko i znosić ryby na wieczerzę.

Gdy obmyci i przebrani goście siedzieli już w izbie, pani Julianna ustawiła na stole chleb, masło, świeży kawior i polcie wędzonego tajmienia, oznajmiając, że nim zdążą zjeść przekąski, pieczone gęsi i udziec sarni odgrzeją się w piecu.

Głodni i zmęczeni podróżnicy z apetytem raczyli się tymi przysmakami.

Głaszcząc długą brodę, Baer rzekł z westchnieniem:

— Powiada pan, panie Lis, że zostałeś zesłany tu za powstanie w Polsce? Mój Boże, jak ta wojna rozrzuciła ludzi po świecie! Kolegowałem niegdyś z doktorem Domeyko¹⁴⁵. Dzielny to lekarz! A tymczasem niedawno dowiedziałem się, że musiał uchodzić z kraju, bo brał udział w tym szalonym powstaniu. Tak! Wyruszył podobno na daleką tułaczkę.

Znowu westchnął i spojrzął na Lisa.

Zesłaniec popatrzył na niego spokojnym wzrokiem i odpowiedział po niemiecku:

— Za to mamy sumienia spokojne, bo uczciwie spełniliśmy nasz obowiązek, panie profesorze!

— Pan mówi po niemiecku? — ucieszył się Baer, a doktor Haaze jeszcze szerzej otworzył oczy i aż podskoczył ze zdumienia.

Komisarz policji, który czuł się skrępowany w obecności tak wysokiej osoby, jaką był Karol Ernest Baer, osobiście znany carowi, opuścił pokój pod pozorem odwiedzenia swoich ludzi.

— Niechże mi pan opowie o sobie! — zaproponował po jego wyjściu uczony.

Lis w krótkich słowach odmalował swoje i żony dzieje, a gdy doszedł do tego, że zupełnie przypadkowo wziął udział w walce z występnyymi urzędnikami, którzy zemścili się, wysyłając ich z Narymu na pustkowie, chociaż ani on, ani żona jego nic złego nie uczynili, przeciwnie, dopomagali raczej władzom w krzewieniu oświaty i pomocy lekarskiej, doktor Haaze zawołał:

¹⁴²Baer, Karol Ernest von (1792–1876) — niemiecki przyrodnik, twórca embriologii (w 1827 odkrył komórkę jajową u ssaków); absolwent medycyny na Uniwersytecie w Dorpacie (1810–1814), uzupełniał studia w Wiedniu i Würzburgu, wykładał zoologię i anatomię na Uniwersytecie Albrechta w Królewcu; członek Petersburskiej Akademii Nauk (od 1826), profesor Akademii Medyczno-Chirurgicznej w Petersburgu (1841–1852); jeden z założycieli Rosyjskiego Towarzystwa Geograficznego, w 1937 badał wieczną zmarzlinę na rosyjskim archipelagu Nowa Ziemia. [przypis edytorski]

¹⁴³*gnädige Frau* (niem.) — szanowna pani. [przypis edytorski]

¹⁴⁴cesarzewicz Aleksander — Aleksander Mikołajewicz Romanow (1818–1881), syn Mikołaja I; od 1855 cesarz (car) Rosji (Aleksander II), twórca wielu liberalnych reform, m.in. uwłaszczenia chłopów w Rosji i Królestwie Polskim; zginął w wyniku zamachu bombowego dokonanego przez Polaka, Ignacego Hryniewieckiego, działacza organizacji Narodna Wola. [przypis edytorski]

¹⁴⁵Kolegowałem niegdyś z doktorem Domeyko (...) Dzielny to lekarz! (...) musiał uchodzić z kraju, bo brał udział w tym szalonym powstaniu (...) na daleką tułaczkę — trudno powiedzieć, o kim mowa; Ignacy Domeyko (1802–1889), znany geolog, mineralog, inżynier górnictwa i badacz Ameryki Południowej, absolwent uniwersytetu w Wilnie, był uczestnikiem powstania listopadowego, wyemigrował do Francji, a stamtąd do Chile, ale nie był lekarzem ani nie studiował w miejscach gdzie uczył się lub nauczał von Baer. [przypis edytorski]

— To straszne! Przecież przyjaciel cesarza, uczciwy i mądry Speranskij¹⁴⁶, walczył z łapownikami i pogwałcicielami prawa?!

— Tak, tak! — wtórował mu profesor, a w oczach jego zapaliły się drwiące ogniki..

Obaj lekarze prosili panią Juliannę, aby pokazała im swoją aptekę, i wypytywali ją o rodzaj grasujących na Syberii chorób oraz o sposoby leczenia stosowane przez nią. Dziwili się też szczerze jej oczytaniu i umiejętności rozpoznawania chorób, z coraz większym i niekłamany szacunkiem spoglądając na tych ludzi, rzuconych niemal za koło polarne.

Niemcom tak się podobało w domu Lisów, że postanowili spędzić u nich kilka dni, aby dobrze wypocząć i porobić pewne badania przyrodnicze.

— W takim razie — zauważył pan Władysław — urzędę dla panów połów ryb, bo o ile mogę sądzić, Syberia posiada nieznanne jeszcze gatunki siąg, a nawet tak pospolite tu chajruzy posiadają kilka odmian.

— To jest nadzwyczaj ciekawe spostrzeżenie! — zawołał doktor Haaze. — Musze to sprawdzić!

— Mógłbym też, mając niezwykle mądrego psa, dać panom możliwość zdobycia cennych okazów miejscowej fauny¹⁴⁷ — ciągnął dalej zesłaniec. — A już co się tyczy ptactwa wodnego, to chyba nigdzie nie znajdziecie, panowie, lepszego terenu i bardziej sprzyjającej sposobności!

— Jestem wprost zachwycony! — wołał doktor Haaze, klaszcząc w dłonie. — Ornitologia¹⁴⁸ to moja specjalność!

Do rozmowy wmieszała się pani Lisowa, sprzątająca ze stołu.

— Co do mnie, to radziłabym panu profesorowi poznać naszych sąsiadów, tymisko-karakońskich Samojedów — rzekła — przyjrzeć się ich obyczajom, wierze, a w szczególności takim chorobom, jak zapalenie błony śluzowej oczu, szkorbut, gościec¹⁴⁹, trąd, które w Europie są uważane przez lekarzy za niebezpieczne, a tutaj stały się zjawiskiem codziennym niemal. Czulałabym się niezmiernie szczęśliwa, gdyby tak bardzo wpływowy i znakomity uczoney mógł coś uczynić dla tych biedaków, skazanych na nieuniknione wymarcie!

Profesor Baer zamyślił się i rzekł, przecierając szkła:

— Tak!... tak!... Teraz widzę, że dla poznania Syberii nie dość odbyć podróż przez ten kraj. Na to trzeba całe lata poświęcić!

— My mamy czas! — dodał Lis. — Skazani zostaliśmy na całe życie... do śmierci!

Zaśmiał się gorzko i umilkł.

— To straszne, zaiste! — mruknął profesor Baer.

— Jest to znęcanie się nad duszą ludzką! — wybuchnął Haaze. — Mój wychowanek, następca tronu, Aleksander Mikołajewicz, musi się o tym dowiedzieć! Jest to młodzieniec najlepszych chęci i szlachetnych zamiarów! Czy państwo wiecie, że pewnego razu ze łzami w oczach wyznał mi, iż nie może znieść poddaństwa chłopów. W jego młodej głowie już świta myśl o uwłaszczeniu włościan! Ja mu opowiem, na jakie okropne życie zostali skazani zesłańcy polityczni!

— Niech pan doktor, broń Boże, nie mówi tego przy komisarzu policji! Gotowi będą osiedlić pana gdzieś w sąsiedztwie! — zaśmiał się Lis.

— Cha, cha! — wybuchnął szczerym śmiechem młody Niemiec. — A to byłoby paradne!

— Ornitologia skorzystałaby na tym! — dorzuciła pani Julianna, uśmiechając się figlarnie.

Wesoły śmiech obecnych był odpowiedzią na uwagę gospodyni.

Przez kilka dni panowie robili dalekie wyprawy myśliwskie lub przebywali na rzece. Kozacy i policjanci pomagali zarzucać i wyciągać sieci, reszta spała, jadła i wałęsała się po okolicy.

¹⁴⁶*Speranski, Michaił Michajłowicz* (1772–1839) — rosyjski polityk i prawnik, od 1807 do 1812 osobisty doradca cara Aleksandra I i członek Rady Stanu; jako generał-gubernator Syberii (1819–1821) wprowadził reformy wzmacniające administrację państwową na tym terenie, zmierzające do zmniejszenia korupcji i samowoli władz lokalnych. [przypis edytorski]

¹⁴⁷*fauna* — świat zwierzęcy. [przypis redakcyjny]

¹⁴⁸*ornitologia* — nauka o ptakach. [przypis redakcyjny]

¹⁴⁹*gościec* (daw.) — reumatyzm, ogólna nazwa chorób, których wspólną cechą są zmiany zapalne oraz bóle stawów i mięśni. [przypis edytorski]

Pewnego razu pani Julianna wraz z profesorem odwiedzili koczowiska Samojedów, a doktor Haaze, wzięwszy ze sobą kozaka, zaopatrzył się w małą sieć i wyruszył do tajgi.

— Chcę złapać chajruzy, które przebywają przy początkowych źródłach Algimu — objaśnił, żegnając Lisa. — Powrócę wieczorem dopiero.

— Ej, chyba aż jutro? — zaprzeczył zesłaniec. — Będzie pan doktor miał daleką i bardzo uciążliwą drogę, a proszę uważać, żeby nie natrafić na grząskie topieliska!

— Dziękuję za radę! Nie będę zbaczał ze ścieżki! — odparł Haaze, odchodząc.

Młody uczonec istotnie nie powrócił tego dnia.

Lisowie uspokajali strwożonego profesora, jednak gdy Haaze i nazajutrz nie powrócił przed południem, pan Władysław uczuł również niepokój.

— Do pioruna! — mruknął do żony. — Czy aby jakaś zła przygoda nie spotkała tej zdumionej ciągle tyki niemieckiej? Chyba pójdę na poszukiwanie, Julianko, czy co?

— Idź, Władeczkule, bo musimy się opiekować gośćmi! — odparła. — Zresztą bardzo to zacni ludziska i oświeceni!

Lis wytłumaczył Baerowi, że wyjdzie na spotkanie Haazego, ponieważ obawia się, iż ten, nie znając ścieżek w tajdze okolicznej, może zabłądzić. Nie brał ze sobą policjantów ani kozaków, bo żaden z nich nie znał miejscowości i byłby mu tylko zawadą w drodze.

Gwizdnąwszy na Urra, szybko zniknął w borze. Nie szedł jednak na zachód, lecz z dala obszedłszy swoją posiadłość, dotarł do zwalisk skalnych nad potokiem i zawołał:

— Romanie! Romanie!

Wystraszony robotnik wylazł z jakiejś kryjówki, w której siedział jak borsuk.

— Słuchajcie! — rzekł Lis. — Jeden z naszych gości wczoraj jeszcze poszedł do tajgi, skąd wypływa Algim.

— Tam trzęsawiska straszne, pod torfem otchłań!... — przerwał mu Roman.

— Idę właśnie na poszukiwanie zaginionego — ciągnął dalej zesłaniec. — Pójdziecie ze mną?

— Z wami pójdę wszędzie! — zawołał robotnik.

Nie mówili nic więcej do siebie i szli szybko przez bór. Skończył się wkrótce i pod stopami idących zaczęło mlaskać i cmokać bagnisko, pluskać woda, na której z bulgotem głośnym pękały bąble.

Obaj znali pobliskie moczary, bo nieraz szukali tam pasących się reniferów domowych, więc pewnym krokiem skracali sobie drogę do tajgi, skąd sączyły się źródła stanowiące początek rzeki.

Urr wkrótce odszukał na jedynej ścieżce przecinającej ten szmat kniei ślady dwóch obcych ludzi; warczał przy tym i jeżył sierść na karku. Dalej odnalazł niedopałek papierosa skręconego z cienkiej bibułki, jakiej używał doktor Haaze, i resztki posiłku spożytego na popasie¹⁵⁰. Nie zatrzymując się, piesek biegł dalej, głucho poszczekując.

Doszli wreszcie do zwalonego świerka, po którym przeszli na drugi brzeg rzeki, i tu nagle posłyszeli daleki, słaby krzyk.

Powtórzył się po chwili, więc pobiegli za Urrem, który gwałtownie zboczył ze ścieżki i coraz głośniej szczekając, biegł na przelaj przez tajgę, skacząc przez kępy i nurzając się w błocie.

Ludzie jednak zmuszeni byli posuwać się wolno, z wielką ostrożnością wybierając bezpieczne miejsca, ponieważ wychodzili już na trzęsawisko, pełne głębokich wykrotów, małych jeziorzek i zwalów gnijących gałęzi, a nawet całych drzew, usychających na rozmiękłym torfie.

— Po co oni tam szli? — spytał Roman, obejrzawszy się na gospodarza.

Ten wzruszył ramionami w milczeniu, uważnie rozglądając się po okolicy.

Las się skończył.

Przed przedzierającymi się przez bagno ludźmi odkryła się rozległa polana, szmaragdowozielona od młodych mchów, kobierców rzęsy, połyskujących w słońcu liści lilii wodnych, sitowia i tu i ówdzie rozrzuconych krzaków wikliny.

Urr zatrzymał się na skraju lasu, oparłszy łapy na korzeniach wystających z ziemi, i patrzył przed siebie, głośno wciągając powietrze.

— Szukaj! — rzekł do niego Lis.

¹⁵⁰popas (daw.) — postój w czasie podróży w celu nakarmienia koni i odpoczynku. [przypis edytorski]

Piesek nie usłuchał rozkazu. Stał zapatrzony przed siebie i chwilami drżał.

Roman, chcąc zachęcić Urra, postąpił kilka kroków naprzód, lecz gdy przerwała się pod nim nagle cienka warstwa torfu, wpadł w rozstępującą się pod nim otchłań czarnej wody i płynnego błota. Ledwie zdążył ucześcić się ręką zwisającej gałęzi olchy i wydostać się na twardy grunt.

W tej chwili Urr zadarł głowę i jął ujadać, a chwilami wyl przeciagle i trwożnie.

— Pies spostrzegł, czy też dopiero zwęszył zaginionych... — szepnął Lis. — Wdrapcie no się, Romanie, na tę olchę, może coś zobaczycie z wysoka?

Chłop szybko wlaź na drzewo, gdy w tej samej chwili rozległ się rozpaczliwy, słaby głos od strony krzaków rosnących o jakie sto kroków od lasu.

— Doktor Haaze!... Ha-a-ze! — wołał zesłaniec.

Drżący, urywany głos odpowiedział mu natychmiast:

— Ratunku!... Ratunku!

Roman, znajdujący się już pod koroną drzewa, rozglądał się po bagnisku, aż wreszcie wydał przeraźliwy okrzyk:

— Widzę człowieka, który się zapadł do zybunu¹⁵¹...

Lis podczas polowań na tundrze spotykał nieraz te zdradliwe, na pozór takie pociągające, białe piaski, po których swobodnie i bezpiecznie biegały czajki, kuliki i kaczk.

Biada jednak człowiekowi, który waży się stanąć na tej strasznej, zwodniczej łasce piaszczystej. Samojedzi znają takie miejsca i nazywają je „tysaban”, co znaczy: zdrada.

Mieszkańcy tajgi i pogranicznej z nią tundry omijają z daleka te fałszywe, mamiące ostrowy¹⁵² piasków. Wiedzą bowiem, że są to płaszczyny przesiąknięte wodą, kryjące w sobie niezglębioną toń, nieruchomą bezdnie.

Roman szybko zszedł z drzewa i szepnął do Lisa:

— Stąd nie dojdziemy do tych krzaków, panie!... Musimy szukać śladów, kędy przechodził ten nieszczęśliwy człowiek.

Ruszyli na prawo, rozglądając się wokół, aż ujrzeli czarne zagłębienia na powierzchni trzęsawiska.

Dwu ludzi przechodziło tędy.

— Gdzież jest ten drugi? — spytał Lis. — Doktor Haaze przecież wziął ze sobą kozaka?

Roman nic nie odpowiedział. W milczeniu szybko rąbał cienkie i długie olchy. Ściąwszy osiem, rzekł do zesłańca:

— Róbcie panie to, co ja będę robił.

To mówiąc, rzucił na zielony kobierzec, okrywający torfowisko, cztery żerdzie i położył się na nich. Odrzucając się nogami, toczył się na cienkich belkach, przekładając je tak, aby pierś zawsze miała oparcie. Pływająca na ukrytym jeziorze warstwa mchu, sitowia i trawy ugięła się, lecz wytrzymała teraz ciężar człowieka.

Lis sunął za Romanem.

Widział, jak z sykiem i bulgotem sączyła się woda, wybijając się przez sieć zwikłanych korzeni i trawy, jak chyliły się rosnące na trzęsawisku krzaki, poruszały się rzęsy okrywające niewidzialne oka — małe jeziora, zaciągnięte wodorostami i liśćmi grążeli¹⁵³.

W pewnym miejscu natrafili na pasmo twardej ziemi, a na niej spostrzegli stratowaną przez ludzi trawę.

Ta zdradliwa, wąska łąka wyprowadziła, widać, ludzi nieobytych z tajgą północną, pełną zasadzek i niespodzianek groźnych na miejsce zagłady.

Tuż za nią bowiem zaczynało się głębokie jezioro, powleczone pływającą na jego powierzchni zieloną warstwą cienkiego torfu i zasnuwającą powierzchnię toni powłoką roślin wodnych.

Lis pełznął obok Romana, leżąc na długich drągach, dających pewne oparcie, i obaj dotarli wreszcie do miejsca, gdzie tylko zielony kobierzec rzęsy okrywał otchłań jeziora. Tu się zatrzymali, czując, jak warstwa torfu ugięła się pod nimi, a woda z głośnym, złym sykiem wytryska przez sieć korzeni, mchów i traw.

¹⁵¹zybun — syberyjska nazwa przesyconego wodą, grząskiego piasku. [przypis redakcyjny]

¹⁵²ostrów (daw.) — wyspa. [przypis edytorski]

¹⁵³grąźel — roślina wodna z rodziny grzybieniotowych, o dużych, żółtych kwiatach i pływających na powierzchni wody liściach. [przypis edytorski]

Lis widział teraz wyraźnie duży krzak pochylony i co chwila chylący się coraz niżej, a obok czarną plamę błota i rdzawobrunatnej wody, nad którą biała przerażona, blada twarz Haazego i ręka jego, kurczowo uczepiona korzeni wikliny.

— Rzemień! — syknął Roman i położywszy się na boku, już odpinał sprzączkę.

Lis poszedł za jego przykładem. Związawszy dwa pasy, Roman rzucił jeden koniec tonącemu.

— Brać ostrożnie, przymocować dobrze do ramienia i czekać! — rozległ się głos Lisa.

Haaze pochwycił jedną ręką rzemień, z rozpaczliwym wysiłkiem podciągnąwszy się na rękach, piersią oparł się na korzeniach krzaku i wykonał rozkaz.

Wyciągnąwszy spod siebie po jednym drągu, związali ich końce i po wodzie podali Haazemu.

— Położyć się i nie ruszać się! — padł nowy rozkaz Lisa.

Po chwili wydobyli młodego uczonego z zybuna i przyholowali go do brzegu torfowiska.

Podali mu cztery żerdzie, na których wyciągnęli go ostatecznie na pływającą warstwę torfu, po czym ruszyli w powrotną drogę.

Dotarłszy do tajgi, gdzie przywitał ich radosnym szczekaniem Urr, długo nie mogli podnieść Haazego. Leżał blady, z przymkniętymi oczyma, osłabiony i wyczerpany.

Cucili go, wstrząsając i rozcierając mu ręce i nogi dopóty, aż oprzytomniał trochę i spojrzał na swych zbawców zdumionym, wdzięcznym wzrokiem.

Posadzono go i oparto plecami o pień.

— Co się stało? — spytał go Lis.

— Nieszczęście... — szepnął.

— To już wiemy, ale jakie i dlaczego? — zadał nowe pytanie zesłaniec. — Jak pan tu trafił i co zaszło? Po co pan tu zabrnął? Gdzie jest kozak?

Doktor drgnął i rękami zasłonił twarz.

— To okropne! — wyrzęził. — Idąc ścieżką, spostrzegłem nieznaną mi odmianę kaczek... Taka biała z rudymi, sterczącymi piórkami nad skrzydłami. Zerwała się z drzewa... To straszne!

Lis mimo woli się uśmiechnął, bo nie rozumiał, co mogło być straszego w tym, że jakaś tam kaczka miała sterczące piórka?

Haaze nie zauważył jednak drwiącego uśmiechu zesłańca. Okryty czarnym i rdzawym błotem, cuchnący zgnilizną i pleśnią, z zielonymi niciami wodorostów i listkami rześ w brwiach i włosach, miał niezwykły i zabawny wygląd, tym bardziej śmieszny, że spoglądał wokoło szeroko rozwartymi oczami, niewidzącymi i bezradnymi, ponieważ właśnie zgubił był swoje okulary o grubych szklach krótkowidza.

— To straszne! — powtórzył z przejęciem i rozpaczą. — Nigdy nie zapomnę tego wypadku. Zacząłem ścigać kaczkę... sfrunęła z drzewa i usiadła na piasku, bielejącym na tej polanie... Skradałem się do niej... Kozak szedł obok mnie, gdy nagle ziemia urwała się pod nami... Instynktownie uczyniłem skok... jeden... drugi... i uczepliłem się gałęzi jakiegoś krzaku. Trzymałem się jej kurczowo, ze wszystkich sił, czując otchłań pod sobą i ciężar piasku, który wciągał mnie do niej... Nie mogłem się poruszyć. Słyszałem rozpaczliwe krzyki kozaka... jego błaganie o pomoc... Zamknąłem oczy, aby nic nie widzieć, a gdy krzyki ustały nagle, spojrzałem i... nic już nie spostrzegłem na powierzchni tej przeklętej polany...

Umilknął, szcękając zębami i drżąc na całym ciele.

— Na Boga! — zawołał Lis. — Kiedyż się to stało?

— Zdaje mi się teraz, że wieki całe upłynęły od tej chwili, lecz było to dziś, wkrótce po porannym posiłku, gdy zamierzałem już powracać do domu... Nie mogłem sobie poradzić... Najlżejszy ruch mój pogrążył mnie coraz bardziej. Trzymałem się tylko krzaku i z przerażeniem przekonywałem się, że chyli się coraz bardziej, że stopniowo obrywają się jego korzenie. Już sił mi zabrakło... już drętwiały palce... już sztywniało z zimna ciało, gdy usłyszałem szczekanie psa. Wtedy krzyknąć zacząłem... wołać o ratunek...

Nie skończył i nagle padł do nóg Lisa, objął go za kolana, całował i szeptał:

— Dziękuję!... Dziękuję!... Nie chciałem umrzeć taką potworną śmiercią!... Mam narzeczoną... miłą, dobrą Emmę... która mnie kocha i tęskni za mną! Uratowałeś mnie pan! Nigdy tego nie zapomnę!... Uczynię wszystko, co mi pan rozkaże...

I znowu przyciskał się twarzą do nóg zesłańca, łkał i rzucał słowa bezładne, pełne wdzięczności i oddania.

— Doktorze... doktorze! — mówił Lis. — Niech się pan uspokoi! Uratowałem pana nie tylko ja, lecz i ten oto człowiek... mój przyjaciel... Roman.

Doktor Haaze nic już jak gdyby nie słuchał. Łkał głośno, a ramiona jego podnosiły się i opadały gwałtownie.

Późno wieczorem Lis i Roman doprowadzili uratowanego uczonego do boru. Katorżnik zniknął natychmiast w jego gąszczu. Pan Władysław sam już dopomagał Haazemu dojść do domu.

Wszyscy otoczyli przybyłych.

Doktor Haaze ze wzruszeniem i podnieceniem opowiadał zebranyemu o swej przygodzie, a gdy skończył, spytał, mrużąc niewidzące oczy:

— A gdzie jest pan Roman?

Zesłańiec zawahał się przez chwilę, lecz w końcu odparł śmiało i wesoło:

— Poszedł obmyć się, co też radzę uczynić panu doktorowi!

— A czy ten pan Roman powróci? — dopytywał się Niemiec.

— Na razie nie! — odpowiedział Lis. — Poszedł do domu.

Przysłuchująca się tej rozmowie pani Julianna struchlała.

Tymczasem wzruszony doktor schwytał Lisa za ręce i powtarzał:

— Mój zbawca!... Mój zbawca!...

Do zesłańca zbliżył się komisarz policji i klepiąc go po ramieniu, oznajmił:

— Zuch z ciebie, Lisie! Złożę o twoim czynie raport panu gubernatorowi!

Pan Władysław już usta otworzył, aby coś odpowiedzieć urzędnikowi, gdy do zdumionego komisarza policji podszedł profesor Baer i surowym głosem zawołał:

— Panie komisarzu! Cóż to za poufalskość, czy może objaw brutalności? Jakim prawem zwraca się pan tym tonem do pana Lisa? Pański raport nikomu nie jest potrzebny, zapamiętaj pan to sobie! Raport o panu Lisie złożę ja osobiście jego cesarskiej mości, a mój siostrzeniec nie omieszką tego uczynić w obecności następcy tronu. Rozumiesz pan?

— Ależ, ekscelencjo, nie chciałem bynajmniej obrazić Li... pana Lisa! — wybełkotał przerażony komisarz.

— Dobrze już, dobrze! — machnął ręką wiceprezes Akademii Umiejętności. — Idź pan już sobie, panie isprawniku... Nic tu po panu!....

Tegoż dnia, późnym wieczorem w izbie zaimki nad Algimem przy stole toczyła się narada pomiędzy Polakiem-zesłańcem i jego żoną a dwoma niewymownie wzruszonymi niemieckimi uczonymi, profesorem Karolem Ernestem Baerem i doktorem Rudolfem Zygfrydem Haazem, wychowawcą cesarzewicza Aleksandra, przyszłego imperatora Rosji.

Rozmowa toczyła się w języku niemieckim, a gdy zapadło milczenie i goście, patrząc na siebie, poważnie namyślali się, ważąc całą sprawę, zesłańiec, zaciskając głowę w dłoniach, powtarzał prawie nieprzytomnie:

— Radźcie, panowie!... Powiedziałem wam wszystko szczerze i otwarcie, co mnie dręczy i gnębi... Ja tu pozostać nie mogę, bo serce moje troska się i krwią broczy z niepokoju i lęku o żonę, która jest słońcem mego życia, moim sumieniem i jedynym szczęściem! Radźcie! Ratujcie nas!

Już świt nadchodził i kaczkę zaczynały pokrechywać, przelatując z rzeki na jeziora, a siedzący przy stole ludzie wciąż się jeszcze naradzali, aż w końcu podniósł się z ławy dostojny, poważny profesor von Baer i rzekł:

— Rada mego siostrzeńca jest dobra... powiedziałbym: najlepsza, bo od razu rozstrzyga całą sprawę. Cierpliwości więc, drodzy przyjaciele, czekajcie i bądźcie gotowi...

— Dziękuję, dziękuję z serca i duszy! — zawołał Lis, wzruszony i uradowany. — Spełniły się moje marzenia! Niech Bóg was wynagrodzi!

— Panowie! Bóg jeden może odplacić wam za nas... bezbronnych! — dodała pani Julianna.

Po chwili Lisowie odeszli do swojej izby, lecz pan Władysław natychmiast powrócił i podchodząc do doktora Haaze, szepnął do niego:

— Doktorze, a proszę nie zapomnieć o Romanie Wasinie... On też ratował pana na tym przeklętym trzęsawisku... Roman Wasin... Roman Wasin, zbiegły katorżnik z więzienia w Akatju.

Mąż

Haaze wytrzeszczył oczy i kiwnął głową.

ROZDZIAŁ XVI. KU WOLNOŚCI

Wrzesień zbliżał się ku końcowi.

W zaimce Lisów wszystko szło dawnym trybem.

Zresztą, tylko pozornie. Coś nowego czało się w źrenicach polskiego zesłańca i jego żony. Było to niecierpliwe, trwożne oczekiwanie, a miało w sobie tyle niewypowiedzianych obaw i zwątpień, że unikali wszczynać o nim rozmowy.

Dla oczu obcych ludzi nic się nie zmieniło, a Roman i głupekowaty Garsa nic też nie spostrzegli. Lis zakończył żniwa i złożył żyto w spichrzu, uczył młodzież samojedzką, naprawiał sieci i krzątał się po zagrodzie.

Pani Julianna sprzątnęła warzywo z grzęd, zakopała w piwnicy, zasypawszy piaskiem, i jak zwykle odwiedzała chorych w koczowisku na tundrze.

Pewnego dnia przyjechali niespodziewanie Rodionow z Wotkułem.

Rodionow przywiózł Lisowi pieniądze za sprzedane futra i zamknąwszy drzwi za sobą, szepnął:

— Nowiny przywożę... ważne! Do Narymu przybył uriadnik Leszczenko z pismem dla was. Lada dzień tu będzie. Może znowu coś złego? Naradziliśmy się z Wotkułem i postanowiliśmy, żeby nie pozwolić skrzywdzić was po raz drugi... Wotkuł ukryje was na tymsko-karakońskiej tundrze.

Lis błysnął oczami i odparł wesoło:

— Będę tu czekał na Leszczenkę! Niech się przekona, że potrafiłem przecież zbudować sobie chatę.

Rodionow pokręcił głową i szepnął trwożnie:

— Ej, nie mówcie tak, abyście potem nie żalowali!... Pamiętajcie, że uprzedzałem was...

— Dziękuję wam, Michale Szymonowiczu! — rzekł Lis.

— Jakie tam „dziękuję”! — mruknął gderliwym głosem kupiec. — Nie po to tu przyjechałem.

Pomyślał chwilę i dodał niepewnym głosem:

— Jutro rano muszę powracać, bo obawiam się, że Leszczenko oskarży mnie o znowę z wami...

— Powracajcie, Michale Szymonowiczu, bo nie chciałbym, abyście cierpieli za nas!

— odpowiedział zesłańiec. — A wy, Wotkule, czy też jutro odjeżdżacie?

Samojed potrząsnął głową i mruknął:

— Pozostanę tu... muszę odwiedzić rodaków w koczowisku.

Rodionow, serdecznie żegnany, odjechał nazajutrz, a w dwa dni potem przybył do osady Leszczenko, bardzo grzeczny i nawet uniżony.

— Pismo mam dla was! — oznajmił na wstępie. — Tym razem dobre pismo!

Lisowie wskazali mu miejsce, gdzie mógłby się umyć i oporządzić przed wieczrą, a sami zamknęli się w swej izbie i odczytali przywieziony papier.

„Kancelaria gubernatora z rozkazu ministrów sprawiedliwości i spraw wewnętrznych oznajmia, że polskiemu zesłańcowi, Władysławowi Lisowi, za uratowanie życia wychowawcy cesarzewicza nadaje się prawo zamieszkania w dowolnym, podług jego wyboru, mieście Syberii, oraz poleca się władzom w najbliższym terminie przewieźć go do Petropawłowska na Kamczatkę do dyspozycji radcy tajnego, profesora Karola Ernesta von Baera, na cały czas jego naukowej ekspedycji. Żona zesłańca Lisa, jako doświadczona lekarka, ma towarzyszyć swemu mężowi”.

W kopercie Lis znalazł drugi papier. Zawierał on ulaskawienie dla katorżnika Romana Wasina, któremu zgodnie z rezolucją najwyższego sądu ciężkie więzienie zostało zamienione na osiedlenie w obwodzie Czin-Waru.

Lisowie bez słowa padli sobie w ramiona, a potem, wzięwszy się za ręce, długo, gorąco modlili się przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej.

W dwa dni po przyjeździe Leszczenki żegnali na zawsze Algim. Zaimkę ze wszystkim, co w niej było, podarowali Romanowi i wiernemu Garsie, który porywał się jechać za swoją panią.

Odjechali wierzchem na reniferach, wynajętych u Samojedów przez uradnika.

Wraz z nimi wyruszył też Wotkuł.

Jechali razem całe pięć dni, aż w Jenisejsku wsiedli Lisowie do wózka pocztowego, zaprzęzonego w trójkę koni. Teraz dopiero nastąpiło rzewne i pełne wzruszenia rozstanie z tym wiernym, oddanym im przyjacielem.

Gdy konie ruszyły, Lis się obejrzał.

Na wysokim brzegu nad rzeką długo jeszcze stał Wotkuł.

Malał, topniał coraz bardziej, aż pochłonęło go oddalenie i kurz, podnoszony kołami szybko toczącego się wózka.

Przez cały miesiąc wieźli uradnicy zesłańca polskiego i jego żonę, aż stanęli w małej osadzie nad brzegiem morza.

Był to Petropawłowski Ostrog¹⁵⁴.

Po chwili do izby na stacji pocztowej wpadł doktor Rudolf Haaze.

— Chwała Bogu! — zawołał. — Jesteście! Żyłem w ciągłej obawie o was, drodzy przyjaciele!

Pochyliwszy się Lisowi do ucha, długo coś szeptał i objaśniał, patrząc przed siebie niebieskimi, ciągle zdumionymi oczami i błyskając szkłem okularów.

Polak słuchał w milczeniu i kiwał głową.

Wreszcie Haaze wstał i z rozrzewnieniem na twarzy ucałował rękę pani Julianny, a potem długo ścisnął zesłańca, szepcząc urywanym głosem:

— Szczęśliwego życia! Szczęśliwego życia!

Tego samego wieczora od drewnianej przystani Petropawłowska odbił duży, dwumasztowy okręt amerykański „Rekin”.

Wszystko odbywało się na nim jak zwykle. Szyper¹⁵⁵, stojący przy sterniku, przepłatał klątwami rzucane rozkazy. Bosmani¹⁵⁶ pokrzykiwali na majtków, a ci w pośpiechu zamykali luki¹⁵⁷ rumów¹⁵⁸, gdzie zostały starannie ułożone towary nabyte na Kamczatce. Drogie to były towary: futra, skóry, ryby i kość mamutowa. Tego dnia jednak luki zostały zamknięte niezwykle starannie, a bosman pilnujący tej czynności mruczał do ludzi z załogi:

— *Damn!*¹⁵⁹ Rzućcie na pokrywę stos starego płótna! Na wszelki wypadek... Szyper nie życzy sobie, aby rosyjska straż zabrała nam tych dwoje ludzi, co to w nocy przekradło się na pokład „Rekina”... Zapłacili dobrze, a poza tym on to jakiś, widać, tęgi, promienny chłop, ona zaś nie wiem, ale podobne do niej kobiety tylko na obrazach świętych się chyba widuje! Rzućcie jeszcze kawał żagla!...

Gdy brzegi Syberii znikwały we mgle, na pokład wyszło dwoje ludzi, a za nimi, węsząc nieufnie, dreptał kosmaty, rudy szpic.

Niewysoki, lecz nad wyraz barczysty mężczyzna o twarzy śmiałej i pogodnej, otoczył ramieniem wiotką kobietę o złocistej koronie włosów i stanął przy burcie.

Długo trwali w milczeniu, wpatrzeni w tonące w mroku i słonej mgle ostatnie wysypki ziemi wygnania, siedziby mroźnej, nielitościwej Białej Śmierci.

— Słonko ty moje!... Umiłowana nad życie, Julianko moja luba... Przed nami wolność! Wolność! — szepnął mężczyzna.

— Wolność! — powtórzyła złotowłosa kobieta, garnąc się do kopolastej, szerokiej piersi stojącego obok męża.

Szumiała i pluskała fala, płatana ostrym dziobem okrętu, pogwizdywał wiatr wśród lin i tętnił w wyprężonych żaglach, co białeły ni to łabędzie, ku szczęściu swój lot kierujące...

¹⁵⁴ostróg (ros. *острог*) — warownia. [przypis edytorski]

¹⁵⁵szyper — dowódca mniejszego statku lub dużej łodzi. [przypis edytorski]

¹⁵⁶bosman — starszy marynarz. [przypis redakcyjny]

¹⁵⁷luk — zamykany pokrywą otwór w pokładzie statku, służący do załadowywania i wyladowywania towarów, przemieszczania się z jednego pokładu na drugi, do oświetlenia wnętrza itp. [przypis edytorski]

¹⁵⁸rum (daw.) — ładownia, część statku przeznaczona do przewozu ładunku. [przypis edytorski]

¹⁵⁹Damn — angielskie przekleństwo. [przypis edytorski]

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**.

Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/ossendowski-mocni-ludzie>

Tekst opracowany na podstawie: do uzup

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Dofinansowano ze środków Ministra Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego. Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową w Warszawie z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Biblioteki.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopeć-Gryz, Aleksandra Sekuła, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-6530-3

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.